

Kyrii Bonfigliovi

# A KYSZ, ZJAWO NIECZYSTA!

„Przezabawna lektura.

Dowcipy są przednie, ale to nie  
zmienia faktu, że fabuła mrozi

· krew w żyłach”.

*Sunday Telegraph*



lesiojot  
III TOM PRZYGÓD NIEZNOŚNEGO MORTDECAIA!

Kyrii Bonfigliovi

A KYSZ, ZJAWO  
NIECZYSTA!



Przełożyła  
Magdalena Słysz

Wydawnictwo Czarna Owca  
Warszawa 2015

Tytuł oryginału  
*SOMETHING NASTY IN THE WOODSHED*

Redakcja  
Mirosław Grabowski  
Tłumaczenie wierszy Algernona Charlesa Swinburne'a  
Robert Sudoł

Projekt okładki  
© Luke Pearson  
Adaptacja okładki  
Magdalena Zawadzka

DTP  
Dariusz Piskulak

Korekta  
Maciej Korbasiński

Redaktor prowadzący  
Małgorzata Głodowska

Copyright © the Estate of Kyril Bonfiglioli, 1976

Copyright for the Polish edition © by Wydawnictwo Czarna Owca,  
2016

Wydanie I

ISBN 978-83-8015-084-3  
**Wydawnictwo**  
ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa  
[www.czarnaowca.pl](http://www.czarnaowca.pl)

Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: [redakcja@czarnaowca.pl](mailto:redakcja@czarnaowca.pl)  
Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: [handel@czarnaowca.pl](mailto:handel@czarnaowca.pl)  
Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 61612 72; e-mail:  
[sklep@czarnaowca.pl](mailto:sklep@czarnaowca.pl)

## *Et amicorum*

Ponieważ nie sędzę, abym za życia napisał jeszcze jedną powieść o Jersey, muszę prosić następujące osoby o przyjęcie skromnych wyrazów wdzięczności za ich uprzejmość i wyrozumiałość: Alana, Angelę, Barry ego, Betty, Bobbiego, Dicka, Gordona, Heather, Hugh, Jeana, Joan, Johna, Mary, Nicka, Olive, Paula, Petera, Rosemary, Stanleya, Terry ego, Toppera, Verę - i setki innych miłych mieszkańców wyspy. Mam nadzieję, że się nie pogniewają, jeśli wymienię jeszcze wśród nich czarnego labradora imieniem Pompey i kanarka imieniem Bert. Motta pochodzą z twórczości Swinburne'a, oprócz jednego, ewidentnej podróbki.

Żaden z bohaterów tej książki nie jest wzorowany na postaci autentycznej: prawdziwi ludzie są zbyt dziwaczni, żeby można było wykorzystać ich w powieści.

Z policji honorowej na Jersey tylko sobie zażartowałem: wszyscy jej przedstawiciele, których miałem przyjemność poznać, są uczciwi, szlachetni, inteligentni i obdarzeni poczuciem humoru.

Nie będę wymieniał z nazwiska wszystkich życzliwych mieszkańcom Jersey, którzy udzielali mi odpowiedzi na niezliczone pytanie - byłaby to niedostateczna rekompensata za ich cierpliwość.

Fikcyjny narrator to paskudny, złośliwy typ; proszę nie mylić go z autorem, dobrym i łagodnym człowiekiem.

Motta pochodzą z twórczości Swinburne'a, oprócz jednego, sygnowanego w szczególny sposób.

[Jeśli nie zaznaczono inaczej, fragmenty wierszy w przekładzie Magdaleny Słysz].

Aż wstanie morze leniwe, runie klif stromisty,  
 Aż wzgórze i łąkę wielka otchłań wchłonie,  
 Aż spokojniejszą fala i przyływ grzbiecisty,  
 Skała skuli się w sobie i skurczy się błonie,  
 Upojona tryumfem, że każda rzecz marna,  
 Wśród łupów usypanych ze swego nakazu,  
 Własną ręką zgładzona boginka ofiarna,  
 Leży Śmierć uśmiercona na swoim ołtarzu.

*Opuszczony ogród*

## *Wyspy*

Siedem tysięcy lat temu - plus minus kilka miesięcy - Morze Północne opuściła, z sobie tylko znanych powodów, spora masa wód, która następnie zalała niżej położone rejony północno-zachodniej Europy, tworząc kanał La Manche i skutecznie oddzielając Anglię od Francji, zresztą ku obopólnemu zadowoleniu obu zainteresowanych stron (bo inaczej my, Anglicy, bylibyśmy cudzoziemcami, Francuzi zaś musieliby jeść sos chlebowy<sup>1</sup>).

Niedługo później morze wycofało się z kilku bardziej urwistych odcinków francuskiego wybrzeża i odgrodziło wyższe jego części od kontynentu. Powstałe w ten sposób wyspy Anglicy nazywają Channel Isles, bo się nie znają; ich prawdziwa, pierwotna nazwa brzmi *Les Iles Normandes*, Wyspy Normandzkie. Dowodzi się, że należą nie do Zjednoczonego Królestwa, lecz do Francji, ponieważ stanowiły

---

<sup>1</sup> Sos chlebowy - tradycyjny na Wyspach Brytyjskich sos do bożonarodzeniowego indyka, a przez resztę roku do niedzielnego kurczaka. To z niego śmiali się Francuzi, mówiąc, że choć wyznań Brytyjczycy mają kilkaset, to sos tylko jeden (wszystkie przypisy tłumaczkii).

część Księstwa Normandii, jeszcze zanim Wilhelm Zdobywca podbił Anglię - i są jedyną istniejącą częścią tamtego państwa. Pozostają niezwykle lojalne w stosunku do Korony i obowiązujący na nich toast brzmi: „Królowa - nasz książę”. Wyspy te mają własne, odmienne, pradawne, nader dziwaczne prawa i instytucje, a także pewne specyficzne zwyczaje. O czym później.

## *Wyspa*

Nazywa się Jersey i powstała, jak wie każdy uczeń, z granitu, łupku ilastego, diorytu oraz porfiru. Z powodu lekkiego nachylenia jest zwrócona na południe, co z pewnością wpływa korzystnie na tamtejszą pogodę. (Nie mam w zwyczaju rozprawiać o pogodzie; to dobre dla właścicieli kurortów, chłopstwa i pewnych szlachetnie urodzonych maniaków, którzy wprowadzili się pod dach Admiralicji<sup>2</sup>). Linia brzegowa jest dzika i niewiarygodnie piękna.

Wyroby tytoniowe i spirytusowe są tanie, a podatek dochodowy rozkosznie niski, ale śmiem twierdzić, że te wszystkie cuda, ze szkołami prywatnymi włącznie, się skończą, gdy tylko większość zdobędą socjaliści i dorwą się do władzy.

## *Mieszkańcy*

Jest ich wiele warstw. Po pierwsze, urlopowicze, którzy nie wymagają dalszej charakterystyki, Bóg z nimi. A imię ich Legion.

Po drugie, rolnicy, wszyscy starożytnej rasy dżersej, którzy po cichu, z krzywą miną, ku swojej cichej satysfakcji rządzą na wyspie. Mają szpetne stare nazwiska, szpetne stare fizjonomie i odrażające stare żony. Ich pracownicy są tacy sami, ale bardziej pijani. Niektórzy z nich, napływowci, przyjeżdżają z Normandii, Bretanii, a nawet Walii, aby wziąć udział w zbiorach żonkili, ziemniaków i pomidorów; są mali, przysadziści oraz ponurzy,

---

2 Admiralicja - dowództwo brytyjskiej Królewskiej Marynarki Wojennej.

jak Włosi z Abruzji, i piją najwięcej ze wszystkich, ale kto by ich za to winił!

Po trzecie, najlepiej znani, zamożni imigranci, którzy przybyli tu, żeby korzystać z dziwnych przywilejów podatkowych wyspy. Niskie podatki, jakie płacą, spływają do miejscowych szkatuł, co rodowitym mieszkańcom Jersey nieodmiennie psuje krew. Niektórzy imigranci to zagorzali abstynenci, co chyba pomaga się wzbogacić, jednak większość z nich też sporo pije: whisky ma na Jersey mniej więcej taką samą cenę jak tanie wino - i jest znacznie smaczniejsza.

Ci ludzie przywożą ze sobą tyle pieniędzy, że czasami się obawiam, iż pewnego dnia wyspa zatonie pod ich ciężarem. Rozmowa z przyjezdnymi potrafi być błyskotliwa, jeśli tylko trzymasz się tematu ich wielkich salonów - czy też bawialni, jak nazywają je w miejscowym argocie.

Za nimi, niczym żarłoczne sępy ścierwojady, ściągnęły hordy bankierów i innych pożyczkodawców o różnym stopniu skorumpowania, którzy bezwstydnie zdobywają każdą lepszą nieruchomość w Saint Helier, gdy tylko się zwolni. To chyba niekorzystne.

Jest jeszcze kilka pomniejszych kategorii, jak szlachta i arystokracja, portugalscy kelnerzy, hinduscy handlarze błyskotkami, przejezdne barmanki i zapijaczeni powieściopisarze, ci jednak, choć generalnie mili, nie mają związku z naszą opowieścią.

## *Fauna*

Filarem miejscowej gospodarki i jedynym większym od tutejszych kobiet ssakiem jest krowa rasy dżersej. Ma oczy lani, jest naprawdę piękna i daje niezwykle tłuste mleko. Przeważnie chodzi na łańcuchu, ponieważ pastwisko jest cenne, a ogrodzenie kosztowne; zimą nosi plastikowy płaszcz przeciwdeszczowy, a latem - kapelusik od słońca. Tak, naprawdę. Występują tu pewne świnie, bo chyba nie owce, z powodu których na wyspie nigdy nie stacjonował pewien górski



pułk. Liczne są także konie i niemal o każdej porze dnia można zobaczyć paradującą ulicami podmiejską kawalerię.

Dzikiej zwierzyny jest niewiele, z wyjątkiem morskiego ptactwa; dominujące gatunki stanowią sroka i wróbel. Nie ma terenów łowieckich, a co za tym idzie - myśliwych, dlatego wszechobecne sroki pożerają wszystkie swoje pisklęta; ze srokami może spółkować tylko wróbel, brat Wenus, oszukując przez cały rok swojego partnera, mały cwaniak. Późną jesienią czasami widać przelotne małe ptaki odpoczywające na polach żonkili, które nie wzeszły.

### *Flora*

Rośnie tu głównie trawa i uprawia się ogródki, często nieznosnie kolorowe. Na działkach, które aż się proszą o pozwolenie na budowę, występują orlica i kolcolist, ale cała reszta to uprawy luksusowe: wczesne ziemniaki, żonkile, anemony, pomidory i od czasu do czasu nieśmiały kalafior. Pewien gatunek kapusty o rozrzutnie długich liściach uprawia się tylko z myślą o turystach, którzy go fotografują: turyści zapewniają ich z kamienną twarzą, że wytwarza się z niej laski, ale przecież nikt o zdrowych zmysłach by w to nie uwierzył, nieprawdaż?

### *Budownictwo*

Zróznicowane, począwszy od ponurego, przez pretensjonalne, po absurdalne. Saint Helier to prawdziwa architektoniczna beczka śmiechu: nawet sir John Betjeman<sup>3</sup> nie potrafiłby zachować powagi. Poza miastem charakterystycznym

---

<sup>3</sup> John Betjeman (1906-1984) - angielski poeta, eseista, krytyk literacki i znawca sztuki. W dowcipnych wierszach piętnował tradycyjną angielską mentalność, ale równocześnie z sentymentem mówił o dawnej Anglii. Opublikował eseje poświęcone architekturze wiktoriańskiej i edwardiańskiej.

budynkiem jest duży posepny wiejski dom, wzniesiony z granitu w kolorze wątroby, o potężnych ścianach zewnętrznych i niewielu oknach. Zamożni przybysze kupują je chętnie i szpetnie modernizują. Efekt końcowy kosztuje dziesięć razy tyle co porównywalny dom w Anglii. Nie wiem, czy to dobrze, czy źle.

## *Język*

To dość trudna kwestia. Mieszkaniec Jersey wywodzący się z burżuazji mówi językiem, który brzmi jak angielski, ale gdy próbujesz go zrozumieć, zdajesz sobie sprawę, że to coś jak australijski naśladowujący liverpoolski. „H” na początku wyrazu się nie wymawia, a większość zdań zaczyna się od „MójBo”, a kończy pytającym „e?”. Nie jest to piękna mowa i łatwo ją zniechęcić.

Język urzędowy, pisany, stanowi osobliwa normańsko-francuska odmiana łaciny rodem z katastru gruntowego sporządzonego przez Wilhelma Zdobywcę. Podobno wciąż mówią nią przedstawiciele starych jerseyjskich rodów, ale oni sami się do tego nie przyznają.

Prawdziwy patois jersiais to coś zupełnie innego i niewiarygodnie barbarzyńskiego. (*Guinness es bouanpor te*). Kiedy wam powiem, że słowo „Jersey” jest tym samym co łacińska „Caesarea”, może zrozumiecie, co mam na myśli.

Wreszcie większość miejscowych handlarzy na tyle dobrze włada względnie współczesną szkolną francuszczyzną, żeby zabić ćwieka przejeżdżnym robotnikom z Francji, zwłaszcza że ci ostatni są przeważnie zmęczeni i zniecierzeźwieni.

## *Policja*

Jest takie niewielkie zrzeszenie ludzi, z siedzibą w Saint Helier, które nazywa się opłacaną policją. Na pewno bardzo się tym szczycą. Są jak policja angielska, tyle że nie tak liczni i nie

tak gniewni. Mają umundurowanie i sprzęt; sprawiają wrażenie uczciwych i sympatycznych; nie biją. W przeciwieństwie do innych, których mógłbym wymienić.

O wiele większe znaczenie (poza Saint Helier) ma policja honorowa, która oczywiście nie jest opłacana. Jej członkowie nie noszą mundurów - każdy powinien widzieć, z kim ma do czynienia. W każdej z dwunastu gmin działa *connétable*, konstabl; ma pod sobą cente- nierów, starszych oficerów, z których każdy teoretycznie ochrania i pilnuje stu rodzin, a także stoi na czele pięciu vingtenierów, mających z kolei pod opieką po dwadzieścia rodzin. Wszystkie te stanowiska są obieralne, ale wybory rzadko przynoszą niespodzianki, jeśli rozumienie, co chcę powiedzieć, a poza tym mało kto się o te zaszczyty ubiega.

Nikt na Jersey nie może być prawnie aresztowany, dopóki centenier nie klepnie go po ramieniu swoją absurdalną małą pałką (wyobrażacie sobie, jak opłacani policjanci lubią ten przepis); mówi się, że ten, który ją zgubi, urywa rączkę najbliższego łańcucha do spuszczenia wody w toalecie. Na szczęście taki centenier nieczęsto czuje potrzebę aresztowania kogoś z przyjaciół, sąsiadów czy kuzynów, chyba że przestępstwo jest naprawdę poważne - co pozwala zaoszczędzić całkiem duże sumy ze środków publicznych i zapobiega dewastacji wielu toalet. Całkiem skuteczny pomysł, naprawdę. Centenier bierze na rozmowę sąsiada, który zszedł z drogi cnoty, i przywołuje go do porządku, w ten sposób stosując prewencję efektywniej niż wymiar sprawiedliwości z drogim procesem sądowym, karą w zawieszeniu i rokiem nadzoru sprawowanego przez jakiegoś przymulonego kuratora z dyplomem wydziału nauk społecznych uczelni w Pipi- dówce Dolnej.

### *Jeden z domów*

Należy do Sama Davenanta i nazywa się La Gouluterie, od łągu stanowiącego część posiadłości. Ten zaś prawdopodobnie

wziął nazwę od Simona le Goulue, konstabla gminy Saint Magloire w latach czterdziestych XVI wieku, ale dociekliwi archeolodzy przypuszczają, że kiedyś na tym terenie wyrabiano *goulues* - okrągłe ceramiczne garnki do gotowania fasoli. Moim zdaniem Simon albo któryś z jego przodków był nazywany „le Goulue”, bo przypominał taki garnek. Bardziej zbzikowany archeolog amator będzie, rzecz jasna, dowodził, że to nazwisko ma coś wspólnego z obrzędami na rzecz płodności, ale oni już tak mają, czyż nie?

Większa część budynku pochodzi z XVI wieku, ale niektóre fragmenty są jeszcze starsze i pewne ślady wskazują, że niegdyś służył do celów religijnych. Zbudowany z ładnego różowego granitu, jakiego już się nie wydobywa, został gustownie przekształcony w godną i komfortową siedzibę. Ma wieżyczki, rozety, chrzcielnice i całą resztę - na pewno wicie, do czego jest to wszystko. Bo ja zapomniałem. Większość frontu znajduje się z tyłu - wejście, tarasy i tak dalej - właściwa fasada zaś wychodzi na przyjemny, słoneczny dziedziniec, na którego końcu stoi ten drugi dom, należący do najlepszego przyjaciela Sama.

### *Ten drugi dom*

Należy do George'a Breakspeara, najlepszego przyjaciela Sama, i nosi nazwę Les Cherche-fuites - nie wiem, co to znaczy. W XVIII wieku został znacznie upiękuszony i ze względu na ograniczenia, jakie stwarza granitowy budulec, ma nieco niepasujące okna, dzięki czemu jest pozbawiony nudnej symetrii charakteryzującej większość budynków z tego okresu. Podobnie jak w przypadku La Gouluterie, jego front znajduje się z tyłu (ogrody, sadzawka et cetera), a z kolei tył jest wyposażony w dziwny, interesujący ganek z wklęsłymi szybami, jakie występują na Jersey w „dorszowych domach” - budowanych w złotej epoce rybołówstwa, kiedy śmiali szyprowie wyprawiali się masowo aż ku wybrzeżom Nowej Fundlandii i nagle stwierdzali, że są bogaci. Po jednej stronie

znajduje się brzydka wiktoriańska stajnia z żółtej cegły, z zegarem, który nie chodzi.

*Warto zwrócić uwagę, że...*

...te dwa przyjemne domy uśmiechają się do siebie sympatycznie z dwóch stron starej kamiennej prasy do jabłek stojącej pośrodku dziedzińca; odnotujcie, jakie to rzadkie i fortunne, że ich właściciele są dobrymi przyjaciółmi. (To, że ich żony się nie znoszą i chętnie wydrapałyby sobie nawzajem oczy, jest mało ważne i rzadko się uwidacznia, nawet gdy przebywają same).

*Na co jeszcze warto zwrócić uwagę*

Na właścicieli tychże domów, poczynając od George'a Breakspeara z Les Cherche-fuites. George wierzy w Boga, ale tylko tego marki Church of England, reklamowanego w telewizji na mocy umowy o równym czasie antenowym, chociaż ów mieszkaniec wyspy odznacza się „otwartym umysłem”, bo widział w Indiach i tego rodzaju miejscach „bardzo dziwne rzeczy”. Ma zbyt dobre maniery, żeby obnosić się ze swoją wiarą - i słusznie. Nie jest głupcem. Można się domyślić, że podczas wojny miał patent oficerski; dosłużył się nawet stopnia brygadiera<sup>4</sup>, otrzymał Order za Zaszczytną Służbę, Wojskowy Krzyż Zasługi i wiele innych światełek, ale i w tym przypadku dobre maniery nie pozwalają mu posługiwać się w cywilu stopniem wojskowym ani chwalić medalami. (To już moim zdaniem lekka przesada: trochę niegrzecznie jest trzymać odznaczenia w szufladzie na chustki do nosa razem ze sprośnymi listami. Sto razy bardziej wolę wesołych europejskich oficerów husarii, którzy paradują wieczorami w swoich operetkowych mundurach, od angielskich gwardzistów o kwaśnych minach, którzy w jednej chwili zamieniają się w

---

<sup>4</sup> Brygadier - stopień wojskowy między pułkownikiem a generałem.

żałosne imitacje wypłacalnych maklerów giełdowych. Oficerowie powinni mieć fantazję, długi i przede wszystkim wierzycieli, których mogliby wychłostać szpicrutą przed śniadaniem, żeby nabrać apetytu, nie sądzicie?).

George jest średniego wzrostu, przeciętnej postury i normalnej wagi. Znajomi nie zawsze go poznają i w tym cała rzecz, nieprawdaż? Poznają go, rzecz jasna, kiedy siedzi w swoim ulubionym fotelu w klubie, bo tam przynależy, rozumiecie. Lepsi barmani też go poznają, ale na tym polega ich fach.

Nosi tak dyskretnie porządne ubrania, że stanowią wręcz przebranie, czapkę niewidkę.

Mimo tej szarej kolorystyki można mieć pewność, że gdyby zaatakowali nas Hunowie albo Szkopy, George nie tylko w jednej chwili chwyciłby za broń, lecz także bez żadnych pytań i dyskusji objąłby dowództwo, powołując się na jakieś stare angielskie hasło - albo znak czy też szybolet - które wszyscy byśmy rozpoznali, choćby zostało użyte po raz pierwszy od śmierci króla Artura w falach jeziora nieopodal Avalonu.

Tymczasem jednak tu i teraz na Jersey z całą pewnością każdy chciał go znać, bo George umiał słuchać ludzkich historii; nalewał duże (ale nie wulgarnie duże) drinki; nie uśmiechał się zbyt kwaśno, jeśli ktoś przeklął w obecności jego żony; nie wydawał znaczących odgłosów zmęczenia, jeżeli przyjęcie trwało dla niego za długo, tylko rozpływał się w powietrzu i ponownie materializował - tak przynajmniej można sądzić - w swojej garderobie.

Pił całkiem dużo, ale inaczej; na Jersey się nie poluje, więc jeśli nie jest się niewyżyтым seksualnie, zimą dni są naprawdę długie.

Udało mu się uzyskać w Cambridge jakiś dyplom, dostać się do tamtejszej reprezentacji sportowej - można by niemal powiedzieć „oczywiście” - i posiąść dużą wiedzę o wojnach napoleońskich. To jeden z tych wspaniałych facetów - jak ci z Balliol<sup>5</sup> - którzy wierzą niezachwianie, że wszystko to, co myślą

---

5 Balliol - jedno z kolegów Uniwersytetu Oksfordzkiego, zrzeszające największą liczbę studentów.

i robią, jest właściwe. Niezdolność dostrzegania w sobie jakichkolwiek wad jest naturalnie przejawem małostkowości, ale to znacznie mniej szkodliwe niż nieumiejętność dostrzegania w sobie zalet.

George nie bardzo rozumie, dlaczego oddaliśmy Indie, i nie rozumie sprawy Suez. Własnoręcznie pastuje sobie buty; są stare, popękane i drogie.

Jest - a raczej był - kimś, kogo nazywało się dżentelmenem. Czy już to mówiłem?

### *Żona George a*

Ma na imię Sonia, chociaż jej przyjaciółki twierdzą, że na świadectwie urodzenia wpisano Ruby. Trudno powiedzieć, dlaczego ona i George się pobrali; czasami można zauważyć, że ukradkiem obrzucają się nawzajem zdziwionymi spojrzeniami, jakby sami też wciąż się nad tym zastanawiali.

To dziwka i lafirynda, każda kobieta widzi to na pierwszy rzut oka, podobnie jak większość homoseksualistów. Sympatycznych młodych panów można przekonać, że jej powłóczyście spojrzenia są przeznaczone tylko dla nich, choć powinni dostrzec, że polecenia, jakie wydaje kucharzowi w związku z soleniem i pieprzeniem, stanowią wyraźne zaproszenie do pieprzenia, ale nie w kuchni. George chyba ma do niej zaufanie, ale ten wysiłek czasami prawie go zabija, jak ciotkę Matyldy<sup>6</sup>. Jest z natury, wyboru i wskutek własnych starań bardzo efektowna: ma wielkie ciemnoniebieskie oczy, cerę jak płatki magnolii, a włosy tak czarne, że wydają się granatowe. Piersi, uniesione i ściśnięte przez drogi stanik, przypominają nic innego jak pupkę pięknego dziecka, a kiedy się rozbierze, są obwisłe i nieładne, bo dawno temu straciły jędrność. Ja tam wolę taką pierś, którą mogę ująć jedną ręką, a wy? - ale wiem, że Amerykanie na przykład przedkładają ilość nad jakość, jeśli wybaczycie mi dosłowność.

---

<sup>6</sup> Aluzja do wiersza Hilaire'a Belloc'a *Matilda, Who Told Lies, and Was Burned to Death* (Matylda, która kłamała i została spalona).

Pod szelakową warstwą oglądy i stosem wyłożonych na stoliku do kawy eleganckich albumów kryją się maniery i moralność przywodzące na myśl doświadczoną prostytutkę, której udało się wcześniej przejść na emeryturę i która teraz odwołuje się do swojego rzemiosła tylko dla przyjemności. Jest w tym naprawdę dobra. Tak przypuszczam.

Nomen omen, choć to niewątpliwie wilk w przebraniu owcy, ubiera się lekko niestosownie pod tym czy innym względem. Wkłada na siebie rzeczy przystające kobiecie dokładnie trzy lata młodziej - ni mniej, ni więcej - i jak mężczyźni, którzy chodzą z dwudniowym zarostem - ni mniej, ni więcej - tak ona zawsze nosi się kosztownie według zeszłorocznej mody, nigdy nie podążając za najnowszymi trendami, lecz też nie oddalając się od nich rażąco.

Tym, rzecz jasna, sprawia wielką satysfakcję koleżankom, choć mężczyźni nie bardzo wiedzą, o co chodzi, a w każdym razie są bardziej zajęci gapieniem się na jej cycki.

Oczywiście Sonia to też zdolna kłamczucha, ale czy one wszystkie nie kłamią? (A może nie jesteście żonaci?). George jest na tyle inteligentny, by wyczuć, kiedy jego żona mówi nieprawdę, ale nie pozwalają mu na to dobre wychowanie i zdrowy rozsądek.

Mają dwóch synów. Jeden z nich, bardzo bystry, kończy publiczną podstawówkę imienia Wellingtona; Sonia nie przejmuje się specjalnie tym, że ma syna w wieku szkolnym - choć czasami próbuje stwarzać wrażenie, że uczęszcza on do szkoły prywatnej - natomiast chętnie ukryłaby istnienie drugiego syna, którego należy nazwać dorosłym. Jest cudownie głupi i lata helikopterem w piechocie albo marynarce wojennej czy jeszcze innej staromodnej instytucji. Wciąż rozbija jakąś cenną maszynę, ale jego zwierzchnicy jakby się zupełnie tym nie przejmują i dają mu nową. Nie łożą na to z własnej kiesy, rozumiecie. Tyłko z waszej.



## A teraz Sam Davenant

I od razu wyczuwamy fałsz, pozę, bo nikt od stu lat nie dostał na chrzcie Sam. Oczywiście tak naprawdę nazywa się Sacheverell. W szkole raczej by umarł, niżby się do tego przyznał, teraz jednak nawet sprawia mu pewną przyjemność, gdy ktoś się o tym dowiaduje.

Pozuje na pozującego, bo w zasadzie taki nie jest, jeśli rozumiecie, o co mi chodzi, i liczy, że jego główna wada, sympatyczne lenistwo czy też apatia, zostanie uznana za pozę. Pomagają mu w tym częste napady manii, przeważnie też pozorowane.

Wstydziłby się wstać z łóżka przed południem - chyba że całą noc nie spał - i od dwudziestu lat nie jadł śniadania.

Jest niemal nużąco czytany. W miejscach publicznych zazwyczaj czyta jakieś szmatławce w wydaniu broszurowym, ale w sypialni na pewno studiuje Gibbona, Fénelona, Horacego i *tous ces défunts cockolores*<sup>7</sup>. Jednocześnie stanowczo zaprzecza, jakoby słyszał o Marcusie czy Borgesie, kimkolwiek są. (Jeśli o mnie chodzi, bardzo wierzę w sens zapoznawania dziatwy od najmłodszych lat z Fénelonem, Racine'em, Miltonem i Gibbonem; nigdy nie jest za wcześnie, aby się przekonać, że większa część literatury klasycznej jest nudna i pozbawiona znaczenia).

Sam jest niedorzecznie uprzejmy, spokojny, wyrozumiały i nigdy nie odnosi się do nikogo szorstko, ale dawno temu zauważyłem, że ma niezdrowo stalowy kręgosłup, przez co w razie jakiejś prowokacji mógłby stać się groźnym przeciwnikiem. Dawniej doskonale grał w tryktraka, dopóki kiedyś nie wpadł przy tym we wściekłość; wtedy go porzucił. Taki jest. Czasami udaje mi się wygrać z nim w pokera.

Wydaje się dość zamożny w nieostentacyjny sposób, ale nie wiadomo, jak i na czym się wzbogacił. On sam dwuznacznie napomyka o przemyśle broni czy czymś jeszcze gorszym, czym rzekomo parał się w młodości - może był to handel żywym

---

<sup>7</sup> Odwołanie do popularnej fraszki angielskiego ilustratora i satyryka George'a du Mauriera (1834-1896).

towarem - ale ja raczej stawiałbym na sieć pralni chemicznych w Irlandii Północnej; bo dlaczego miałby się tak denerwować na wiadomość o zamachach bombowych w Belfaście?

Jest wysoki, blady, kędzierzawy, trochę bardziej otyły i starszy ode mnie. Powiedzmy, że ma z pięćdziesiątkę.

### *Natomiast jego żona...*

...jest drobniotka, słodziutka i głupiutka, ma na imię Violet, jeśli uwierzycie. Sam nazywa ją Wzdrygaczką. I rzeczywiście wzdryga się ona na widok wielu rzeczy; często jej się przyglądałem. Sam odnosi się do niej z pełną rozbawienia wyrozumiałością, ale tak naprawdę ją uwielbia, jeśli wolno mi zacytować kobiece czasopismo.

Jest nerwowa i bezbronna, potrafi się oblać rumieńcem, a nawet zemdleć, jak kobiety w dawnych czasach.

Przy rzadkich okazjach bywa natchnioną kucharką, przeważnie jednak przypala dania albo w inny sposób je psuje, ale Sam nie jest obzartuchem i potrafi gotować. Nie będę udawał, że cokolwiek mi wiadomo o ich stosunkach małżeńskich, lecz przypuszczam, że nie są najlepsze. On traktuje ją z taką wyszukaną uprzejmością, że można by pomyśleć, iż żywi do niej nienawiść, ale to mogłoby być nieprawdą.

Matka Violet jest dość tajemniczą postacią, zawsze mówi się o niej „biedna mamusia”. Musi być maniaczką, alkoholiczką albo kleptomanką, w każdym razie kimś w tym rodzaju, i czasami budzi moje zaciekawienie: mówi dziwnym językiem i używa takich wyrażeń jak „króliki mnożą się jak gorące bułeczki”.

### *I wreszcie mój ostatni trik*

To narrator albo jeśli wybaczyście mi redundancję - ja sam we własnej osobie. Nazywam się Charlie Mortdecai (w przeciwieństwie do innych dostałem to imię na chrzcie; chyba

matka chciała delikatnie zrobić na złość mojemu ojcu) i mam tytuł *honourable*, po ojcu - a mój brat (niech Bóg nie ma go w opiece) jest baronem, czyli takim niedopieczonym wicehrabią, jak byście powiedzieli, gdybyście dbali o podobne bzdury. Jak mój ojciec.

Jak na razie mieszkam zaledwie kilka furlongów przez pole od obu tych domów, w uroczym dworku (dworek to według pośredników w handlu nieruchomościami i innych kombinatorów z tej branży dom z dwoma ciągami schodów) o nazwie Wutherings, ze swoją niedorzecznie piękną żoną Johanną, Amerykanką austriacko-żydowskiego pochodzenia, i równie niewiarygodnym jednookim, szczerbatym służącym Jockiem. (A przy okazji, jestem marszandem, dlatego muszę mieć przy sobie łotra). Nie przebywam tu na stałe; nie mam tyle pieniędzy, żebym musiał uciekać przed podatkami, a moja żona ma ich za dużo, żeby zadawać sobie ten trud. Tak naprawdę mieszkam w Londynie, ale choć nie jestem tam *persona non grata*, pewien wydział policji zażyczył sobie, żebym na jakiś czas się stamtąd wyniósł. Powody na pewno by was nie zainteresowały, a w tekście małym druczkiem nie ma niczego takiego, co by mi zabraniało na trochę usunąć się w cień, no nie?

Nie zainteresują was także powody, dla których ożeniłem się z Johanną; wystarczy, jeśli powiem, że nie dla jej pieniędzy. Kocha mnie szaleńczo, z niezrozumiałych dla mnie przyczyn, a ja bardzo się do niej przywiązałem. Kompletnie się nie rozumiemy - i dobrze - choć zgadzamy się, że Mozart jest wspaniały, a Wagner wulgarny. Johanna nie lubi dużo mówić, co jest głównym warunkiem udanego małżeństwa; według nieśmiertelnych słów Runyona<sup>8</sup>: „Naturalnie lalka, która woli słuchać, zamiast gadać, musi być popularna, bo jeśli większość obywateli czegoś nienawidzi, to właśnie gadających lalek”. Tak czy owak dzieli nas przepaść, i to w zasadniczym sensie, ponieważ Johanna uwielbia brydza kontraktowego - takiego szurniętego wista - podczas gdy ja uwielbiam re- mika, którym ona gardzi, bo jest zbyt prosty i być może dlatego, że ja zawsze

---

8 Damon Runyon (1880-1946) - amerykański dziennikarz i pisarz.

w niego wygrywam. Jest naprawdę zniewalająco piękna, ale zbyt dobrze wychowana, żeby trzepotać rzęsami na widok innych mężczyzn. Nigdy się nie kłócimy; byliśmy tego bliscy tylko raz, gdy zrobiłem się nieznośny. Wtedy spokojnie zapytała: „Charlie, kochanie, które z nas wyjdzie z pokoju?”.

Wszystkie te trzy domy znajdują się na terenie gminy Saint Magloire, najmniejszej na Jersey. Wciska się ona klinem między Saint Jean a Trinity i ma własną krótką linię brzegową nad zatoką Belle Etoile, na wschód - a może na zachód? - od zatoki Bonne Nuit. To takie ładne nazwy, myślę za każdym razem.

Pan południową porą, Bachus o północy,  
 Lelckostopi bardziej niż koziołek skoczny,  
 W tańcu zachwytem napęlniają oczy  
 Menad i bachantek w orszaku przybocznym,  
 Miękkie jak rade usta, których nikt nie zoczy,  
 Drzew listowie zbytne dwie role jednoczy,  
 I zasłoni przed światem, i widok roztoczy,  
 Boga w pogoni ukaże, a dziewczę omroczy.

*Atalanta w Kalidonie*

Wszystko się zaczęło - a przynajmniej historia, którą chcę opowiedzieć - w Wielkanoc zeszłego roku; w porze, kiedy to, ofiarowując czekoladowe jajka dzieciom nielubianych znajomych i krewnych, przypominamy sobie o legalnym zamordowaniu pewnego żydowskiego rewolucjonisty przed dwoma tysiącami lat.

Przez cały dzień byłem w podłym humorze i wyzywałem się na Jocku. Wiedział, iż winny temu jest brak gazet, a co za tym idzie - krzyżówki z „Timesa”, ale z sobie tylko znanych powodów postanowił się obnosić z obrażoną miną. Kiedy spytałem, co będzie na kolację, odparł z zadowoleniem, że w poniedziałek wielkanocny kamerdynerzy dżentelmenów zawsze dostają wolne, a ci, którzy mają dobrych panów, często są zwalniani na cały weekend.

Wyjaśniłem mu uprzejmie, że nie jest żadnym kamerdynerem przyuczonym do służby u dżentelmena, tylko zwykłym łotrem, i - jak ostatnio zauważyłem - trochę przewraca mu się w głowie.

Odpowiedział w liczbie mnogiej:

- I tacy są wyrzucani na zbitą morde.

Wściekły, że wyhodowałem żmiję na własnym łonie, przebrałem się i pojechałem na kolację do Saint Helier, sypiąc zwirem spod kół samochodu na trawnik. (Ogrodnik i tak od wielu tygodni burczał niezadowolony, więc się go pozbyłem; za sprawą swojego ślimaczego tempa pracy zyskał u Johanny przydomek „Błyskawica”).

Restauracja w Saint Helier, na którą ostrzyłem sobie zęby, okazała się - oczywiście - zamknięta, nie tylko z powodu święta króliczka wielkanocnego. Był to po prostu jeden z „tych dni”, co przesądziło sprawę. Z buzującymi w zawiedzionym żołądku kwasami udałem się do klubu, postanawiając na złość samemu sobie zjeść pieróg z wołowiną i cynaderkami na zimno, a do tego rzekomo młode ziemniaki, przymusowo dojrzewające w cypryjskiej glebie użyźnianej kurzymi odchodami i chłopskimi sikami.

Na schodach natknąłem się na George'a, który właśnie schodził.

- Już zjadłeś? - zapytałem.

- Nie. Zajrzałem do karty dań. Przysmaki panny sklepowej. To nie dla mnie. Jedźmy z powrotem i zagrajmy w tryktraka. W lodówce jest połówka kaczki, jeśli służąca jej nie rąbnęła. Ty mógłbyś przyrządzić tę swoją sałatkę ziemniaczaną. A ja otworzyłbym butelkę twojego ulubionego fleurie.

Zgodziłem się. Ruszyliśmy w drogę powrotną, on w swoim roverze, a ja w absurdalnym mini GT, którego kupiłem, bo nie mogę się oprzeć oksymoronom w nazwach.

Gdy zajechaliśmy na dziedziniec i George zgasił silnik, dobiegły nas krzyki. On ich nie słyszał, dopóki nie otworzył swojego lepiej izolowanego samochodu, więc pierwszy dopadłem drzwi, które okazały się zamknięte. George przekręcił klucz w zamku, przebiegł przez hol i pokonał schody, zanim ja doszedłem do siebie po tym, jak mnie odepchnął.

Jego żona leżała w sypialni, całkiem naga, z szeroko rozłożonymi nogami, i krzyczała tak, jakby jadąc pociągiem Atcheson, Topeka and Santa Fe Railroad, właśnie zbliżała się do wzniesienia. Mimowolnie zauważyłem, że włosy łonowe ma,

inaczej niż to zwykle bywa, jaśniejsze od tych na głowie.

Okno było rozwarte na oścież i zasłony powiewały w ciepłych podmuchach wiatru, ale w pokoju unosił się zapach seksu. George już wydostał się przez okno i uchwycił pnącza, które porastało ścianę na zewnątrz. Ono jednak urwało się pod jego ciężarem i wylądował na żwirze, wydając coś, co należy nazwać przerażającym łupnięciem, oraz przekleństwo bardziej stosowne w ustach sierżanta niż człowieka o pozycji społecznej George'a.

Sonia, wrzeszcząc, zerwała się z łóżka, okryła kołdrą swoje podstarzałe wdzięki, zaczęła przybierać tragiczne miny i wydawać niemile, zdławione odgłosy. Przyjrzałem jej się z zaciekawieniem. Grała, ale była kobietą, więc może nie należało tego uznać za grę, jeśli podążacie za moim tokiem myślenia. Nigdy wcześniej nie miałem okazji obserwować zachowań niedawnej ofiary gwałtu. (Nie mogę użyć słowa *râpée*, przypomina mi bowiem *râpée morvanelle*, które stanowi nadzienie do tarty typu quiche). (To chyba także rodzaj tabaki, czyż nie?). Nie miałem też żadnych wyobrażeń, jak taka ofiara może reagować, ale nie wiem dlaczego to przedstawienie wydało mi się nieprzekonujące; w moim przypadku „zawieszenie niedowierzania”<sup>9</sup> jakoś nie działało. Nie było jednak czasu do stracenia. Nie zamierzałem - chyba nie muszę tego mówić - iść śladem George'a oraz gwałticiela: jestem obecnie nieco korpulentny, no i miałem na sobie nowy, drogi moherowy garnitur. Wiedziałem jednak, że coś należy zrobić, i czułem się w tej sypialni trochę *de trop*.

- No, no - powiedziałem, poklepując Sonię po nakrytym kołdrą ramieniu, które jednak, ku mojemu zakłopotaniu, okazało się tym, co pornografowie nazywają „drżącym łonem”.

- Ojej, przepraszam - bąknąłem, gdy znowu zaczęła dyszeć, i pospiesznie umknąłem z pokoju. Moja starannie budowana reputacja *uno di quelli*<sup>10</sup> legła w gruzach.

Na parterze i za tylnymi drzwiami nie dostrzegłem niczego

---

<sup>9</sup> *Suspension of disbelief* (ang.) - termin użyty przez Samuela T. Coleridge'a.

<sup>10</sup> *Uno di quelli* (włos.) - jeden z tych.

podejrzanego z wyjątkiem dwuznacznych kształtów drogich krzewów, nie wyczułem żadnej woni poza usypiającymi zapachami nocnymi tych jak im tam i nie usłyszałem żadnego dźwięku oprócz burczenia własnego wciąż pustego brzucha.

George mógł być wszędzie, a tym bardziej gwałciciel, jeśli jego wyczyny nie pozbawiły go sił.

W głowie dźwięczało mi:

Chemise de femme, armure ad hoc  
*Pour la gaieprise et la belle choque*<sup>11</sup>.

Koszula nocna Soni, z tych krótkich, uwzględniających poziom morza, leżała na ziemi, co by świadczyło, że gwałciciel się nie spieszył i był pedantyczny.

W ogrodzie nie było nic do roboty; wierzcie albo nie, bijatyka jest jednym z moich ulubionych sportów na wolnym powietrzu, ale lubię mieć pewną przewagę - a mroczne krzaki, w których czają się szaleni gwałciciele, kłócą się z moim pojęciem awantażu. Długie życie i dobre zdrowie zawdzięczam nie czemu innemu, tylko tchórzostwu.

Wróciłem do domu i podniosłem słuchawkę telefonu. Potem jednak ją odłożyłem. Sonia być może nie chciała zwracać się do lekarza; prawdopodobnie bidet i tabletki kodeiny załatwią sprawę, pomyślałem. George pewnie też sobie nie życzył, by policja czy jakieś osoby postronne się dowiedziały, że ktoś wtargnął do sekretnego ogrodu jego żony.

Przyrządziłem więc mocnego drinka z dżinem, sokiem pomarańczowym oraz tonikiem, takiego, żeby przypadł do gustu Soni, zaniósłem go do sypialni i podałem jej, powtarzając uspokajająco: „No, no, dziecino”. Po czym zszedłem na parter i przyrządziłem podobne remedium dla siebie, z tym że z whisky i wodą sodową. Później strzeliłem sobie kolejną szklaneczkę,

---

11 Parafraza fragmentu *Chansons pour elle* Paula Verlaine'a.

*Damska halka, boski strój,  
Jej zbroja na miłosny bój,  
By okryć jędrnych ramion biel,  
Gotowych wkrótce poddać się.*



która smakowała jeszcze lepiej i dała mi takiego kopa, że ruszyłem przez dziedziniec prosto do domu Sama.

- Sam - powiedziałem, gdy w odpowiedzi na moje pukanie otworzył drzwi - naprzeciwko jest pewien kłopot.

- Kłopot? - zapytał. - A brzmiało jak parowy silnik trakcyjny. Już miałem tam pójść, ale pomyślałem, że byłoby impertynencją włączać się w prywatną kłótnię.

Przedstawiłem mu sytuację, a on poszedł po Violet, która przebywała po drugiej stronie domu. Miała zaczerwienioną, zapłakaną twarz, więc spojrzałem na nią spod uniesionej brwi.

- Nie, nic się nie stało - wyjaśniła. - To tylko rak.

- Rak?! - zawołałem wstrząśnięty. - Moja droga, od kiedy go masz?

- Nie ja. Tylko hydraulik.

- Płaczesz, bo hydraulik ma raka?

W normalnych okolicznościach Sam nie zabierałby głosu, delektując się powikłanym tokiem myślenia małżonki, ale tym razem nie było na to czasu.

- Hydraulik - wyjaśnił - jest zapalonym rybakiem. Dziś dał nam pięknego raka, to znaczy kraba, żywego, oj, nawet bardzo. Violet wsadziła go do garnka z wrzątkiem i gdy usłyszała, jak biedak się dobija do przykrywki, ogromnie się wzruszyła. *Hinc illae lacrimae*<sup>12</sup>.

Violet uśmiechnęła się przez łzy, słodko, bezmyślnie.

Chwilę później byliśmy już w Les Cherche-fuites, gdzie wszystko grało jak szafa. George, oblepiony błotem, liśćmi glicynii i żwirem, wydawał do telefonu szczekliwe dźwięki w brygaderskim stylu. Sonia przybierała pozy dogłębnie zgwałconej niczym Emma Hamilton<sup>13</sup> w roli Lukrecji, a z głębi jej gardła wydobywały się głośne, nietwarzowe szlochy. Podbiegła do niej Violet, powtarzając do znudzenia „no, no” i „już dobrze, już dobrze”, ale bez skutku, ponieważ Sonia tylko zmieniła tonację na wyższą. Violet stanowczo zaprowadziła ją

---

<sup>12</sup> *Hinc illae lacrimae* (łac.) - „Stąd te łzy”. Cytat z *Dziewczyny z Andros* Terencjusza, pojawiający się także u Horacego.

<sup>13</sup> Emma Lyon, znana jako Emma, Lady Hamilton (1765- 1815) - angielska tancerka.

do łazienki, żeby przemyć jej twarz czy co tam kobiety robią sobie w chwilach stresu.

George opadł na fotel, patrząc na szklanę scotcha, którą wcisnąłem mu do ręki.

- Podły zwyrodnialec! - warknął. - Zgwałcił moją żonę. Zniszczył mi glicynię.

- Z samego rana przyślę tu człowieka, żeby to obejrzał - oznajmił Sam. - To znaczy glicynię. Jest bardzo wytrzymała... szybko dojdzie do siebie. To znaczy glicynia - dodał, moim zdaniem zupełnie niepotrzebnie.

Zacząłem wycofywać się na palcach; uwielbiam dramatyczne sceny, ale nie pasjonuję się ogrodnictwem.

- Nie wychodź - poprosił George.

- Nie, nie wychodź - powtórzył Sam.

Nie wyszedłem więc, właściwie tak naprawdę nie miałem na to ochoty. Zacząłem się zastanawiać, czy George nie zapomniał o połówce zimnej kaczki i butelce fleurie. Nalałem sobie jeszcze szkockiej.

- Do kogo dzwoniłeś, George? - zapytał Sam.

- Do lekarza.

- Czy to mądre? Trochę krępujące dla Soni, nie sądzisz?

- To nieważne. Drań mógł jej uszkodzić narządy wewnętrzne, zarazić ją jakimś paskudztwem... nawet zrobić bachora... Bóg wie co jeszcze... - Jego głos zdławiło nienawistne milczenie. - Nie zdecydowałem tylko - podjął cicho - czy wezwać policję, czy nie.

To rzeczywiście wymagało namysłu. Raczej nie należało się spodziewać, że opłacani policjanci, nawet gdyby udało się ich ściągnąć z Saint Helier, doszliby do czegoś na podstawie ewentualnych śladów stóp na ziemi czy nieskładnej paplaniny ofiary gwałtu, natomiast miejscowy vingtenier, reprezentujący policję honorową, choćby i będący filarem społeczności, najwyżej próbowałby sobie przypomnieć znanych albo prawdopodobnych gwałcicieli z kręgu podlegających mu dwudziestu rodzin (wyluczając tych, z którymi jest spokrewniony, czyli większość), po czym wezwałby centeniera. Centenier, wybitny i przenikliwy człowiek, też mógł tylko

odwołać się do swojej pamięci: pod względem stanowiska i wyszkolenia stanowił odpowiednik przewodniczącego rady gminy w Anglii i nie miał sprzętu, ludzi ani umiejętności niezbędnych do zorganizowania obławy policyjnej czy przeszukania okolicy dom po domu. Zresztą czego tu szukać podczas takiej obławy? Kogoś dyszącego? A co gorsza, wskutek takiego rozgłosu Sonia zyskałaby tylko sławę „tej biedaczki, którą w zeszlą Wielkanoc dopadł gwałciciel”.

- Wziąwszy wszystko pod uwagę - odezwał się delikatnie Sam - to chyba nie jest dobry pomysł.

- Tak - odparłem z typową dla siebie dwuznacznością.

- Rozumiem was - powiedział George - i nie mogę się z tym nie zgodzić. Ale mamy obywatelski obowiązek. Coś takiego jak wstyd nie powinno się liczyć. Istnieje prawo, no wiecie. Znacznie ważniejsze od nas. Nawet jeśli jest gównem warte. Bo inaczej gdzie byśmy byli?

- Ale skoro wiemy, że prawo nic nie pomoże? - To był Sam.

- Cóż, tak, o to właśnie chodzi, czyż nie? - George namyślał się przez chwilę, zapominając o drinku w swojej dłoni. - Już wiem, co zrobimy - rzekł po chwili. - Jestem oficerem, a poza tym istnieje coś takiego jak obywatelskie prawo do aresztowania, nieprawdaż? Jutro rozmówię się prywatnie z centenierem, wyjaśnię mu, jakie mam uprawnienia. Potem we trzech utworzymy *posse comitatus*<sup>14</sup> i wytropimy tego zwyrodnialca. Tak, postanowione. Dobranoc, panowie. Stawcie się tu jutro o dziewiątej. I weźcie kanapki.

Sam popatrzył na niego z przerażeniem. Natura nie przygotowała go do funkcji członka *posse comitatus*.

Ja także spojrzałem na George'a z przerażeniem; najwyraźniej tego wieczoru nie miałem co liczyć na żadną zimną kaczkę.

Do pokoju weszła Violet, znowu płacząc bez skrepowania.

- To naprawdę okropne - zaczęła. - Kochane biedactwo. Wyczyniał z nią różne bardzo dziwne rzeczy oprócz tego, że... no wiecie, i jest potwornie wystraszona. To musiał być jakiś maniak, nosił maskę, był ubrany w coś, co dziwnie pachniało... a, i miał na brzuchu wymalowany miecz.

---

<sup>14</sup> *Posse comitatus* (łac.) - siły obywatelskie.

George jęknął i przeklął pod nosem. Sam uniósł brwi i zaczął intensywnie myśleć.

- Cholerny drań - rzucił George.

- Niesamowite - dodał Sam.

- Jaką maskę? - zapytałem.

Pozostali spojrzeli na mnie z przyganą w oczach, jakbym użył przy dzieciach określenia „pielegniarka środowiskowa”.

- Jedną z tych głupich, gumowych, ze sklepu ze śmiesznymi rzeczami, tak jej się wydaje. No wiecie. Przedstawiającą Drakulę albo Bestię, no tę od Pięknej.

- Właśnie - zauważyłem. - Bestię.

- Aha! - odezwał się Sam. - Chyba rozumiem. Ale miecz? To coś nowego, nie sądzicie?

- Owszem, ale myślę, że to wszystko układa się w pewną całość.

- Jak to?

- Jeszcze nie jestem do końca pewny, powiem wam za jakiś czas.

- Czy ktoś mógłby mi wytłumaczyć - warknął George - co to ma, k... - urwał i przywołał się do porządku. - Przepraszam - podjął. - Chciałem tylko powiedzieć, że za wami nie nadążam, panowie.

- Bestia z Jersey - wyjaśnił Sam. - No wiesz, facet, który terroryzował wyspę przez kilkanaście lat; zakradał się do dziecięcych pokoi, porywał malców, robił z nimi na polach dziwne rzeczy... nie zawsze te najgorsze... a potem odnosił ich z powrotem do łóżek. Policja uważa, że takich porwań było ponad sto, ale naturalnie większości z nich nie zgłaszano, z powodów, które na pewno... eee... zrozumiesz. Facet nosił gumową maskę, ofiary mówiły, że dziwnie pachniał i miał dziwaczne stroje nabijane ćwiekami. Złapali gościa tuż przed tym, jak się tu sprowadziłeś. Nazywa się Paisnel i, słusznie czy nie, odsiaduje trzydziestoletni wyrok.

- Nie chciałbym być na jego miejscu - włączyłem się. - Więźniowie są szalenie sentymentalni i obchodzą się naprawdę bestialsko ze skazańcami, którzy skrzywdzili dzieci. Robią im takie rzeczy, że nieszczęśnicy potem śpiewają altem, jeśli

wiecie, co mam na myśli.

- O tak! Wyobrażam sobie. Ja sam nie mam żadnych doświadczeń w tej dziedzinie. Ale wierzę wam na słowo.

To był kiepski żart, nawet jak na Sama; postanowiłem dopilnować, aby spotkała go za to kara. Nie jestem mściwy, ale przecież nie mogę pozwolić, aby moi przyjaciele zniżali się do takiego poziomu. To kwestia jakości życia.

- Co było jednak ciekawe - ciągnął Sam, gdy ja nie mogłem otrząsnąć się z przygnębienia - Paisnel wciąż powtarzał, że „to wszystko jest częścią czegoś innego”, ale nie mówił czego. Twierdził tylko, że gdy go aresztowano, wybierał się na spotkanie z „pewnymi ludźmi”, jednak nie zdradził, kim oni są.

- To oczywiście - skwitował George. - Łobuz należał do bandy czarownic czy czarnoksiężników. Przypominam sobie teraz. Opowiadał mi o tym hydraulik, kiedy przyszedł tu pijany zaraz po Bożym Narodzeniu. Wygląda na to, że ten Paisnel jest niewinny, wszyscy miejscowi, z większością policji honorowej włącznie, wiedzą, czyja to robota... a może mówił, że Paisnel był tylko pionkiem...?

- „Tę konającą powtórzcie kadencję...”<sup>15</sup> - mruknął Sam.

- Otóż to. I ten Paisnel miał tajemny pokój, pamiętacie, trzymał tam ceramiczną żabę czy ropuchę i to miała być ta „część czegoś innego”. A w samochodzie, w którym został nakryty, woził jeden z tych papistowskich krzyży z Niedzieli Palmowej i podobno zaczął krzyczeć, gdy kazali mu go dotknąć.

- To chyba jakieś brednie? - zapytałem niecierpliwie.

- Niekoniecznie. Widziałem zbyt dużo dziwnych rzeczy, żeby drwić z... różnych osobliwości.

- W Indiach, jak przypuszczam?

Łypnął na mnie podejrzliwie.

- A tak - odparł krótko. - Tam i gdzie indziej. Cóż, nie będę was dłużej zatrzymywał. To miło, że mi pomogliście, naprawdę.

Gdy jechałem do domu, aż skręcało mnie z głodu. W lodówce nie było niczego kuszącego, a już na pewno ani kawałka kaczki na zimno, przypadkiem wiedziałem jednak, gdzie Jock trzyma swoje skarby, więc złośliwie pochłonałem całą puszkę kawioru

---

15 William Szekspir, *Wieczór Trzech Króli*, przeł. Leon Ulrich.

na grzance (prawdziwego groszrybresta; jeśli już Jock coś kradnie, to wybiera najlepsze, gardzi belugą czy ossetrą) i zostawiłem kuchnię w okropnym stanie. Na złość.

Johanna na górze najwyraźniej spała, więc z zadowoleniem wślizgnąłem się do łóżka jak złodziej.

- Mam cię! - wrzasnęła tryumfalnie.

- Uważaj, na miłość boską, bo przez ciebie zacznę śpiewać altem.

- Gdzie się podziewałeś, ty mały niegrzeczny ogierze?

Opowiedziałem jej całą historię, a ona słuchała zafascynowana.

- Pobawmy się w gwałt - zaproponowała, kiedy skończyłem.

- Nie będą wlaził przez żadne cholerne okno.

- Tę część ci daruję.

- Ale nie mam gumowej maski.

- Zaimprovizuj coś.

- No, naprawdę.

- Będę udawała, że śpię, a ty zakradniesz się do pokoju, rzucisz się na mnie i zrobisz ze mną, co chcesz, ja zacznę krzyczeć, ale jak najciszej, żeby nie obudzić naszego przemilego gospodarza.

- Obiecujesz, że nie będziesz drapać?

- Tylko delikatnie.

Później, znacznie później, powlokłem się do kuchni, żeby zrobić sobie kanapkę z dżemem. Zostałem tam Jo-cka, który w ponurym nastroju jadł fasolę w sosie pomidorowym. Miał wszelkie znamiona sługi, który przegrał w domino kupę forsy. Nie rozmawialiśmy ze sobą. Ale ja przynajmniej myślałem.

Któż ci rzekł, wyjawiał o mnie?  
Któż?  
Czy dojrzałeś mnie w poświęceniu zórz?  
Czy słyszałeś o mnie w szumie mórz?  
Czyś duchowym druhem nocy? Naradzałeś się  
Z wichrami burz?

*Herta*

Johanna i ja nie mieliśmy wspólnej sypialni, a już na pewno nie zamierzaliśmy dzielić łóżka. Spanie w jednym łóżku z przedstawicielem płci przeciwnej jest barbarzyńskie, niehigieniczne, nieestetyczne i w błogosławionej dobie koców elektrycznych - zupełnie niekonieczne. Oznacza, że jeśli jedno cierpi na bezsenność, to udziela się ona drugiemu, a co najgorsze, prowadzi do stosunków cielesnych także rano - co jest bardzo szkodliwe dla serca i sprawia, że je się potem zbyt obfite śniadanie. Jeśli znajdę kobietę, z którą zechcę spędzić w jednym łóżku całą noc, także śpiąc, to będzie dowód, że się zakochałem - albo zdzieciniałem. Do tego czasu pewnie i to, i to.

Spałem więc w garderobie, gdy Jock przyszedł mnie obudzić w wielkanocny wtorek. Jego „dzińdobry” nie zabrzmiało bardziej gburowato niż zwykle; mogłem więc liczyć, że ogłosił rozejm. Niemniej skosztowałem herbaty nader ostrożnie, gdyż najgorszą bronią w arsenale Jocka jest zaparzenie jej wodą, która nie osiągnęła wrzenia; to straszna zemsta, ale Jock jest brutalem, zresztą dlatego go zatrudniam.

Herbata była całkiem dobra. Jock wybrał assam fioletowy broken orange pekoe ze składu Jacksona i zaparzył ją według zasad sztuki. Uśmiechnąłem się do pocziwca promiennie.

- Jock, dziś zostanę członkiem komitetu. Proszę, przygotuj mi garnitur od Levisa, stetsona i kowbojki na obcasie, winchester kalibru siedemdziesiąt trzy oraz silnego wytrzymałego konia.

- Nic z tego nie mamy, panie Charlie.

- Więc pumpy do kolan, mocne buty i dużą pałkę.

- Sie robi. Czy mam jechać z panem?

- Jeszcze nie, ale proszę, nie odchodź od telefonu, dopóki nie zadzwonię.

- W porządku. Bo pan wie, że go nie złapiecie, co nie?

Wytrzeszczyłem na niego oczy.

- Kogo nie złapiemy?

- No, oczywiście tego, co przeleciał panią Break- spear. Głupak, wystarczyło, żeby poprosił, no nie?

- Uważaj, co mówisz. Pan Breakspear to mój przyjaciel.

- Sorki, panie Charlie. Ale przecież wszyscy wiedzą, że...

- Zamknij się. A przy okazji, skąd się dowiedziałeś o tym... eee... incydencie?

- Od dziewczyny, co roznosi gazety.

- Ale przecież prasę przywożą z Groiwille i jest tu dopiero przed ósmą. Jak to się mogło roznieść w ciągu nocy?

- Jersey - rzucił enigmatycznie.

- No tak. Jasne. Ale co to miało znaczyć, że nigdy go nie złapiemy?

- Niech pan ruszy mózgownicą, panie Charlie. Po pierwsze, gdzie będziecie go szukać?

- Muszę przyznać, że sam zadałem sobie to pytanie. A po drugie?

- Tak mówią. Że wam się nie uda. Tubylcy. A oni wiedzą.

- Hm, cóż, to inna sprawa.

-No.

W południe, odziany w gruby irlandzki kolcoodpor- ny tweed, z laską w dłoni, wkroczyłem w ciężkich butach do salonu w Les Cherche-fuites. George miał na sobie flanelowy garnitur i białą koszulę, a Sam był ubrany w bermudy i jedwabną koszulkę z Palm Beach. Obaj spojrzeli na mnie ze zdziwieniem.

- To tylko narada - zauważył George łagodnie.

- Och. Rozumiem.



- Wzięłeś ze sobą naganiaczy? - zapytał Sam.

-Nie.

- A może ładowacza?

Zripostowałem szybko jak błyskawica.

- O tej porze mam zwyczaj pić szklanekę butelkowanego piwa. -  
I poszedłem do kuchni, żeby się obsłużyć.

Po powrocie do salonu zauważyłem wysokiego, jakby źle poskładanego mężczyznę w granatowym garniturze. Siedział nerwowo na brzegu krzesła z prostym oparciem. Miał o wiele za małą głową w stosunku do potężnej sylwetki, ale rekompensowały to ręce; były jak łopaty. Okazało się, że jest to centenier, niejaki Hyacinthe le Mignone, i gdy podałem mu dłoń, uściśnął ją bardzo delikatnie, jakby nie chciał jej zmiażdżyć. Mówił niskim, melancholijnym, stłumionym głosem, który by zachwycił Matthew Arnolda<sup>16</sup>.

Narada dopiero się zaczęła; wymieniono tylko uprzejmości i tym podobnie. Zaczął centenier.

- Cóż, panie Breakspear! - ryknął. - Na razie nie trafiłem na nic, co można by uznać za trop. W tej gminie mamy tylko dwóch zboczeńców zasługujących na to miano i żaden z nich nie pasuje do opisu. Jeden z nich jest chory umysłowo... tak?... ale jego modus operandi jest zupełnie inny niż to, co zeznała pańska żona. Głównie interesują go siodełka rowerowe małych dziewczynek, co wydaje się niewinną słabostką starszego pana, choć mamy go na oku, tak? Kiedyś' zaciągnął dziewczynkę na pole żonkili, ale gdy zaczął się do niej dobierać, wsadziła mu palec w oko i uciekła, a potem powiedziała o wszystkim ojcu, który akurat był vingtenierem i spuścił tamtemu manto; nie sądzę, żeby facet odważył się na coś takiego jeszcze raz, tak?

To było fascynujące; żałowałem, że nie jestem powieściopisarzem.

- Drugi to jeszcze chłopak, ma z piętnaście lat. Natura obdarzyła go dużym przyrodzeniem, a on nie może się powstrzymać, żeby co jakiś czas nie pokazywać go szanowanym damom, tak? Żadna z nich do tej pory nie wniosła skargi, ale chłopak każdorazowo przychodzi do mnie, przyznaje się do

---

16 Matthew Arnold (1822-1888) - angielski poeta i krytyk kulturalny.

winy i macha mi interesem... mówi, że chce, abym zrozumiał!

- I patrzy pan? - zapytałem z kamienną miną.

- A broń Boże! Odpowiadam, żeby pokazał go na wydziale chirurgii i zabił im ćwieka, tak? Poza tym widuję większe - dodał z wielce wymowną skromnością. - Istnieje jeszcze jedna możliwość... - podjął - o, dziękuję, wprawdzie nie powinienem, bo żona urządzi mi piekło, kiedy poczuje to ode mnie... więc istnieje jeszcze jedna możliwość: że to ten, kto w miesiącach wiosennych i letnich kradnie damskie majtki ze sznurów do suszenia. Ale to raczej nie pasuje do desperata, który wspina się po murze, zakrada przez okno i bierze dojrzałe kobiety siłą, tak? Bardziej wskazuje na kogoś, kto lubi, jak to nazywamy, pojedyncze akcje. Co więcej, tamten zawsze kradnie wielkie staromodne galoty, tak?... mówimy na nie „gacie”... a nie takie fikuśne majteczki, jakie na pewno nosi pańska żona.

Zapał w pełne namysłu milczenie, przymykając oczy

- Proszę mówić dalej - burknął George.

- Sądziemy więc, że facet nie pochodzi z naszej gminy, ale skąd wobec tego? W Trinity, u sąsiadów, nie ma nikogo takiego, kto mógłby się równać z naszymi podejrzanymi. - W jego głosie słuchać było zrozumiałą dumę. - Mają dwóch czy trzech pedałów, jak my wszyscy, i kilka aktywnych prostytutek: Sprośną Gertie, Tanią Alice i inne... ale oni wszyscy trzymają się Saint Helier, bo tam można zarobić, tak? Ach, i jest ten staruch, który wydzwania do kobiet i opowiada, co by im zrobił, ale wiemy, kto to jest. Całkiem sympatyczny facet, nikomu nie robi krzywdy, straszliwie boi się żony.

I to tyle.

- A w Saint John? - zapytał spokojnie George.

- Nie wiem, naprawdę. Dużo tam przestępstw, ale żadnych w tym rodzaju, o których bym słyszał. Jest oczywiście stary Pouquelaye, jednak to tylko świntuch. Robi to z jałówkami.

Zamilkliśmy, oszołomieni odkryciem, jak żyje druga połowa ludzkości. Nagle mi się wydało, że tracę coś z życia.

- Rozmawiał pan z opłacaną policją? - zapytał George.

- Naturalnie, proszę pana. Odpowiedzieli, że zawsze są zadowoleni, gdy się ich informuje o tym, co dzieje się na

wyspie, ale nie bardzo wiedzą, jak mogliby pomóc. Chyba że ja i moi vingtenierzy dostarczymy im jakichś materiałów, na których mogliby się oprzeć.

- Jakich na przykład?

- Hm, na początek mogłyby to być ślady stóp. Wyraźne. Wtedy by przyjechali i wzięli odlewy.

- Obawiam się, że to by było za dużo szczęścia. Już patrzyłem. Ścigając drania, wylądowałem na ziemi i musiałem zatrzeć ślady pod oknem. Poza tym facet chyba trzymał się żwirowych ścieżek. Nie mamy żadnych tropów.

- Jest pan pewny, proszę pana?

- W czterdziestym drugim pomagałem tworzyć służby wywiadowcze.

- Ach, tak! Ja mniej więcej w tym czasie pomagałem tworzyć ruch oporu na Jersey.

Wymienili porozumiewawcze, kombatanckie spojrzenia - takie, jakie wymieniają silni mężczyźni w dziełach Rudyarda Kiplinga.

- Później wspomnieli o odciskach palców i innych dowodach.

- I tu nic nie mamy. Zanim żona i ja wstaliśmy, pokojówka starannie wysprzątała pokój. Gorliwa baba. Zazwyczaj nie mogę się jej doprosić, żeby opróżniła popielniczkę.

- Co za pech, tak?

- Niestety. Ale nie sądzę, żebyśmy mieli na Jersey porządną kartotekę z odciskami palców.

- Jeśli nawet, to niezbyt aktualną. Cóż, co innego próbki spermy. Zdaje się, że można ją sklasyfikować, tak jak grupy krwi.

- To nie wchodzi w rachubę - oświadczył George.

- A gdyby dałby mi pan pościel pańskiej żony czy jakiegokolwiek elementy garderoby, na których...

- Powiedziałem: nie.

- A może lekarz by pobrał...

- Stanowczo nie, do cholery! - huknął George, co nas wszystkich dość przestraszyło.

- Tak, naturalnie, proszę pana. Delikatność wymaga, aby...

George wstał.

Centenier zamilkł.

- Nie zostanie pan na lunch? - zapytał George dziewiętnastowiecznym tonem. - Nie. Cóż, chcę panu podziękować za dotychczasową pomoc. Bardzo uprzejmie z pańskiej strony. Nie miał pan kapelusza? Piękny dziś dzień, nieprawdaż? Do widzenia.

Zamknął za centenierem drzwi frontowe, nawet delikatnie. Po powrocie do salonu zmierzył nas ostrym wzrokiem, nie pozwalając nam na żadne uśmieški. W końcu jednak się rozluźnił.

- Jeśli szukacie właściwego wyrażenia - odezwałem się ostrożnie - to brzmi ono: „Chrzanić starego szczura”.

- Chrzanić starego szczura - powtórzył za mną. - Dobrze, stare kawaleryjskie powiedzenia. Kawaleria jednak odegrała swoją rolę we współczesnym życiu.

Sam jakby obudził się z głębokiej drzemki.

- Jestem tak głodny, że nawet szczurem bym nie pogardził - oznajmił.

- W lodówce była połówka kaczki - powiedział George przeprasząc - ale obawiam się, że wieczorem, po waszym wyjściu, ją zjadłem. Sonia nie jest w stanie gotować, a służąca nie odróżnia kuchenki od autoklawu. Jedźmy nad zatokę Bonne Nuit Bay na homary.

- Ale czy wpuszczą tam Charliego? - zapytał Sam niewinnie. - Bo wygląda trochę barbarzyńsko...

Spojrzałem na niego ze zdziwieniem. Zawsze miał cięty język, ale ostatnio był wręcz przepełniony jadem.

- Wrócę do domu, żeby się przebrać - odparłem sztywno. - Zamówcie i dla mnie. Poproszę średniej wielkości samicę homara, podzieloną i upieczoną z dużą ilością masła, trzy krokiety ziemniaczane i sałatkę z serc dwóch sałat zielonych. Sam doprawię ją sosem.

- Jakie wino? - zapytał Sam.

- A dziękuję, to miłe z twojej strony. Wypiję, co zaproponujesz, słyniesz z dobrego gustu w tych sprawach.

Przy lunchu zgodziliśmy się, że dopóki nie zdobędziemy więcej informacji, mamy niewielkie pole manewru. George

wyzaczył fundusz na śledztwo w wysokości stu funtów: dziesięć łapówek po pięć funtów dla ogrodników i innych sprzedawczyków, którzy mogliby nadstawić ucha, i pięć funtów nagrody dla tych, którzy dostarczą konkretnych informacji. Wyższe kwoty, jak słusznie zauważył, tylko pobudziłyby wyobraźnię, a nam zależało na twardych dowodach.

O trzeciej się rozstaliśmy, ja - trawiąc w stanie błogości, jaką tylko mogą na człowieka sprowadzić homar z rusztu i butelka gewürtztraminera, spotęgowanej jeszcze świadomością, że to Sam fundował wino.

Pojechałem do Saint Helier, a konkretnie do biblioteki muzeum Société Jersiaise. Powiedziano mi, że to instytucja prywatna, jednakże wymieniłem cicho nazwisko pewnego uczonego rektora i natychmiast rozwinięto przede mną czerwony dywan.

Materiały, których szukałem, były rozproszone i trudne do znalezienia, szczególnie że nie chciałem angażować do pomocy bibliotekarza, a kiedy wreszcie je znalazłem, okazało się, że większość z nich jest napisana w patois jersiais, a reszta w starym normandzko-francuskim. Próbką patois da wam moim zdaniem wyobrażenie, jaki to straszny język: *S'ïou iou que l'vent est quand l'soleit scouoche la séthée d'ia S. Miché, ché s la qunous etha l'vent pour l'hivé.* To ma znaczyć, że z kierunku, z którego zawieje wiatr o zachodzie słońca w dniu świętego Michała Archanioła, będą wiały wiatry przyszłej zimy - całkiem wiarygodny koncept, muszę przyznać.

Z głową pełną oderwanych informacji wyszedłem niepewnie na wieczorne słońce i potworny tłum turystów. Było jasne, że to nie na rozum Mortdecaia - potrzebny był specjalista. Niemniej dowiedziałem się o Paisnelu kilku rzeczy, których nie wiedziała policja. Na przykład to, że on i jego ceramiczna ropucha rzeczywiście byli „częścią czegoś innego”; czegoś, co miało umrzeć trzysta lat temu, prawie tak paskudnego jak ludzie, którzy to wyplenili - a przynajmniej tak im się wydawało.

Kiedy przyjechałem do domu, Johanny nie było; pewnie wybrała się na brydża. Upodobanie do tej gry stanowi najmniejszą wadę mojej żony, więc na zdrowie. Pomyślałem, że

jeśli dopisze mi szczęście, wróci bardzo późno, zbyt zmęczona na miłosne igraszki.

Napisałem do Hatchards<sup>17</sup>, zamawiając egzemplarz *Malleus Maleficarum*<sup>18</sup>, największego kompendium wiedzy o średniowiecznych czarach, i prosząc, aby był po angielsku.

Jock i ja, zakopawszy topór wojenny, urządziliśmy sobie w kuchni ucztę złożoną z kotletów wieprzowych, podsmażanego groszku i tłuczonych ziemniaków, wieńcząc ją *croque monsieur*<sup>19</sup>, żeby nie dopadł nas w nocy głód.

Potem, wspomagając trawienie butelką najprzedniejszej szkockiej Mr Teachers, obejrzelśmy *Casablancę* z Bogartem i Bergman, piękny film. Spłakaliśmy się obaj jak bobry. Gdyby telewizja nie istniała, ktoś musiałby ją wynaleźć, takie jest moje zdanie.

Gdy już zasypiałem, do mojego łóżka wślizgnęła się Johanna; promieniała jak kobieta, która właśnie wygrała od bliskiej przyjaciółki ponad osiemdziesiąt funtów. Co najmniej taką sumę wydaje co miesiąc na wypijanego przy śniadaniu szampana, ale była nader zadowolona i próbowała mi to zakomunikować w typowy dla siebie sposób.

- Nie, proszę - zaoponowałem. - Jest już bardzo późno i cierpię z powodu braku umiaru przy stole.

- Dobrze, w takim razie przynajmniej mi opowiedz, co się dzisiaj działo - odparła nadąsana. - Złapaliście tego szatana w ludzkiej postaci?

- Nie szukaliśmy. Uznaliśmy, że na razie możemy jedynie się przycisnąć i posłuchać, co mówią ludzie. Spotkaliśmy się tylko z przemiłym centenierem, który opowiedział nam o miejscowych zbrodnicach. Z oczami jak spodki Johanna wysłuchiwała tego wszystkiego, co zapamiętałem o satyrach z sąsiedztwa.

- A w Saint John - zakończyłem - mieszka całkiem szanowany

---

17 Hatchards - najstarsza księgarnia w Wielkiej Brytanii.

18 *Malleus Maleficarum* (Młot na czarownice) - traktat na temat magii, spisany przez dominikańskiego inkwizytora Heinricha Kramera w 1487 roku.

19 *Croque monsieur* - grillowana kanapka z szynką i serem oraz sosem beszamelowym.

obywatel, który robi to z jałówkami. Co na to powiesz?

Wtedy przybrała pozycję na czworakach, kokieteryjnie wypinając apetyczny tyłeczek.

- Muuu? - zaryczała z nadzieją.

- No dobrze, niech ci będzie.

Jego mowa to żywy płomień,  
 Usta to znoju wyklucie,  
 Serce siedliskiem ślepych łakomień,  
 W oczach już śmierci przecucie;  
 Tkacz, co w szyderstwo odziany,  
 Sieje, lecz obce mu żniwa,  
 Jego żywot strażą albo omamem,  
 W chwilach gdy sen nie przyzywa.

*Atalanta w Kalidonie*

- Jock - powiedziałem do Jocka, popijając już drugą filiżankę wybornego prawdziwego earl greya w środę wielkanocną. (Bo chyba jest środka wielkanocna, prawda? Jeśli o mnie chodzi, jedynym ruchomym świętem, które uznaję, jest comber barani na wózku u Simpsona<sup>20</sup>). - Jock - powiedziałem więc - chociaż jesteś niewykształconym prymitywem, zauważyłem u ciebie pewne cechy, które cenię. Tym razem nie mam na myśli twoich iście niebiańskich zdolności w posługiwaniu się imbrykiem do herbaty i patelnią, lecz inny rzadki talent.

Przekrzywił nieco głowę, żeby nieufnie łypnąć na mnie szklanym okiem.

- Tym razem chodzi o twoją wrodzoną umiejętność wdawania się w rozmowy, złe towarzystwo i bójki z gośćmi w pubach.

- Ehm. Strasznie mnie pan zrugał, gdy ostatnim razem spuściłem takiemu łomot, co nie?

- Cóż, owszem, ale to dlatego, że w efekcie wysłałeś go na tamten świat, nieprawdaż? A ile razy ci mówiłem, żebyś się tego wystrzegął, bo wiesz, jak źle mi to działa na trawienie. Przez

---

<sup>20</sup> Simpson's-in- The-Strand - jedna z najstarszych tradycyjnych restauracji w Londynie.



ciebie musiałem nakłamać policji, że cały wieczór oglądałeś ze mną w telewizji Moliera, a oni i tak nie uwierzyli w ani jedno słowo, tak było czy nie?

Rzucił mi wredne spojrzenie - takie, od którego wciąż przebiegają mnie ciarki - odsłaniając przy tym pojedynczy, długi, żółty kieł, spoczywający na dolnej wardze o barwie wątroby.

- Jednakże - ciągnąłem - ten twój talent czy też dryg może nam się teraz przydać. Oto dziesięć funtów, najlepszych, jakie wyszły spod prasy drukarskiej Baliwatu Jersey. Możesz je wydać na piwo, cydr, rum czy na co tam ma ochotę twój aktualny odstręczający Jerseyczyk. Ale stawiaj tylko tutejszym. Jedyne oni mogą coś wiedzieć.

- A o czym to, panie Charlie?

- Gdzie kto był w poniedziałek wielkanocny. Kto mógł się wspiąć po niebezpiecznej glicynii, żeby bezprawnie zaspokoić chuć, kto nadal bierze udział w obrzydliwych staroświeckich orgiach... i może kto trzyma ceramiczną ropuchę na... eee... kominku.

Zastanawiał się przez minutę albo dwie, a przynajmniej marszczył czoło i przygryzał wargę, jak to zaobserwował u innych, gdy myślą.

- Nie mogę pytać miejscowych o takie rzeczy. Od razu się zamkną jak cholerne małże.

- Więc ich nie pytaj. Powiedz im. Powiedz, co ty sądzisz o tym wszystkim. Gadaj, co ci ślina na język przyniesie, gdy będziesz im nalewał. A potem patrz, kto się uśmiecha. Zwróć uwagę, kto nazwie cię idiotą. Nie rwij się do bicia; udawaj głupka i czekaj, aż zostaniesz zaczepiony. Ktoś w końcu wpadnie w zasadzkę.

- Mam zgrywać Lesa Kelletta?

- Otóż to.

(Les Kellett to zawodowy zapaśnik i świetny klaun; powalony ciosem udaje, że się zatacza, ale robi to zwykle, kiedy jego przeciwnik chce mu zadać *coup de grace*. Potem jest zdziwiony i skruszony, gdy ten przelatuje przez liny i pada za ringiem na mordę. Czasami pomaga mu wrócić na deski, otrzepuje go, a potem wymierza zabójczy prawy sierpowy i wygrywa. Czasami

z roztargnieniem podtrzymuje sędzię i jednocześnie uderza przeciwnika. Jest bardzo odważny, silny i zabawny).

W swojej ignorancji dałem mu jeszcze kilka wskazówek i odprawiłem go mniej więcej w stronę pubów.

Niebawem usłyszałem, że uruchomił swój motor i popyrkał. Użyłem tego słowa, bo jeździ jednym z tych starych, uroczych przedwojennych arielów z silnikiem o pojemności tysiąca centymetrów sześciennych, czterema cylindrami i rurą wydechową w kształcie rybiego ogona jak na torze Brooklands. To jego duma i ra- dość, ale we mnie budzi przerażenie.

Puby były otwarte i już zatłoczone, na Jersey chyba w ogóle ich nie zamykają. (Jest wiele lotów z Heathrow; żeby uniknąć rozczarowania, zarezerwuj bilet już teraz). Ponownie udałem się spać, spokojny, że zadanie spicia chłopstwa spoczywa w rękach fachowca. Ponowne udanie się spać jest nieskończenie rozkoszniejsze niż pierwsze udanie się spać.

Ledwie jednak zamknąłem oczy, a przynajmniej tak mi się wydawało, gdy Johanna mnie pobudziła - i używam tego słowa świadomie. Uniosłem powiekę.

- Przyniosłaś mi herbatę? - spytałem.

- Jasne, że nie. Zabawny jesteś, Charlie.

- W takim razie nie ma mowy i pozwól, że ci przypomnę o stryju Fredzie i cici Mabel, którzy potem zasłabli przy śniadaniu.

- Charlie, to nie rano, jest już po pierwszej. Poza tym nie jadasz śniadań, nie nabierzesz mnie tak łatwo.

Umknąłem pod prysznic, ale nie byłem dość szybki i Johanna wcisnęła się pod niego razem ze mną. Odegraliśmy bitwę nad Little Bighorn. Potem odkryłem, że było dopiero wpół do dwunastej; to niedobrze, gdy człowiek jest okłamany przez własną żonę, nie sądzicie?

Później pojechaliśmy samochodem Johanny do Gorey po wschodniej stronie wyspy, na lunch niespodziankę w Moorings, gdzie podają doskonale owoce morza. Johanna patrzyła na mnie z niepokojem, jakby się obawiała, że zemdleję przy stole. W drodze do domu z jakiegoś tajemniczego amerykańskiego powodu zatrzymała się, żeby mi kupić dużą butelkę tabletek

multiwi- taminowych.

Jocka wciąż nie było. Usiedliśmy z Johanną na trawniku w słońcu i popijaliśmy wino reńskie z wodą sodową. Johanna zwykle nie pije po południu, ale powiedziałem jej, że są urodziny Oscara Wilde'a, i kto wie, być może faktycznie były.

Wieczorem pojechaliśmy na przyjęcie na wyspie Alderney, trafnie opisywanej jako skała z uczepionym półtora tysiącem alkoholików. Kolacja była pyszna, ale lot powrotny do domu małym piperem Sama stanowił makabryczne przeżycie, zwłaszcza że Sam załatywał alkoholem.

Po powrocie zastaliśmy w kuchni Jocka. Nie był pijany, w każdym razie według własnych standardów, ale jego twarz, dziwnie drewniana, oraz chwiejny krok świadczyły, że kolesie z Jersey nie przepili dziesięciu funtów sami.

Johanna, która była, jak mówiło się w szkole, „zwolniona z wuefu”, poszła do łóżka.

- No, jak tam, Jock, dowiedziałeś się czegoś?

- Nie bardzo, panie Charlie, ale jak powiadają, zarzuciłem wędkę. Zmarnowałem trochę czasu na gościa, który pochodził z Guernsey. Skąd miałem wiedzieć, no nie?

- Chyba noszą inne pulowery.

- A co to ja, kapelusznik?

- Nie, Jock. Mów dalej.

- No więc niektórzy z miejscowych byli jakby zaciekawieni i chyba ze dwóch by puściło parę z ust, gdyby nie było tam ich kumpli. Tak czy siak jeden z nich przyjdzie tu jutro wieczorem na domino. Udałem, że zwędziłem panu butelkę scotcha

- Udałeś?!

- No. A, i namówiłem jednego dziada, żeby raz na tydzień przychodził pomagać w ogrodzie. Chyba nie palnąłem głupstwa, co? Sprawiał wrażenie porządnego chłopca, poznałem go w pubie w Carrefour Selous, podobno stary drań zna każdą dziurę na Jersey i nigdy w życiu się nie kąpał.

- To musi być wspaniały facet, marzę o tym, żeby go poznać. Co tam jesz?

- Kanapkę z peklowaną wołowiną.

- Z dużą ilością musztardy?

- Sie wie.
- I chyba grubo pokrojoną cebulą. Mam rację?
- No.
- Chleb wydaje się świeży i chrupiący.
- Jakżeby nie! Tylko zjem, to panu też taką zrobię.
- Czytasz mi w myślach! - zdumiałem się.
- Panie Charlie?
- Tak, Jock?
- Co to jest „crappo”?
- Nie mam pojęcia. Ale dlaczego pytasz?
- Bo ten z Guernsey twierdził, że to miejscowe pozdrowienie, i mnie podpuścił, żebym powiedział tak do jednego gościa, ale wtedy tamten próbował mnie stłuc.
- Próbował? Jock, czy znowu wdałeś się w bójkę?
- Ano nie. Tylko złapałem go za łapę i ścisnąłem, aż powiedział, że to była pomyłka, wtenczas właściciel knajpy wytłumaczył facetowi, że nie chciałem mu zrobić krzywdy, ale gdy zapytałem, co to słowo znaczy, tamten znowu się najeżył, więc dałem sobie spokój, postawiłem wszystkim następną kolejkę i było po sprawie, tyle że chyba skopali tyłek temu z Guernsey, gdy dorwali go potem na dworze. To dziwne, że nie wie pan, co znaczy „crappo”, bo przecież słyszałem, że mówi pan po francusku jak żabojad.
- *Crapaudi*- wykrzyknąłem.
- No właśnie. Crappo.
- To francuskie słowo i znaczy „ropucha”.
- Ze co? Ropucha?
- Tak. I mówisz, że na Jersey ich nie lubią?
- Oni je tu jedzą. Uważają, że to diabelski przysmak.
- „Diabelski” jest być może lepszym słowem, niż myślisz.
- Jak to?
- Nieważne. To co z tą kanapką?
- Już się robi. A, i o mało bym zapomniał. Kiedy mówiłem, że ten, co dobrał się do pani Soni, miał wymalowany na bandziochu miecz, jeden z nich trącił drugiego, a ten stary, co ma przyjść do roboty w ogrodzie, się zaśmiał pod nosem. Nie pytałem, o co chodzi, bo wiedziałem, że nie puszcza farby. To

chyba musiał być jakiś dowcip. Albo coś sprośnego.

- Może jedno i drugie. Chyba wyczuwam odległy dźwięk fallicznych czyneli.

- Że co?

- O, kanapka. Pyszna. Zabiorę ją do łóżka. Dobranoc, Jock.

- Branoc, panie Charlie.

Wiem, że powinienem był pójść do Johanny i życzyć jej dobrej nocy, bo zdaję sobie sprawę, ile dla słabszej płci znaczą takie drobne przejawy kurtuazji, ale chyba zapomniałem. Nawet mężczyźni nie są doskonali.

Zeń mocarz, powiadasz, i tajemnica,  
Co różne przywdziewa lica.  
Zna go zwierz dziki i ptak w przestworzach,  
Noc ślepa widzi; pod jego tchem,  
Skarlała Śmierć staje się tłem,  
Prawicą twardo włada na morzach.  
Stworzył nas, wiemy, to wielki król.  
Azali się troska o czyjkolwiek ból?

*Do Victora Hugo*

Następnego dnia właściwie nic się nie wydarzyło, oprócz tego, że rankiem ja i moja wątroba nie mogliśmy dojść do porozumienia. Wypiłem mleczko magnezowe, al-ka-seltzer i sole owocowe Eno, w takiej kolejności, aż mój żołądek stał się pustą grota, w której hulają wiatry i woda, ale to nie przyniosło efektu.

- Potrzebuje pan klina, panie Charlie - zauważył Jock z szorstkim współczuciem.

- Myślisz, że to by pomogło?

- Sie wie.

Więc strzeliłem sobie jednego, żeby nie urazić Jocka, i wiecie co? Miał całkowitą rację. Kto jak kto, ale on się na tym zna.

Tamtego dnia w gazetach też nie było żadnych ciekawych informacji, oprócz tego, że kilku Arabów zamordowało jakichś Żydów, kilku Żydów wzięło odwet na kilku Arabach, jacyś Hindusi spreparowali bombę atomową, żeby zrzucić ją na Pakistańczyków, a zbieranina różnych Irlandczyków pozabijała się nawzajem na nieprzyjemne sposoby. Naprawdę trzeba Bogu oddać, że ma niesamowitą wytrzymałość. Jahwe przeciwko Mahometowi, Brahma przeciwko Allahowi, katolik przeciwko

protestantowi: ileż to zabawy zawdzięczamy religii, nieprawdaż? Gdyby Bóg nie istniał, wymyśliliby go zawodowi żołnierze, nie sędziowie?

Na Jersey nie działały się jednak żadne okropieństwa dorównujące wojnie, oprócz tego, że jakaś starsza pani przyłapała sąsiada na kradzieży ziemniaków, które wcześniej przez nieuwagę zasadził w ziemi uznanej za jej własność; dlatego wystąpiła do sądu ze starożytną skargą *Clameur de haro*, datującą się jeszcze z czasów Rolfa, pierwszego księcia Normandii, który rządził wyspą. *Haro! Haro! Haro! A l'aide, mon prince! On me fait tort!*<sup>21</sup>. Złoczyńca musi w takiej sytuacji zaprzestać zła, które czyni, i sprawa ulega zawieszeniu, dopóki nie zostanie rozpatrzona w wyższej instancji. Trzeba być bardzo pewnym siebie, żeby wnieść *clameur*, bo na Jersey traktują to poważnie i nawet jeśli z technicznego punktu widzenia masz rację, możesz zostać ukarany wysoką grzywną, jeśli sąd uzna, że marnujesz jego czas z głupoty albo chęci zemsty - albo jeśli twój pozew nie spełnia warunków protestu.

Chez Mortdecai też nic się nie działo, oprócz tego, że pojawił się nowy ogrodnik. Może i nazywał się Henri le Piéton Gastineau, ale jego malowniczą lokalną gwara zakłócał całkowity brak użebienia i nawet gdy wyjął je z kieszeni i wytarłszy o spodnie na tyłku, włożył do ust, trudno by nam było osiągnąć porozumienie dusz. Udało mi się jednak ustalić, że chciał *quat' louis les sept heures*<sup>22</sup>, czyli, jak szybko przeliczyłem w swoim ostrym jak brzytwa umyśle, pięćdziesiąt siedem pensów na godzinę - całkiem rozsądną sumę, jeśli tylko znał się na swoim fachu. Jak się okazało, zasuwał pełną parą. Błyskawica, nasz dotychczasowy leniwy ogrodnik, próbował odgrywać jego szefa i go zdominować, ale bezskutecznie; postanowił więc wyciągnąć asa z rękawa i złożył wymówienie - które, ku jego wielkiemu rozgoryczeniu, przyjęliśmy.

Nie działo się nic nowego, oprócz tego, że był pierwszy maja, Dzień Szczypania w Tyłek w moich szkolnych latach, znany

---

21 *Haro!Haro!Haro!...* (franc.) - „Gwałtu, rety! Na pomoc, mój książę, skrzywdzono mnie!”.

22 *Quat' louis les sept heures* - cztery ludwiki za siedem godzin.

jako Święto Pracy, odkąd spaśli, dobrze opłacani działacze związku zawodowego namówili chudych, źle opłacanych płatników składek członkowskich, żeby przemaszerowali ulicami, krzycząc „hura!” z sobie tylko znanych powodów. Do dziś noszą oni piękne tkane sztandary, z których każdy wystarczyłby głodującej żonie robotnika portowego na żetony do gry w bingo przez cały tydzień. Ale odszedłem od tematu.

U mnie osobiście nic się nie działo, oprócz tego, co zdarzyło mi się w Klubie pod Pistoletem i Strzelbą, do którego chodzę w każdą pierwszą środę miesiąca.

Postanowiłem przewietrzyć swojego starego, pięknego smitha & wessona kalibru czterysta pięćdziesiąt pięć, model dla policji i wojska z 1902 roku. Jak zwykle w związku z tym nabijano się tam ze mnie; większość członków klubu ma śmiesznie małą broń z dopasowywanymi kolbami i wymiennymi celownikami, ale wszyscy wiedzą, że na strzelnicy olimpijskiej potrafię przestraszyć na śmierć ruchome tarcze w kształcie sylwetki człowieka. Chociaż twierdzą, że zupełnie nie mają się czego bać. Mój smith & wesson, w pełni załadowany, waży dwa i trzy czwarte funta, a lufa ma długość sześciu cali; przy użyciu wojskowej amunicji z niklowym płaszczem, o wysokiej zawartości prochu, potrafi wywalić dziury w ceglany murze, powodując przy tym ogłuszający i wysoce satysfakcjonujący huk. Każdy z kompleksem niższości powinien sobie sprawić taką broń. (Jak, powiedzmy, Bach?).

Jak zwykle żartował z niej miły sierżant policji, mówiąc, że gdybym kupił sobie jeszcze parę kółek, mógłbym się ubiegać o przyjęcie do artylerii królewskiej, i wtedy zdarzyła się ta dziwna rzecz, bo zapytał, czy zamawiam do tego pistoletu specjalne pociski.

- Tak, u takiego sympatycznego gościa w Londynie - odparłem.

- Ołowiowe? - indagował dalej.

Zdziwiłem się trochę.

- Oczywiście, że ołowiowe, a co?

- Nie, nic, tak tylko pytałem. Gdyby pan kiedykolwiek potrzebował, tu, na wyspie, jest facet, który wyrabia



najróżniejsze.

- Tak? Dzięki za informację - odrzekłem, wciąż nie bardzo rozumiejąc, do czego zmierza.

To była ta dziwna rzecz, która mi się zdarzyła.

Ale nie zastanawiałem się nad tym wiele. Byłem zbyt zaabsorbowany czym innym - czymś, co zawsze absorbuje mnie pierwszego maja: szwindlem, jakiego dopuszczano się ze wszystkimi angielskimi miesiącami, a szczególnie z majem. Dlaczego pozwalamy poetom, jak też politykom, wciskać nam ten cały kit o miesiącach? Maj na przykład przywołuje wizję szczęśliwych, opalonych dziewcząt paradujących po zielonych wioskowych polach i wracających o zmierzchu w krzaki, żeby zostać szczęśliwymi, opalonymi przyszłymi matkami; a prawda jest taka, że dzisiejsze dziewczyny, blade i pryszczate, kręcą masywnymi biodrami w dyskotecę w pobliskiej mieścinie, łykając pigułki antykoncepcyjne, podczas gdy na zewnątrz leje, a w szklance musuje jabcok. Każdy, kto w maju odważy się zapuścić w krzaki, choćby ubrany w sztormiak, ryzykuje zapalenie płuc i zatrucie środkiem owadobójczym. Chyba jedynym miesiącem, na który można liczyć, jest styczeń, kiedy przychodzi obiecany mróz i czasami można usłyszeć zgrzyt łyżew na zamrożonym stawie, a jeśli dopisze szczęście - wrzask tonącego łyżwiarza.

Kiedy mówię, że nic się tamtego dnia nie zdarzyło, nie chcę powiedzieć, że nie zdarzyło się w nocy. Otóż zdarzyło, i to wiele.

Czując na sobie miłosne spojrzenie Johanny, wycierałem właśnie dużą piętą wypieczonego chleba tłuszcz- czyk po jednym z najlepszych coq-au-vins (coqs au vin?) w moim życiu, gdy zadzwonił telefon.

- Powiedz im, że mnie nie ma - warknąłem - nie żyję albo zbankrutowałem, wszystko jedno, bo nie zamierzam podejść do aparatu. Zgłoś na pocztę, żeby go zabrali, lepiej nam będzie bez niego.

- To do pana, panie Charlie - oznajmił Jock chwilę później.

- Posłuchaj, czy nie umiesz... - zacząłem, ale zobaczyłem jego minę i wycierając usta, podszedłem do telefonu.

Dzwonił Sam. Sam, jakiego do tej pory nie znałem.

- Przyjdź, Charlie, i to szybko. Chodzi o Violet.
- Chcesz powiedzieć, że...
- Tak. Przyjdź.

Przyszedłem. Dokładnie mówiąc, poleciłem Jockowi, żeby wskoczył na motor, ze swoim podejrzanym przyjacielem na tylnym siodełku (który chyba cieszył się skrycie, że został zwolniony z lekcji domina), i tam pojechał, podczas gdy ja zapakowałem Johannę do mini. Wiedziałem, że gwałt jej nie grozi (rzadko mają dość odwagi, żeby zaatakować dwa razy jednej nocy), ale miałem świadomość, że wszystkie kobiety lubią pocieszać swoje słabsze siostry w trudnych chwilach.

Sam stał na dziedzińcu La Gouluterie, wydając rozkazy Jockowi i jego kumpłowi od domina najpaskudniejszym głosem, jaki kiedykolwiek u niego słyszałem. Kiedy ich odprawił, zwrócił się do mnie.

- Charlie, wyślij Johannę na górę, do Violet. Lekarz i policja już jadą. Jock sprawdzi na motorze drogę do zatoki Belle Etoile i przyjedzie z powrotem przez Wuthering's. Jego kolega przeczesze pola... tylko nie zastrzel go przez przypadek. Zawieziesz mnie do Sion, będę działał stamtąd. Potem pojedziesz jak najszybciej do kościoła w Saint John i wrócisz powoli, na zgaszonych światłach. Masz przy sobie broń?

- Oczywiście.

- Więc zbierz wszystkich, którzy są w spodniach; jeśli nie będą mieli satysfakcjonującego alibi, zapakuj ich do samochodu. Zapłacę wszystkie grzywny za niesłuszne aresztowanie. Zrozumiałeś? Skoro tak, to ruszajmy.

- Co robi George?

- Nic. Oboje z Sonią są poza domem.

Po czym otworzył futerał na broń i z brutalnością, od której aż się skrzywiłem, złożył swoją piękną sztukę Churchill XXV. Pospiesznie ruszyliśmy w drogę. Nikogo nie zauważyliśmy. Zostawiłem go w Sion, pojechałem szybko do Saint John i wróciłem powoli, zatrzymując się od czasu do czasu, żeby się rozejrzeć i nadstawić uszu. Trafili się: jedna gromada pijaków dyskutująca zawzięcie o piłce nożnej. Jedna krzepka autostopowiczka z Wigan, nikogo nie widziała. Jeden

podejrzany facet, który zdecydowanie wyglądał mi na gwałciciela, ale towarzyszyła mu miejscowa panna; paskudne spojrzenie, jakie mi rzuciła, wskazywało wyraźnie, że miała nadzieję stracić paniński status, nawet jeśli to oznaczało zapuszczenie się w krzaki, a ja to opóźniałem. Jej wybranek twierdził, że dziesięć minut wcześniej słyszał duży motor jadący bardzo szybko *route militaire*, który potem się zatrzymał. Po kilku minutach znowu ruszył na północ i tym razem jechał o wiele wolniej. To musiał być Jock; gość, mimo że wyglądał jak fircyk w zalotach, był dobrym obserwatorem. Jego niespokojna ofiara ciągnęła go za rękaw, mówiąc: „Och, daj spokój, Norman, to nie nasza sprawa” i tak dalej, więc zwróciłem jego uwagę, dobywając zgrabny PPB, podręczny pistolet bankiera, i kręcąc bębenkiem, jakbym chciał sprawdzić, czy jest załadowany. Ten widok go wręcz zafascynował - gość znalazł się na Dzikim Zachodzie.

- Jesteś pan z policji, co?

Zarechotałem.

- O nie. Policjanci mogliby nam buty czyścić - odparłem głosem agenta Secret Service. - Widział pan albo słyszał kogoś jeszcze... może poruszającego się pieszo?

-Nie.

- A zauważyłby go pan?

- Jasne, że tak, do cholery. Uważam, żeby nie nakrył nas stary tej młodej damy, no nie?

- No tak, oczywiście. Ze wszech miar słusznie. Cóż, dziękuję za pomoc.

Byłem już niemal przy samochodzie, kiedy facet jakby zaczął i przywołał mnie z powrotem. Podeszedłem do niego.

- To śmieszne, że pan pyta. Z tyłu, za polem kartofli, jest jakiś typ, właśnie przelazi przez żywopłot. Nie widzę go, ale słyszę.

- Ojej, Norman, to nie nasza sprawa...

- A zamknij się, głupia krowo. - (Jak bardzo zaloty zmieniły się od naszych czasów, nieprawdaż?).

Ruszyliśmy z Normanem w pole i rzeczywiście wśród kartofli szedł na palcach jakiś typ. W odpowiedniej chwili podciąłem go, a Norman się na niego rzucił. Facet jęknął, przeklął

szpetnie, zaczął kopać i drapać. Kiedy go poskromiliśmy, okazało się, że to kumpel Jocka od domina, nader rozgoryczony: na całe pięć funtów, jak się przekonaliśmy. Normanowi też dałem coś na osłodę, a wtedy skwapliwie podał mi swoje nazwisko i adres, w razie gdybym jeszcze kiedyś musiał podjąć jakąś brawurową akcję.

Facet od domina i ja wróciliśmy do La Gouluterie w tej samej chwili, gdy przyjechał rover George'a z nim i Samem, zabranym po drodze z *route militaire*. Zanim weszliśmy do domu, przybył Jock na swoim arielu. Nikt nie miał nic do zaraportowania.

Z wyjątkiem lekarza. Nie podobała mu się ta sprawa: znał się na odrze i śwince i maska profesjonalisty, którą przywdział, zaczęła pękać. Większość tego, co powiedział, była przeznaczona wyłącznie dla uszu Sama, ale wszyscy widzieliśmy, jak Sam, słuchając, krzywi się i pośpnieje, a w miarę jak profesjonalne mamrotanie się przedłużało, zaczyna zgrzytać zębami. George obojętnie patrzył w przestrzeń, a ja się wierciłem. To była, jak dziś mówią dzieci, nie moja bajka.

Sytuacja stała się tak napięta, że Sam, zanim wyprawił lekarza w kolejną misję miłosierdzia, o mało nie zapomniał go poczęstować swoją rytualną szklaneczką brązowej sherry. (Pewnie był to wspaniały facet, duma Stowarzyszenia Aptekarzy, ale jakoś nie ufam lekarzom z wielkimi, jakże niehigienicznymi wąsami. „Grzesznik z niego, niech więc wpadnie w ręce medyków”<sup>23</sup>, jak powtarzam).

Johanna z zafrasowaną miną zeszła po schodach: Violet wreszcie zasnęła pod wpływem potężnej dawki środków uspokajających, które zaaplikował jej lekarz (uwierzycie, że wypila piętnaście mililitrów paraldehydu?), ale wciąż była w naprawdę żalonym stanie. Wszyscy udaliśmy się na naradę i historia, którą odtworzyliśmy, przedstawiała się następująco...

Napastnik najwyraźniej dostał się do domu przez okno w spiżarni. Violet przebywała w swoim pokoju; przed wejściem pod prysznic zmywała makijaż. Miała na sobie tylko te praktyczne wełniane majty, jakie zawsze noszą dziewczęta jej pokroju. Nagle ujrzała w lustrze na toalecie przerażającą postać

---

23 Księga Eklezjasty, tekst apokryficzny, 38,15.

- ale widziała ją tylko przez chwilę, bo facet zaraz zgasił światło. Sam był w swoim gabinecie zawalonym książkami, które pokrywają nawet drzwi, przez co pomieszczenie jest zupełnie dźwiękoszczelne; jednak zdaniem Johanny sparaliżowana strachem Violet i tak by nie krzyczała.

Gwałcielem był, mówiąc delikatnie, brutalny i mocno Violet poturbował. Markiz de Sade mógłby zapisać się u niego na kurs korespondencyjny. Wydawało się, że facetem kierowała bardziej nienawiść niż żądza. Według Johanny Violet przez kilka minut coś do niej bełkotała niewyraźnie, po czym zapadła w niezdrowe milczenie i z tego, co powiedziała, dało się złożyć tylko kilka sensownych zdań:

„Straszliwie cuchnął, jak koza”.

„Zalatywało od niego tłuszczem, ale obrzydliwie”.

„Nosił okropną maskę, która śmierdziała gumą”.

„Musiał mnie nienawidzić”.

„Miał na brzuszku wymalowany miecz”. (W kreskówkowym świecie Violet nawet szaleni gwałciciele mają brzuszki, nie brzuchy. Enid Blyton, Enid Blyton<sup>24</sup>, ileż ci zawdzięczamy!).

„A na ramionach miał kolce”. (George i ja spojrzeliśmy na siebie, bo tak samo było w przypadku Bestii z Jersey).

„Mówił straszne rzeczy, i to w dziwnym języku... nie, nie patois... ale wiedziałam, że są straszne”.

„Jego ręce były ubrudzone ziemią, sprawiały mi ból”.

Ale najstraszniejsze ze wszystkiego, co sprawiło, że w końcu zaczęła krzyczeć, było to, że gdy facet uciekł przez okno, poczuła między nogami coś mokrego i zimnego.

Wzdrygnąłem się.

- To była żaba, na miłość boską - wyjaśnił Sam z obrzydzeniem. - Ten człowiek musi być naprawdę chory.

- Żaba? - zapytałem.

- Tak właśnie powiedziałem.

- Sam, czy była żółtozielona, z długimi zadnimi nogami?

- Niech cię licho, Charlie, ty to potrafisz wystawić na próbę czyjaś cierpliwość! Nie miałem głowy, żeby patrzeć, czy żaba

---

<sup>24</sup> Enid Blyton (1897-1968) - angielska pisarka tworząca głównie książki dla dzieci i młodzieży.

ma długie, czy krótkie nogi. Chwyciłem ją i wyrzuciłem.

- Gdzie?

Uniósł się z morderczym spojrzeniem, ale po chwili się zmiętył.

- Chyba do kosza na śmieci - odparł zdławionym głosem, jakiego używają ludzie, gdy chcą ci dać do zrozumienia, że nie odpowiedzą już więcej na żadne twoje pytania.

- Johanno - powiedziałem - mogłabyś tam pójść i ją znaleźć?

Poszła. I znalazła. Nie była to żółtozielona żaba z długimi zadnimi nogami, lecz brązowa, pokryta plamami i przysadzista.

- To ropucha - zauważyłem.

- No i co z tego?

-Nic.

- Niech cię szlag!

- Myślę, że nikt tu nie odmówi drinka - odrzekłem łagodnie.

Sam wstał jak robot i zaczął rozlewać trunki. Pospieszyłem mu z uprzejmą pomocą, ponieważ obawiałem się, że z nerwów należy mi nie tę whisky co trzeba i będę miał już całkiem zepsuty wieczór.

W milczeniu złopaliśmy drinki, każdy swojego, jak dalecy kuzyni częstujący się po pogrzebie pieczoną szynką.

- Och, Violet powiedziała jeszcze jedno - odezwała się Johanna.

Przestaliśmy złopać. Johanna - jeśli chce - nawet nie podnosząc głosu, potrafi sprawić, że niemal każdy przerwie to, co robi. Ciekaw jestem, jak to się dzieje.

- No właśnie - ciągnęła. - Otóż powiedziała, że rozpoznała głos tego mężczyzny.

- Co takiego?! - wykrzyknęło dwóch z nas.

- Tak. - Niewinnie, bez celu powiodła spojrzeniem swoich pięknych oczu po pokoju, zatrzymując się na wszystkich i wszystkim oprócz Sama. - Cóż, dokładnie mówiąc, w samym środku beładnej paplaniny o matce i tak dalej rzuciła nagle: „Znam ten głos, na pewno go znam; nie mogę się mylić” czy coś w tym rodzaju. - Zamilkła na zbyt długą chwilę.

- Czyj to głos, na miłość boską? - warknął w końcu George.

- Nie powiedziała. Może miała na myśli to, że w końcu sobie

przypomni.

Milczałem z niepokojem; George i Sam milczeli jedynie z niesmakiem, ale kto to może wiedzieć...

Byłem zdziwiony, ponieważ Johanna mówiła ciepłym, szczerym, autentycznym tonem, którego używa tylko wtedy, kiedy kłamie. Czyli, rzecz jasna, nieczęsto; przy swojej urodzie i pieniądzech po co miałyby zwracać sobie tym głowę?

Miałem jednak przemożne wrażenie, że w pokoju zachodzi wiele skomplikowanych reakcji, których nie rozumiałem, bo nie wiedziałem, na co zwracać uwagę. Nie byłem pewny, czy Johanna to wie, ale nie ulegało wątpliwości, że jest mniej zdezorientowana niż ja. Po chwili się poddałem, wzdychając w głębi duszy: „Mówi się trudno!”, i skupiłem się na szkockiej.

Jako dobry gość dopilnowałem, żeby Sam także wypił odpowiednią ilość cudownego trunku, bo chciałem, by mimo wszystko spał tej nocy. A potem rozeszliśmy się do domów.

Johanna udała się do łóżka - całując mnie, ale niezbyt wylewnie.

Jock nie spał, parzył herbatę sierżanta sztabowego, czyli taką, jaką się pije po zejściu z wachty w styczniu o świcie; to najtańsza indyjska herbata zagotowana z cukrem i mlekiem skondensowanym. Nie przypomina znanego mnie i wam naporu, ale jest naprawdę bardzo dobra. Spojrzałem na nią tęsknie.

- Nie powinien pan tego pić, panie Charlie - zauważył Jock. - Bo inaczej nie pójdzie pan lulu.

Spojrzałem na niego bystro.

- Podśluchiwałeś pod drzwiami? - zapytałem z oburzeniem.

- Jasne, że nie. Tylko słyszałem, jak pani używała tego określenia publicznie. I to często.

- Czyżby?

- No.

Odwróciłem się.

- Panie Charlie... - powiedział.

- Tak?

- Mój kumpel, którego uczyłem grać w domino... ten, którego pan zdybał na polu...

- Uhm?

- Gadał o ropuchach. Mówił, że ludzie z Jersey mają je w poważaniu, dlatego nie bardzo lubią, żeby ich tak nazywać.

- Pięknie to określiłeś', Jock.

- No. I powiedział, że ten dziad, co ma przychodzić do ogrodu, właśnie zakopał jedną żywcem w słoiku na pikle, żeby kwiaty ładnie rosły.

- Żeby kwiaty ładnie rosły? Mów dalej.

- Zdaje się, że wszyscy tu tak robią. To rzekomo ropuchom wcale nie szkodzi, prawie wszystkie są żywe, kiedy jesienią je wykopują. Śmieszne, co nie? Człowiek by pomyślał, że umrą z głodu.

- Albo z pragnienia.

- No. Tak czy siak wielu tutejszych, zwłaszcza z tych starszych, uważa ropuchy za jakąś świętość i nie lubi, gdy inni się z tego wyśmiewają.

Pociągnąłem łyk jego herbaty.

- Powinieneś dodać do tego trochę rumu - poradziłem.

- Przecież nie mam żadnego rumu, co nie?

- Chcesz powiedzieć, że zapomniałeś podkraść z barku?

Urażony, zapadł w milczenie. Poszedłem więc po rum, a on zajął się parzeniem większej ilości herbaty sierżanta sztabowego.

Kiedy w końcu zmogliśmy herbatę i walijskiego królika<sup>25</sup>, którego Jock wyczarował jako podkład, stałem się gadatliwy - to moje nieuleczalne drugie ja.

- Jock - zacząłem - czy wiesz, że przez piętnaście wieków ludzie wierzyli, że ropucha ma w czaszce drogocenny klejnot?

- Co pan? - zapytał. - Kto im nagadał takich głupot?

- Pliniusz, Arystoteles albo któryś z nich, kto napisał o tym w książce.

Jock przez chwilę ciamkał i siorbał.

- I żaden nie pomyślał, żeby ciachnąć jedną taką na pół i zajrzeć do środka?

- Z tego, co wiem, to nie.

---

<sup>25</sup> Welsh Rabbit (ang.) - rodzaj angielskiego fondue, podawanego z grzankami z chleba.



- Cholerne głupki ci wszyscy makaroniarze - zauważył enigmatycznie.

Nie miałem serca, żeby oponować.

- Gość mówił też o zającach - podjął Jock. - Zdaje się, że na wyspie nie ma żadnych zajęcy, ale parę lat temu widziano takiego jednego, wielkiego, i chłopci powiadają, że wyssał całe mleko z tych śmiesznych małych krów, co je tu hodują. Dlatego zaczęli się na niego i próbowali go załatwić, strzelali i strzelali, ale na darmo, więc jeden wsadził srebrny guzik do lufy i trafił zająca, ale cwaniak zwiął, kulejąc, a następnego dnia stara dziwka, która mieszka niedaleko, miała zabandażowaną nogę.

- To pewnie jedna z najstarszych historii na świecie - powiedziałem mu, zresztą zgodnie z prawdą.

Byłem tego wieczoru zbyt zmęczony, żeby wziąć prysznic; marzyłem o tym, żeby pójść lulu. Żeby oczywiście umyłem. W trakcie tej czynności dotarło do mnie, dlaczego tamten sympatyczny gość z klubu był tak miły i powiedział, że może mnie skierować do faceta, który wytwarza wszelkiego rodzaju kule.

Miał na myśli kule ze srebra.

„Chyż być musi i biała - rzekłem -  
Subtelnie ciepła, półdzika,  
Słodka, soczysta jak owocu mięsz,  
Gibka, ognista - jak miłuje wąż”.  
Lepszych odgadnień unika.

*Felicja*

Następnego dnia odbyliśmy kolejną naradę. Jak się okazało, Sonia doszła już trochę do siebie, ale z Violet było gorzej: zupełnie przestała się odzywać i chociaż wodziła wzrokiem za innymi, poza tym się nie ruszała. Samowi udało się wmusić w nią łyżkę sławnych nóżek cielęcych w galarecie; następnym razem jednak ugryzła łyżkę. A później już w ogóle nie chciała otworzyć ust. Lekarz mówił coś o jakimś psychicznym zamknięciu się w sobie, na którym najwyraźniej się nie znał, i zapisał jej tylko kolejną dużą dawką środków uspokajających.

- Nie powiedział: „Niech zażywa dalej tabletki” - wyjaśnił Sam - ale widać było, że ma to na końcu języka. Jeśli Violet do jutra nie wyjdzie z tego stanu, zasięgnę opinii specjalisty.

Wszyscy pokiwaliśmy głowami, wydając przy tym uprzejme pomruki, z wyjątkiem George'a, który kilka razy powtórzył:

- Cholerny zwyrodnialec.

Sam zapytał mnie, czy mógłbym polecić mu jakiś dobry pistolet i poradzić, jak go zdobyć. Powiedziałem mu wszystko, co mogłem, i zarekomendowałem porządną starą sztukę, która miałaby wartość kolekcjonerską. Nie wydawał się jednak zainteresowany tym aspektem sprawy, chciał czegoś, czym mógłby podziurawić boleśnie gwałciciela.

- Opanuj się - poprosiłem. - Nawet najlepszy i najnowocześniejszy pistolet nie wyrządzi najmniejszej szkody

komuś, w kogo nie jest dokładnie wycelowany. Większość z nich ma tylko pełnić funkcję straszaka i wydawać głośne dźwięki. Taka broń musi być poręczna. Ludzie twojego i mojego pokroju potrzebują pistoletu może raz w życiu - tu trochę minąłem się z prawdą - ale gdy już potrzebują, to szybko. Skorzystaj z mojej rady i kup poręczny stary model, na którym będziesz mógł zarobić, gdy będzie już po sprawie. Niecałe pięć mil stąd jest na sprzedaż wspaniały stary mauzer kalibru siedem sześćdziesiąt pięć, który możesz kupić za sto pięćdziesiąt funtów; to model z pudełkowym magazynkiem, który wsuwasz w drewnianą kolbę i wtedy masz mały karabin. To najbardziej niezawodny pistolet i jeśli wymierzysz dobrze, powali wołu z odległości pół mili. I jest pięknym przedmiotem, choć w brzydki sposób.

Mruknął niechętnie, ale wziął ode mnie kontakt do gościa od mauzera.

- No dobrze - włączył się George - broń bronią, ale skoro mamy być grupą operacyjną, musimy dokonać oceny sytuacji.

(Ci z was, którzy nie mieli szczęścia służyć w wojsku, powinni wiedzieć, że grupa operacyjna jest zwoływana na naradę przez dowódcę piechoty w stopniu starszego oficera, który staje wobec faktu, że nie wie, co robić, i chce, żeby młodszy oficerowie i starsi podoficerowie przyznali, że też tego nie wiedzą. Oczywiście narada odbywa się zawsze poza zasięgiem słuchu podwładnych, chociaż ci się orientują, że dowódcy pogubili się już wiele godzin wcześniej; w ich wyobrażeniu dobry oficer to po prostu taki, który zwołuje grupę operacyjną, kiedy ma ochotę na herbatę. Żołnierze do rangi majora, a czasami z nią włącznie, to wspaniali faceci; wstąpi do wojska natychmiast - jest już za późno, żebyś mógł załatwić jakiegoś Japońca, ale Irlandczyków jeszcze na jakiś czas wystarczy).

- Mam tutaj - zaczął z werwą - listę wszystkich atrakcyjnych kobiet, które mieszkają w promieniu mili. Proponuję, żebyśmy tej nocy pełnili straż, obserwując ich domy, gotowi odstrzelić tylek temu brudnemu zwyrodnialcowi, gdyby znowu spróbował... eee... uderzyć.

- George - odezwałem się delikatnie. - George? Skąd masz tę

listę?

- Centenier... przez wiele godzin sporządzał ją ze swoimi vingtenierami.

Zapadła długa chwila ciszy, której nie przerywałem, żeby wszyscy z obecnych mogli sobie uświadomić bezsensowność tego pomysłu.

A później podjąłem:

- No cóż. Jest nas tylko trzech i mamy własne domy oraz żony, których musimy pilnować... a nie znamy tak dobrze terenu. Co więcej, gdy kogoś zabijecie, choćby i we własnym domu, to nawet jeśli facet trzymał jedną łapę w waszym sejfie, a drugą na waszej żonie, to zgodnie z obecnym prawem zostaniecie oskarżeni o morderstwo, a sąd usłyszy od wynajętych psychiatrów, że napastnik jest biednym, nie zrównoważonym chłopiną, który działał pod wpływem brutalnego filmu obejrzanego w kinie w zeszłym tygodniu, a na co dzień jest kochającym synem. Starsze matki świetnie sobie radzą przy pulpitych dla świadków, każda z nich to urodzona aktorka, potrafią przemówić do serca nawet policjantom, którzy ronią łzy wzruszenia, jak w telewizji. Widziałem to już nieraz. Takie od razu was wrobią.

George przez chwilę prychał i gulgotał; nie był zbyt przekonujący, ale dawał do zrozumienia, że gdyby wypuścić go na kilka godzin z karabinem maszynowym Vickersa, świat stałby się lepszym miejscem i wszyscy potencjalni gwałciciele ustawiliby się w kolejce pod katedrą, starając się o posadę kontratenora.

Sam i ja przyglądaliśmy mu się z zainteresowaniem. Chyba obaj wyczuwaliśmy, że to nie jest ten spokojny, sprawny George, którego znaleźliśmy i pod pewnymi względami szanowaliśmy - George, którego najciekawszą cechą była nijakość. Przypisywaliśmy to, jak sądzę, jego ostatnim ciężkim przeżyciom, a Sam niewątpliwie jeszcze mu współczuł, wykazując przy tym zaskakujące opanowanie. (Jeśli o mnie chodzi, skończyłem ze współczuciem w ostatnim semestrze szkoły średniej, kiedy zakuwałem, żeby dostać się na uniwersytet; lubię myśleć, że z natury jestem surowych

obyczajów).

- Myślę - powiedziałem, kiedy zapadło milczenie - że pojedę do Oksfordu.

Sam wykazał przeblysk dawnego ducha.

- Naprawdę sądzisz, że to najlepszy moment, aby myśleć o dokończeniu edukacji, Charlie? Nagle poczułeś powołanie do świętości? Co będziesz studiował, teologię?

- Oj tam - odparłem. - Pojadę spotkać się z moim dawnym opiekunem naukowym, który jak nikt zna się na czarach, demonologii i tym podobnych bzdurach. Nie ulega wątpliwości, że mamy tu do czynienia z jakimś niegodziwcem, który dopuszcza się odrażających czynów z niejasnych powodów, prawdopodobnie mających związek z dawnymi paskudnymi obrzędami. Nie namierzemy go, dopóki nie będziemy wiedzieli, co zamierza i czym się kieruje. Pojadę i zapytam mojego dawnego opiekuna naukowego. Czy któryś z was ma lepszy pomysł?

Nikt nie miał żadnego lepszego pomysłu.

- Moja żona - ciągnąłem - dotąd nie została zgwałcona, widzicie zatem, że misja, jakiej zamierzam się podjąć, jest całkiem bezinteresowna. W tych okolicznościach i zważywszy na fakt, że gościna u nauczyciela akademickiego jest potwornie droga, wyobrażam sobie, że podzielimy się kosztami.

Sięgnęli do kieszeni, w których trzymali czek, ale powstrzymałem im machnięciem ręki.

- To potem - powiedziałem. - Jeśli moja podróż coś da, przedstawię listę wydatków.

- A co z Johanną? - z podestu w połowie schodów dobiegł tragiczny głos.

Była to Sonia; blada, spowita w obszerny szlafrok, ze stosownie skromnym makijażem tu i tam, którego większość facetów - porządnych facetów - w ogóle by nie zauważyła. Wszyscy zerwaliśmy się na nogi, żeby przynieść jej krzesła, poduszki, podnóżki i inne środki wzmacniające. (Ja też wziąłem sobie coś na wzmocnienie, bo George był tego wieczoru w zbyt kiepskiej formie, aby dbać o gości).

- Co z Johanną? - zapytała ponownie. - Czy nie byłoby lepiej,

gdyby przeniosła się do nas na czas twojej nieobecności? Wtedy miałabym ją na oku.

Spojrzałem na nią łagodnie.

- To bardzo miło z twojej strony - odrzekłem - ale Jock także nie najgorzej zna różne techniki obrony. Teraz to się nazywa sztukami walki, ale kiedy siedział w borstalu, mówiło się na to po prostu „przykopać komuś w nabiał”. Postawiłbym na niego każdą sumę przeciwko najlepszemu znawcy kung-fu, jakiego tylko wyhodował pan Metro Goldwyn. Jock ma prawdziwy talent, naprawdę.

Mądrze pokiwała głową. Wie, że nie jest za bystra, ale myśli, że ja przeciwnie, biedna, naiwna kobiecina.

- Owszem, ale czy masz do niego zaufanie? - spytał George.

Zirytował mnie tym, ale uznałem, że muszę udzielić cywilizowanej odpowiedzi.

- Jock jest wierny jak pies - odparłem ostrożnie. - Od czternastego roku życia kocha się w Shirley Tempie i nigdy się nie zmienia. Nie jest latawcem. Poza tym jest mi winien jedną czy dwie przysługi, a tacy obwiesie jak on traktują tego rodzaju zobowiązania jak świętość, w przeciwieństwie do niektórych uczciwych ludzi. I wreszcie... choć wiem, że to brzmi niedorzecznie... jestem jedynym człowiekiem, którego się boi.

Sam i George niepewnie poruszyli się na krzesłach, bo nie wiedzieli, jak zareagować na taki kit.

Sonia natomiast odparła:

- Och, to piękna sprawa! Taki związek, oparty na cudownym wzajemnym... eee...

Znowu popatrzyłem na nią łagodnie. Może nawet łagodniej niż poprzednim razem. Bo widzicie, to wcale nie tak, że my, antyfemiści, nie lubimy kobiet; cenimy je, otaczamy czułą opieką i żywimy dla nich współczucie. Litujemy się nad nimi. Na Boga, pomyśleć, że biedaczki muszą iść przez życie zakute w te wszystkie absurdalne rzeczy jak gorsety, staniki, pasy do pończoch; że przez najlepszą część życia cierpią na potrójną plagę, jaką są zaparcia, miesiączki i porody; a już zupełnie najgorsze, że muszą radzić sobie z tymi wszystkimi nieszczęściami za pomocą czegoś w rodzaju włochatego

półmózgu - ładnej główki z przewalającymi się, jak pchełki w pudełku, kolorowymi skrawkami śmieci - cóż, to naprawdę godne litości! Wiesz, z jaką udręką czasami patrzy na ciebie twój pies, niemal ludzkim wzrokiem, tęskniąc za przejawem sympatii, pragnąc kontaktu? Pamiętasz, jak często miałeś wrażenie, że jest na skraju przełamania dzielącej was bariery, osiągnięcia porozumienia? Chyba dlatego ty i ja jesteśmy tacy dobrzy dla kobiet, niech Bóg ma je w opiece. (A co więcej, rzadko je widzisz, jak gonią kota czy srają na ścieżkę).

- Właśnie - odpowiedziałem jej.

Gdy już wychodziliśmy, Sonia podbiegła do drzwi, wciąż odgrywając królową w gronostajowym płaszczu.

- Charlie! - zawołała. - Czy ktoś zajmie się twoim kochanym małym kanarkiem, gdy wyjedziesz?

- Pewnie tak - odrzekłem niepewnie.

- Moja stara niania mawiała - mruknął George - że ludzie nie powinni mieć w domu zwierząt, jeśli nie mogą odpowiednio się nimi zajmować.

- Ja tak zwykle mawiam o żonach - odpowiedziałem pogodnie.

Cóż, może to nie było w najlepszym tonie. Ale nigdy nie składałem w związku z dobrym tonem żadnych zobowiązań, już raczej wstąpiłbym do Ligi Wstrzemięźliwości.

Johanna poszła do łóżka, nie mówiąc mi dobranoc. Jock był poza domem, pewnie tłukł kogo się dało, nigdy mu się to nie znudzi. Nie martwiłem się o niego, jest już ostrożny; ci, z którymi wdaje się w awantury, przeważnie odchodzą... z zębami w kapeluszu. Zadzwoiłem do agencji turystycznych i dawnych opiekunów naukowych w Oksfordzie, a potem w ponurym nastroju udałem się do łóżka, zabierając ze sobą Beatrix Potter, by pocieszyć swoje skolatane serce; nie ma to jak *Pani Mrugalska*, zawsze podnosi na duchu.

Pogrzeban Bóg wyschłą dla nas rzeką,  
 Takoż Wolność - duch ziemi,  
 Oto do nas rzeką,  
 Jedni nader drwiąco, słowy radosnemi,  
 Inni zbolali, na pastwie katuszy,  
 Bóg, co postradał źrenice i uszy,  
 Czy o martwo narodzonym wszyscyśmy są niemi?

*Do Waha Whitmana w Ameryce*

Następnego dnia w południe poleciałem na Heathrow. Jak twierdzi Johanna, nie należę do śmietanki towarzyskiej, która rozbija się po świecie odrzutowcami, a już na pewno nie dwupłatami, ale latanie wcale mi nie przeszkadza, chyba że tymi przerażającymi samolocikami, w których siedzi się za pilotem i jeśli chce mu się powiedzieć, żeby trochę zwolnił, trzeba najpierw zastukać w jego hełm. Samolot, którym podróżowałem, był dużą maszyną, sprawiającą wrażenie godnej zaufania; na jednym z jej boków widniała informacja, że silniki pochodzą ze stajni Rolls-Royce'a, co działało nader pokrzepiająco. Miejsca obok mnie zajęli dwaj znani mi trochę dygnitarze z Jersey i kiedy wznieśliśmy się w powietrze, z typową dla siebie hojnością zamówiłem trzy duże giny z tonikiem. Stewardesa zapytała, czy chcę je wszystkie w jednej szklance; to chyba była z jej strony bezczelność.

Obecnie, jeśli człowiek wybiera się na zachód, nie musi jechać do Londynu; autobus linii lotniczych sprawnie zawozi cię z Heathrow do Reading. Stamtąd do Oksfordu, gdzie mieszka Dryden, mój dawny opiekun naukowy, kursuje już mnóstwo pociągów.

Wielkie nieba, widzieliście przebudowany dworzec w



Oksfordzie? Jest niesamowicie elegancki, nowoczesny i najwyżej półtora raza bardziej niewygodny niż poprzednio.

Gdy stałem przed nim, czekając na Drydena, zdarzyło mi się coś naprawdę okropnego; przywłókł się do mnie jakiś trędowaty typ w brudnych łachmanach, ze skołtunioną brodą i pobrzękującymi na szyi barbarzyńskimi naszyjnikami. Jego postać i zachowanie budziły jednocześnie litość i poczucie zagrożenia.

- Odejdź! - pisałem odważnie, ujmując w dłonie parasol. - Nie dam się naciągnąć na pieniądze. Tak się składa, że jestem bliskim przyjacielem naczelnika stacji, tak, i dyrektora Wszystkich Zmarłych<sup>26</sup>!

- Pan Mortdecai? - zaszczebiotał najczystszą wymową z Winchester College. - Nazywam się Francis, jestem studentem doktora Drydena, który prosił, żebym pana odebrał, sam nie może, ma srakę. Ja mam zerówkę, jeśli chce pan wiedzieć - dodał ponuro. - A jutro warun i dwa demy.

Przerzuciłem swój mentalny słownik.

- Jak się pan ma? - odparłem w końcu.

Wziął moją walizkę i zaprowadził mnie do wartego z pięć tysięcy funtów włoskiego samochodu, którym pomknęliśmy szybko w stronę bajkowych iglic w starej części miasta. Nie bardzo wiedziałem, o czym mam z tym facetem rozmawiać, to chyba przepaść pokoleniowa. Był nadzwyczaj uprzejmy i - jak się przekonałem, przyjrzawszy mu się bliżej - całkiem czysty. Chyba się przechwalał tym warunem.

Scone College, moja Alma Mater, nie zmienił się w ogóle poza tym, że był bogato przyozdobiony wielkimi wymalowanymi hasłami, takimi jak „Pokój!”, „Kit!”, „Trocki żyje!”, i innymi podobnymi przejawami życia emocjonalnego. Pomyślałem, że to zmiana na korzyść, bo te dekoracje odwracały uwagę od architektury. W Porter's Lodge siedział Fred, tak jak wtedy, gdy byłem tam ostatnim razem; doskonale mnie pamiętał i powiedział, że jestem mu winien pół suwerena w związku z jakimiś dawno zapomnianymi wyścigami konnymi. Nie dałem się nabrać, ale sięgnąłem do portfela.

---

<sup>26</sup> College Ali Souls, czyli Kolegium Wszystkich Zmarłych w Oksfordzie.

Moje pokoje były już gotowe i nawet nadawały się do zamieszkania, tyle że ich lokator ze studiów licencjackich (była akurat przerwa semestralna, rozumiecie) przypiął na ścianie plakat przedstawiający małego, grubego, czarniawego faceta, niejakiego Maharadżę Dżi Guru, w takim miejscu, że ten uśmiechał się znacząco w stronę łóżka. Nie mogłem oczywiście przesunąć plakatu, więc przesunąłem łóżko. Wykapany i przebrany w świeże ubranie, miałem jeszcze godzinę do zabicia przed spotkaniem w Senior Common Room, gdzie umówiłem się z Drydenem, który jeśli doszedł już do siebie, zamierzał zabrać mnie na obiad w High Table. Udałem się więc do Buttery. Tam, na trawniku, gdzie w dniach chwały grywaliśmy w krykieta, kucąco w milczeniu ze czterdziestu lachmaniarzy - doprawdy żalony widok. Niewątpliwie medytowali albo protestowali; z całą pewnością nie mieli z tego żadnej zabawy. Przechodząc obok nich w swoim niezwykle wytwornym smokingu, podniosłem rękę w geście błogosławieństwa.

- Pokój z wami! - powiedziałem.

- Kit! - odkrzyknął ich rzecznik.

- Trocki żyje! - odparłem mężnie.

Widzicie, z młodymi można się porozumieć, jeśli człowiek zada sobie trud i nauczy się ich języka.

- Dzień dobry, panie Mortdecai - przywitał mnie Henry, kelner w stołówce. - Wyjechał pan gdzieś?

- Nie, nie, nie - odparłem. - Byłem tu ledwie siedem lat temu.

- A tak, proszę pana. Jeśli dobrze pamiętam, to był koniec ostatniego semestru i zachował się pan nieuprzejmie wobec jednego z tych Węgrów, którzy są tu teraz wszędzie... nie potrafię nawet wypowiedzieć ich nazwisk. Kiedy próbuję, zawsze wychodzi z tego jakieś faux pas.

- Wiem, co masz na myśli, Henry. I umieram z pragnienia.

Naprawdę mnie pamiętał, ponieważ od razu wyjął jedną z tych wysłużonych grafitowych butli o pojemności kwarty, z których my, giganci, pijaliśmy w dawnych czasach piwo. Wyszedłem z kuflem na dwór, żeby ukradkiem wylać połowę jego zawartości na trawnik. Bo nie jestem już tym człowiekiem co dawniej.

- Pewnie te rzeczy cię irytują, Henry? - zauważyłem, wskazując tamten ponury strajk okupacyjny na trawniku.

- Och, czy ja wiem... Mieszkam tu przez całe życie, jak pan wie. Oni nie różnią się tak bardzo od pańskiego rocznika ani każdego innego. Kiedy tu nastąpiłem, w niedzielę nosiło się cylindry oraz surduty i paradowało się tam i z powrotem po Broad Walk; potem przyszły bryczesy i foksteriery, a później... szerokie spodnie i bul teriery. Po wojnie nastąpiły niebieskie garnitury z demobilu, potem tweedowe marynarki i flanelowe spodnie, później wróciły słomkowe kapelusze i marynarki z odznakami klubowymi na kieszeni, po nich przyszły dżinsy i gołe stopy, teraz są brody i naszyjniki z paciorków, a jutro pewnie znowu zobaczymy cylindry. Jedyne, co mam przeciwko nim, to że jedzą czekoladowe batony i popijają naparstkami piwa i że wydają połowę swoich pieniędzy na automaty z przerwywami w Junior Common Room. Powinni żłopać piwo, wiosłować łodziami i uczyć się z książek. Jeszcze będą mieli czas na cały ten seks, kiedy skończą studia.

- Święte słowa - przytaknąłem.

Życzyłem mu miłego wieczoru, zebrałem fałdy sukni i pożeglowałem do Senior Common Room.

Dryden rozpląnął się w przeprosinach, że nie odebrał mnie z dworca.

- Mam nadzieję, że Margate znalazł cię bez trudu?

- Margate? Nie, przyjechał po mnie jakiś szemrany facet imieniem Francis.

- Tak, zgadza się, Francis Margate. Przemiły chłopak. Najbystrzejszy wicehrabia, jakiego w ostatnich latach uczyłem.

- Mam nadzieję, że przeszła ci już... sraka, John? Twój student wydawał się o ciebie zaniepokojony.

- Och, wielkie nieba, na szczęście już mi nie dokucza. Miewałem ją nieustannie przed laty, to wina tutejszego porto, możesz mi wierzyć, to najgorsze porto w Oksfordzie, nie wiem, dlaczego tu zostałem. Miałem tyle świetnych propozycji pracy, z różnych miejsc, z Sussex, Lancaster, Ugandy... zewsząd.

- Dla mnie to jedno i to samo. Co więc tak naprawdę przeszkodziło ci po mnie wyjechać?

- Och, umówiłem się na lunch w jednym z tych col- lege'ow dla kobiet, nie pamiętam nazwy, potrafią tam człowieka spić na umór, pewnie wiesz, okropni ludzie, ochlaptusy, co do jednego. Po lunchu poczułem się trochę zmęczony, a Francis nie przygotował eseju, więc zaproponowałem mu, żeby po ciebie pojechał.

- Doprawdy? - odparłem. (Zauważyłem, że w Oksfordzie często mówią „doprawdy?”. Ciekawe dlaczego).

Bez słowa przeprosin podał mi brudną szklankę sherry i zaprowadził mnie do dyrektora Warden College, żebym mógł złożyć mu wyrazy szacunku. Złożyłem je.

- Jak miło zobaczyć starego członka - uprzejmie odparł dziekan.

W dzisiejszych czasach nie można się zorientować, czy ma to być kpina, czy niefortunne przejęzyczenie.

Pokręciłem się po Common Room, aż znalazłem obrzydliwą roślinę doniczkową, która wyglądała na godną mojej sherry. Chwilę później sformowaliśmy zwykłą procesję i powlekliśmy się do Hall i High Table na kolację. High Table wyglądał tak jak zwykle, oprócz tego, że zmienił się krój smokingów i wiek nauczycieli akademickich, którzy wyglądali absurdalnie młodo, ale rzuciwszy okiem przez ramię w stronę wybiegu dla niedźwiedzi, jakim jest Hall, aż zadrżałem. Ze dwustu Tomów z Bedlam<sup>27</sup> ze swoimi nierządными kochankami tłoczyło się i przepychało wokół szeregu pojemników ze stali nierdzewnej, czerpiąc z nich supę, powarkując i burcząc jak walijscy nacjonalisci na zebraniu swojego komitetu czy włoscy paparazzi w pogoni za członkiem rodziny królewskiej, który dopuścił się cudzołóstwa. Co chwilę jeden z nich wyrwał się z tego *mêlée*, ostrożnie niosąc talerz pełen frytek z czymś trudnym do nazwania, co pochłaniał przy stole wśród przekleństw i beknięć. Na długich dębowych stołach nie uświadczylbyś sreber z czasów mojej młodości - teraz trzymają je pod kluczem - stały tam natomiast długie, dumne szeregi butelek z brązowym sosem marki Daddies, co moim zdaniem

---

27 Tom-a-Bedlam - archetyp szaleńca, bohater anonimowego angielskiego poematu z XVII wieku.

jest bardzo miłe. Aliści odwróciłem się ze wzdrygnięciem i niechętnie zatopiłem łyżkę w stojącej przede mną fałszywej zupie żółwiowej<sup>28</sup>. (Przygnębia mnie już samo wspomnienie o tym wszystkim, bo jeśli nie zauważyliście, rozpocząłem ostatnie zdanie od archaicznego spójnika, a nigdy tego nie robię).

Nie sądźcie, że narzekam, mówiąc, że obiad składał się z pięciu dań trującego łajna; spodziewałem się tego i byłbym zdziwiony, gdyby jedzenie okazało się smaczne. Obiad w oksfordzkim High Table, jak może wiecie, jest zawsze odwrotnie proporcjonalny do zawartości mózgow kolegium, które go serwuje. W Scone zawsze są bardzo uzdolnieni studenci. Jeśli chcecie dobrze zjeść, powinniście udać się do takich miejsc jak Pembroke, Trinity albo Saint Edmund Hall, gdzie grają w rugby, hokeja i inne takie, a jeśli zostaniesz przyłapany na czytaniu książki, ktoś weźmie cię na stronę, aby odbyć z tobą krótką rozmowę.

Nie, wieczór tak naprawdę zepsuło mi to, że Scone już całkiem zszedł na psy i na stanowisko nauczyciela akademickiego przyjął kobietę. Przypominała ona nic innego, jak tylko niestaranie zwinięty kłębek starych kawałków sznurka; na twarzy miała zastygły krzywy uśmiech, typowy dla kobiet, które udają, że naturalny poród sprawia im przyjemność, i od pierwszego wejrzenia, ku wzajemnej satysfakcji, poczuliśmy do siebie niechęć. Baba nie nosiła gorsetu ani biustonosza, to było jasne; bluzka z galanterią napinała jej się na poziomie pępka.

Nie mogłem nic powiedzieć, nieprawdaż - jako zwykły stary członek byłem tylko gościem, a ona słuchała uważnie - ale napotkałem wzrok dyrektora i posłałem mu przeciągłe porozumiewawcze spojrzenie. Uśmiechnął się niewinnie, jakby przepraszająco.

Po kolacji Dryden złośliwie przedstawił nas sobie w Common Room.

- Gwładys - zaczął z upodobaniem - Charlie Mortdecai już nie mógł się doczekać, kiedy cię pozna.

---

<sup>28</sup> *Mock turtle* (ang.) - tradycyjna angielska zupa z XVIII wieku, naśladująca zupę żółwiową, a przyrządzana z mózdzku i nówek jagnięcych.

- Bronwen<sup>29</sup> - przedstawiła mi się powściągliwie.

Najwyraźniej Dryden zastosował ten numer nie pierwszy raz.

- Bardzo mi przyjemnie! - wykrzyknąłem szarmancko, żeby ją rozwścieczyć. - Najwyższa pora, żeby w tym zatęchłym przybytku pojawiło się kilka ładnych buź, które by go rozświetliły

Odpowiedziała szczególnie paskudnym spojrzeniem, jakim obdarza cię solony śledź na śniadanie, gdy masz kaca.

- A w czym się pani specjalizuje? - zagadnąłem.

- W socjometryce płciowej - odrzekła.

- Mogłem się domyślić - odparłem figlarnie.

Odwróciła się. Ani dnia bez uczynienia sobie z kogoś

wroga - oto moja dewiza - nawet jeśli tym wrogiem jest tylko kobieta.

- Dokonałeś podboju - mruknął mi Dryden do ucha.

- Mamy whisky w swojej kwaterze?

- Jedynie chivas regal.

- No to chodźmy tam.

Jego pokój to najlepsze lokum w Scone; ma boazerie i dwa regały na książki, którym mogą dorównać tylko regały z Pepys Library w Cambridge, a także z pewnego domu w Sussex, którego nazwa umknęła mi z pamięci. Co więcej, posiada własną łazienkę, co stanowi niesłychany luksus w Scone, gdzie *corpus sanum* - czy *vile* - zdecydowanie zajmuje drugie miejsce w stosunku do *mens sana*. (Wieść niesie, że dawno temu, gdy na radzie kolegium po raz pierwszy zaproponowano, aby dla studentów przewidziano łazienki, stary wykładowca zaprotestował piskliwym głosem, twierdząc, że chłopcy z całą pewnością nie potrzebują takich wygód: „Po cóż im one, przecież spędzają tu ciągiem ledwie osiem tygodni!”). Lecz potem nastąpiły dziwne, przepełnione poczuciem winy czasy późnej epoki wiktoriańskiej, kiedy to Anglicy - według Erazma najbrudniejsza nacja w Europie - uznali, że nie da rady, muszą szorować się od stóp do głów w każdej wolnej chwili, gdy tylko

---

<sup>29</sup> Gwladys - walijska wersja imienia Gladys. Bronwen - również walijskie nazwisko, znaczy „białe piersi”.

nie walczą z dzikusami czy innymi barbarzyńcami. Obecnie w Scone jest trzy razy więcej studentów niż wtedy, a liczba łazienek się nie zwiększyła, ale jakoś to już nikomu nie przeszkadza).

- Cóż - powiedział Dryden, gdy zaczęły na nas łypać ze szklanek bąbelki chivas regal. - Rozumiem, że stałeś się wyznawcą wicca<sup>30</sup> i musisz wyprawiać się w teren, żeby zrywać cudze jabłuszka.

- Nie, nie, nie, John, musiałeś mnie źle zrozumieć przez telefon; nie mówiłem nic o kaczkach i w ogóle nie chodzi o mnie, tylko o kogoś innego.

- Tak się mówi - odparł łagodnie, ze smutkiem. - Tak czy owak opowiedz mi o swoim... eee... przyjacielu.

Oczywiście przekomarzał się ze mną, bo doskonale wiedział, że wiem, że on wie, że ja wiem, że tak, jeśli jasno się wyrażam. Zacząłem więc od początku, ponieważ nie jestem najlepszy w prowadzeniu narracji, i doszedłem do końca. Słuchał z zapartym tchem; siedział wyprostowany i tylko nalał nam jeszcze po dużym drinku.

- Wybornie - zarechotał, zacierając duże różowe ręce. (A przy okazji, umiecie rechotać? Ja tam potrafię chichotać i parskać śmiechem, ale rechotać i chichrać się - niestety nie. To zanikające umiejętności i jakiś współczesny Cecil Sharp<sup>31</sup> mógłby nagrywać ostatnich ludzi, którzy jeszcze je mają).

- Jak to „wybornie”? - zapytałem, kiedy skończył już rechotać. - Moi przyjaciele i ich żony nie widzą w tym nic „wybornego”, zapewniam cię.

- Oczywiście, oczywiście. Wybacz mi. Współczuję im z całego serca. Chciałem powiedzieć, że dla naukowca to powód do radości, iż na fali tego całego rzekomego odrodzenia satanizmu, jakie ma miejsce, następuje powrót do prawdziwej tradycji, i to w dość pierwotnej, zacofanej społeczności, gdzie można się

---

30 Wicca - rozpowszechniona w Europie i USA religia neopogańska, stworzona przez emerytowanego brytyjskiego urzędnika Geralda B. Gardnera prawdopodobnie w latach czterdziestych XX wieku.

31 Cecil James Sharp (1859-1924) - inicjator odrodzenia folkloru w Anglii na początku XX wieku.

było spodziewać ostatnich żarzących się jeszcze węgielków dawnej wiary.

(Ależ on konstruuje piękne zdania! Chciałbym choć w połowie tak dobrze pisać, jak Dryden mówi).

- Tak - ciągnął - mamy tu wszystkie typowe elementy: przede wszystkim profanację świąt wielkanocnych. Prawdopodobnie to co roku zaczyna się na Wielkanoc, rozumiesz, ale na policję zgłasza się niewiele ofiar gwałtu, ze zrozumiałych zresztą powodów; w takich przypadkach wzajemne oskarżenia i krzyżowy ogień pytań podczas sprawy sądowej mogą być krepujące. Co więcej, rodowite mieszkanki Jersey pewnie wiedzą, że zostały wybrane do udziału w rytuale religijnym... a to tak, jakby Angielka usłyszała od pastora, że przyszła jej kolej na udekorowanie kościoła kwiatami na Wielkanoc; to kłopot, ale zaszczytny. Podążasz za moim tokiem myślenia? „Zrównał żem się z tobą. Potem idzie krzyż odwrócony...”

- Jakiż znowu „krzyż odwrócony”? - przerwałem mu.

- No, oczywiście ten na brzuchu czarownika; nie domyśliłeś się? Ofiary gwałtu uznały, że to miecz, i mógł być nawet zaostrzony na czubku, tak jak plecione krzyże, jakie rozdają w kościołach w Niedzielę Palmową. To jednocześnie świętokradztwo w rozumieniu chrystianizmu i starożytny symbol seksu. Czy może wiesz, jakiego był koloru?

- Obawiam się, że nie.

- Postaraj się dowiedzieć, drogi chłopcze. I zapytaj, czy ten krzyż nie brudził farbą. Byłoby wybornie... to znaczy byłoby bardzo interesujące... gdyby się okazało, że nie był wcale namalowany, ale wytworzony na zasadzie psychosomatycznej. Organizm potrafi niesamowite rzeczy, jak na pewno wiesz, pod wpływem hipnozy albo samoistnej hysterii. Tu, rzecz jasna, przychodzą na myśl stygmaty i lewitacja; istnieje zbyt dużo dowodów, aby wykluczyć coś takiego.

Przyjrzałem mu się ukradkiem. To było jego hobby, ale facet trochę zanadto dał się ponieść; pasja czasami przeradza się w obsesję, zwłaszcza u starszych akademików.

- Myślisz, że jak na zwykłe hobby trochę mnie poniosło - zauważył i odpowiedział uśmiechem, gdy wzdrygnąłem się,



przyłapany na gorącym uczynku. - Przyznaję, że ten temat wydaje mi się aż niezdrowo ciekawy.

Wymamrotałem zdawkowy protest, ale on zbył go machnięciem ręki.

- Słowa „hobby” i „lewitacja” - podjął - prowadzą do następnego punktu, jakim jest smarowidło na latanie.

- Jakie znowu smarowidło na latanie?

- No maść. Istnieje na to wiele nazw, ale skład jest mniej więcej taki sam. To paląca mikstura, którą wiedźmy albo czarownicy smarują ciało, kiedy idą na sabat. Tłusta substancja zatyka pory i dzięki temu delikatnie zmienia chemię ciała, inny składnik drażni skórę i powoduje jej zaczerwienienie, a dziwna woń... razem ze świadomością, z czego maść została zrobiona... potęguje nieczyste podniecenie do tego stopnia, że natarta nią osoba ma poczucie, iż może latać. W przypadku wiedźmy galop po kuchni z miotłą między nogami niewątpliwie wzmacnia euforię.

- Niewątpliwie - przytaknąłem.

- Czy komuś udaje się latać, pozostaje otwartym pytaniem. Najważniejsze dla tych ludzi jest przekonanie, że to potrafią. Chcesz się dowiedzieć, z czego składa się taka maść?

- Nie, dziękuję. Mam lekką niestrawność po kolacji.

- Przejornie z twojej strony. A przy okazji, nie zauważyłeś w waszej lokalnej gazecie wzmianek o zaginięciu tuż przed Wielkanocą nowo narodzonych dzieci?

- A co to ma...? - zacząłem. - A tak, rozumiem. To odrażające. Czy oni naprawdę...? Nie, raczej nie odnotowałbym czegoś takiego. Ludzie nie powinni mieć dzieci, jeśli nie są w stanie się nimi zająć, jak mówiła moja stara niania.

- Na wszelki wypadek możesz to sprawdzić, drogi chłopcze. Takie rzeczy dzieją się podczas nowiu przed Wielkanocą. Ale oczywiście mogło to być dziecko, którego zaginięcia nikt nie zauważył. No wiesz, „i palec dziecka, które powite, przez własną matkę było zabite”.

- Rozumiem. „Włos nietoperza, włosy jaszczurek, język brytana, żaby pazurek”<sup>32</sup>.

---

32 Fragmenty Szekspirowskiego *Makbeta* w przekładzie Leona Ulricha.

- Właśnie. Niemniej spróbuj się tego dowiedzieć. A teraz dochodzimy do ropuch. Zawsze miałem wrażenie, że szczególne upodobanie mieszkańców Jersey do tych zwierząt może świadczyć, iż był to ostatni przyczółek dawnej religii, ponieważ ropucha to najpopularniejszy duch pod postacią zwierzęcia, towarzyszący... wiedźmom i czarownikom. Narośle na jej skórze, rozumiesz, przypominają dodatkowe sutki, jakie rzekomo miała każda czarownica... Czy ja cię nudzę, drogi chłopcze? Masz co pić?... To przekonanie sięga jeszcze czasów poli- mastii czy nadmiaru piersi u starożytnych. Nie muszę ci chyba przypominać Artemidy z Efezu, która wyglądała niczym szyszka jodłowa, jak słusznie zauważył drogi Jim Cabell<sup>33</sup>.

- Myślałem, że kot był takim duchem? A Grimalkin<sup>34</sup> i cała reszta?

- Szeroko rozpowszechnione, acz błędne mniemanie, dlatego wybacalne, Mortdecai. Przede wszystkim zrozum, w czasie wielkich polowań na czarownice w siedemnastym wieku... najlepiej znanych, ponieważ były inspirowane politycznie, a to dlatego, że dążono do konfrontacji między eklezjalnym nurtem w Kościele anglikańskim i papistowskimi kawalerami<sup>35</sup>, którzy, o dziwo, podobno mniej lub bardziej tolerowali dawną religię (może umieli się nią posługiwać?), a purytanami, którzy uważali czary za narzędzie Rzymu... więc, jak mówię, w tym czasie prawdziwe czarownice zeszły do podziemia i na powierzchni pozostało tylko kilka starych bab praktykujących getycką magię, żeby pomóc zaprzyjaźnionym sąsiadom i przechytrzyć nieszkodliwych prześladowców. Metoda poszukiwania czarownic opierała się na tym, że taka kobieta zawsze miała „diabelski” sutek, którym mogła karmić ducha w postaci zwierzęcia. Związywano więc biedne staruszki i je obserwowano, bo sądzono, że kiedy duch zgłodnieje, przyjdzie się posilić. Większość starszych pań do dziś trzyma w domu kota... i większość z nich ma brodawkę albo pieprzyk, to po-

---

33 James Branch Cabell (1879-1958) - amerykański powieściopisarz, autor książek fantasy.

34 Grimalkin - według dawnych wierzeń kobieta-kot, symbolizująca zło.

35 Cavalier - stronnik Karola I podczas wojny domowej.

wszechnie wiadomo. Rozumiesz? Co więcej, w tej kwestii panuje dawne nieporozumienie, gdyż słowo „kot” oznaczało kiedyś miotłę, taką, na której mogłyby latać czarownice. (Może grałeś jako dziecko w tip-cata<sup>36</sup>? Nie?). Krótko mówiąc, z całą pewnością to ropucha, nie kot, jest najpopularniejszym i najskuteczniejszym duchem w postaci zwierzęcia. Może powinienem powiedzieć „był”. Albo „miał być” - zakończył nieprzekonująco.

Jego gorąca apologia ropuchy obudziła we mnie niepokojące podejrzenie, że staranne przeszukanie kwatery, którą zajmował, ujawniłoby gdzieś sympatyczne wiwarium z tymi płazami.

- Hm, John - odezwałem się poważnym tonem - to wszystko jest fascynujące i jestem ci więcej niż wdzięczny za wgląd w sposób myślenia tego zwyrodnialca i tak dalej, ale wydaje mi się, że powinniśmy raczej pomyśleć o środkach zaradczych, nie sądzisz? Bo choć dla ciebie to bez wątpienia intrygujący przykład żywych tradycji ludowych, to tam, na Jersey, straszliwie ucierpiały żony moich dwóch dobrych przyjaciół i jedna z nich, jeśli się nie mylę, może to przyplącić poważną chorobą umysłową. Rozmowa o dawnych obyczajach jest bardzo ciekawa i pierwszy wstąpiłbym do towarzystwa kultywowania tańca z przytupem, ale ty na pewno nie zapisałbyś się do fundacji kultywowania niegdysiejszego sposobu niewolenia kobiet, nieprawdaż? Według mnie należy powstrzymać tego typu. Czy może mam staromodne poglądy?

- Och, Mortdecai, Mortdecai - powiedział (śmiesznie to zabrzmiało, jakby było napisane z łącznikiem) - zawsze byłeś niecierpliw w sprawach ducha. Pamiętam, że na drugim roku zostałeś zawieszony w prawach studenta... nie mam racji?... za...

- No cóż...

- A potem znowu na ostatnim roku za...

- Zgadza się, John, ale co to ma do rzeczy?

- Fakt, nic, masz całkowitą rację. Rzeczywiście należy znaleźć

---

<sup>36</sup> Tip-cat - gra, w której krótki, zaostrozony z obu stron kawałek drewna (cat, po angielsku „kot”) jest uderzany kijem i wiruje w powietrzu.

środki zaradcze, rozumiem to, naprawę. Niech się zastanowie. Założmy, że gwałciiciel jest... nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości... dobrze obeznany z całą obecną wiedzą naukową dotyczącą dawnej religii, którą praktykuje. Dzięki temu będzie go można na różne sposoby zniechęcić. Po pierwsze... to najłatwiejszy sposób... należy posypać zwykłą solą (choć lepsza byłaby sól kamienna) wszystkie wejścia do pokoju: próg, parapety okienne, palenisko w kominku, wszelkie szczeliny i otwory wentylacyjne. Po drugie, można by rozwiesić warkocze dzikiego czosnku, choć o tej porze roku na Jersey, jak zresztą wszędzie indziej, trudno byłoby znaleźć dziki czosnek, a poza tym on naprawdę ohydnie cuchnie.

- Wiem. Próbowałem kiedyś zjeść dziką kaczkę, która się nim żywiła. Nawet kosz na odpadki miałby chęć go wypluć.

- Właśnie. Po trzecie, i to niezawodna metoda, ktoś, kto boi się, że nawiedzi go czarownica czy czarownik, powinien kłaść się do łóżka z krucyfiksem, z drewna albo lepiej z dwóch metali szlachetnych, czyli złota i srebra, a najlepszy byłby krzyż wykonany z najtwardszego drewna, na przykład hebanowego czy gwajakowego, i inkrustowany złotem oraz srebrem. Taka osoba powinna także nauczyć się na pamięć prostego zaklęcia, które wypowie w obecności posłańca Wyczekiwanego... eee... to znaczy diabła, i które zaraz ci podyktuję.

- John, wybacz mi, ale wydaje mi się, że to nieodpowiednie podejście. Przede wszystkim nie mam zamiaru dystrybuować zaklęć ani kosztownych krucyfiksów wśród całej populacji nadających się do zgwałcenia kobiet w gminie Saint Magloire. Poza tym nie o to chodzi, żeby drań nie mógł się dostać do naszych sypialni, bo właśnie jeśli zdoła to zrobić, będziemy mogli go złapać, w razie konieczności zabić, a w każdym razie za wszelką cenę powstrzymać, i to na dobre.

- Ojej, co to, to nie. Nie pozwól, żeby go zabito; być może to ostatni przedstawiciel jakiejś bardzo starej wiary, nie wiemy, czy już zdążył wprowadzić w tajniki kultu swojego następcę. Nie, nie, nie wolno ci dopuścić do śmierci napastnika. Zresztą to może się okazać trochę trudne, he, he.

- Wiem. Zastanawiam się nawet, czy nie zamówić pudełka

srebrnych kul.

- No naprawdę, Mortdecai! - wykrzyknął, wesoło klaszcząc w dłonie. - Zawsze byłeś niezwykle pomysłowy, nawet dziekan tak stwierdził, kiedy niemal wygrałeś konkurs literacki, ściągając tysiąc linijek z *Cenci* Shelleya. Zawieszono cię wtedy?

- Nie, postawiłem na gambit „młodzieńczy wybryk”. Władze rąbnęły mnie tylko na pięćdziesiąt funtów. Ojciec zapłacił. Zagroziłem, że jeśli tego nie zrobi, ożenię się z barmanką.

- No właśnie, o tym mówię. Jesteś pomysłowy. Ale nie, postaraj się, żeby uszedł z życiem. Jeśli chodzi o sposoby na złapanie gwałciiciela, naprawdę nie mam żadnych sugestii. Będzie diabelnie przebiegły, rozumiesz, dysponując różnymi sztuczkami, których nie znamy, zależnie od tego, czy był w Korozainie, czy nie. - Miałem wrażenie, że mówi do siebie.

- W Korozainie?

- Tak, to właściwie nie ma już nic wspólnego z nauką ani z naszą sprawą. Korozain to miejsce wymienione w Biblii, obecnie zaledwie kilka kamieni... tak słyszałem... jeżdżą tam... w każdym razie tacy jak twój czarodziej... żeby... jak by to powiedzieć... dokończyć edukację.

- Satanistyczną, tak? - próbowałem się dowiedzieć.

-Właśnie, cha, cha! Doskonale. Owszem, jeżdżą tam, żeby złożyć pokłon swemu panu. To się kiedyś nazywało *peregrinatio nigra*, no wiesz, czarna pielgrzymka...

- Wielkie dzięki za wyjaśnienie – odparłem.

- Oj, przepraszam, drogi chłopcze, zapomniałem, że licencjaci znali dawniej łacinę. A wracając do sprawy, naprawdę nie przychodzi mi do głowy żaden pomysł, który dawałby szansę na złapanie tego gościa. Chyba żeby zostawić atrakcyjną młodą kobietę w jakimś zagajniku... albo jej zwłoki... ale kto zgłosi się na przynętę? Nie można by jej przykuć łańcuchem, bo wyglądałoby to podejrzanie, nieprawdaż? Nie, chyba najlepiej pokonać go jego własną bronią i na dobre odstraszyć... zmusić, żeby zawołał: *Vicisti!*<sup>37</sup>, co znaczy...

- Dziękuję ci ponownie - rzuciłem.

---

<sup>37</sup> *Galilaeae, Vicisti* (łac.) - „Galilejczyku, zwyciężyłeś”. Rzekomo ostatnie słowa (niechętnego chrześcijaństwu) cesarza rzymskiego Juliana.

- Oj, wybacz mi, drogi chłopcze. Tak, musicie mu dać do wiwatu, aby się zorientował, że nie ma szans; wtedy na pewno da za wygraną i użyje swoich umiejętności do innych celów. Krótko mówiąc, musicie urządzić mszę.

- Mszę?

- Satanistyczną, oczywiście. Taką prawdziwą, na bogato. Wtedy znajdziecie się pod ochroną jego... eee... pana... i nie będzie miał innego wyjścia, jak zostawić was w spokoju. Można powiedzieć, że wystraszyście go jak diabli, he, he.

Byłem w rozterce. Czy nasz gwałciiciel naprawdę był wyznawcą czarnej magii? Dryden, czołowy specjalista w tej dziedzinie, najwyraźniej uważał, że facet jest niebezpiecznym adeptem sztuki czarnoksięskiej, ale w takim razie - do jakiego stopnia szurnięty jest sam Dryden? Czy miałem wrócić na Jersey i powiedzieć George'owi i Samowi, że musimy urządzić czarną mszę? Z drugiej strony co było z drugiej strony? Leżeć noc w noc na wilgotnym polu ziemniaków z nadzieją, że facet sam wpadnie nam w ręce? I czego miałyby to dowieść? A może czaić się w garderobie w sypialni tej czy innej potencjalnej ofiary? Zupełny absurd; co więcej, jeśli nasz gwałciiciel brał przykład z Bestii z Jersey, to obserwował wybrane ofiary przez wiele godzin, może nawet dni, a na Jersey nie brakuje nadających się do gwałtu kobiet - jeśli nie przeszkadzają ci nogi jak słupy.

- Świetnie zatem - odezwałem się w końcu. - Urządzimy czarną mszę jak się patrzy. Ty na pewno się na tym znasz.

- Doskonale, doskonale. Zawsze mówiłem, że masz rozum nie od parady. Pamiętasz, powiedziałem to dziekanowi, kiedy...

- Dobrze, John. Jak urządzić taką imprezkę?

- Oczywiście należy zachować praktycyzm. Przede wszystkim musimy zdecydować się na odpowiedni rodzaj mszy. Co? O tak, jest ich wiele. Wiele. Najlepsza wydaje mi się msza medycejska, nigdy nie zawodzi, jest zdecydowanie zabójcza, ale nie mamy wiarygodnych tekstów jej graduau... wszystkie niepełne, co do jednego, jaka szkoda! W każdym razie *miss a medicensis* wymaga poświęcenia pięknego młodego chłopca, co chyba uznałbyś za okropne marnotrawstwo... czy może myślę cię z facetem o podobnym nazwisku, który był na twoim roku?

- Masz na myśli Bonfigliolego? - spytałem.

- O tak, właśnie jego. Przepraszam cię, Mortdecai. Tak czy owak jeśli twój czarownik z Jersey nie jest jakoś nadzwyczaj dobrze odczytany, być może nie słyszał o tym rytuale, a to ogromnie ważne, żeby wiedział, jakie ma siły przeciwko sobie. Rozumiesz, prawda?

- Ma to sens, niezaprzeczalnie.

- Właśnie. Ale chyba mam: *messe de Saint Secaire*.

- A kto to był święty Sekariusz, na miłość boską?

- Hm, prawdopodobnie nie był świętym; być może w ogóle nie istniał, ale jego imię jest znane wszędzie, od Kraju Basków po Nizinę Środkowoszkocką, wśród ludzi, którzy interesują się takimi sprawami.

- Mówisz samymi zagadkami, John.

- Oczywiście. Więc będziesz potrzebował trzech elementów: przede wszystkim suspendowanego księdza, bo wymaga tego rytuał. Znam odpowiedniego gościa; uczy w prywatnej podstawówce w Eastbourne, jest odpowiedzialny i niedrogi. Będzie cię to kosztowało tylko bilet na prom... tacy jak on nie podróżują drogą powietrzną z oczywistych powodów... kilka butelek pastis, wiązkę czystej słomy, na której mógłby się przespać, no i może, już po wszystkim, z dziesięć funciaków za fatygę.

- Mam służącego imieniem Jock, który zadba o jego potrzeby.

- Znakomicie. Następnie będziesz potrzebował tekstu rytuału. Istnieje tylko jeden porządny egzemplarz; znajduje się w niezrównanej bibliotece zabawnego starego zboreznika, niejakiego lorda Dunromina. Dam ci do niego list. Jeśli trochę się przed nim popłaszczysz i będziesz udawał, że masz go za najnikczemniejszego człowieka w Anglii, bo za takiego chce uchodzić, może udostępni ci rękopis i pozwoli skopiować te jego części, które najbardziej odbiegają od *Ordinale*. Zwróć szczególną uwagę na osobliwości *Introit*, a konkretnie *Kyrie* i... cóż... odpowiednik *Agnus Dei*.

Zanotowałem to wszystko na mankiecie, bo wiedziałem, że taki anachronizm mu się spodoba.

- I wreszcie - ciągnął - co może okazać się trochę trudne,

będziesz musiał znaleźć zrujnowany kościół, który został dekonsekrowany... najlepiej z ropuchą pod ołtarzem. To możliwe na Jersey?

- Jest takie miejsce na Jersey, nazywa się La Hougue Bie. Opuszczona szesnastowieczna kaplica, stojąca na wzgórzu, które kryje jeden z piękniejszych grobowców megalitycznych w Europie. Jestem pewien, że w okolicy występują ropuchy, a gdyby ich nie było, to żaden problem sprowadzić je do takiego raję... wyświadczylibyśmy im nawet przysługę.

- Wyśmienicie! Jesteś pewien, że kaplica została dekonsekrowana? Nie? No to musisz się upewnić. Mógłbyś, rzecz jasna, sam tego dokonać, ale to nie to samo, poza tym procedura mogłaby okazać się trochę... kłopotliwa. W tak starożytnym przybytku mogłyby być z tym kłopoty. Chyba rozumiesz, co mam na myśli.

- Aż za dobrze.

- Myślę, że omówiliśmy już wszystko. Teraz z pewnością chętnie położysz się do łóżka.

Nie spałem zbyt dobrze; prawdopodobnie zjadłem coś, co mi zaszkodziło. Raz nawet obudziłem się z przerażeniem. W głowie dźwięczało mi jakieś niepokojące zakłęcie, ale był to tylko niewinny fragment *O czym szumią wierzby*.

*W ciężkim znoju, w wielkim trudzie  
Zdobywają mądrość ludzie;  
Jakże wiedza ich jest krucha,  
Gdy się wgłębisz w mózg Ropucha<sup>38</sup>*

Nie wiem, dlaczego tak mnie to przeraziło.

---

38 Kenneth Grahame, *O czym szumią wierzby*, przeł. Maria Godlewska.



Na Tego, co czarne przywdziewa szaty  
 Kozła, co nigdy kozłem nie był,  
 Nadszedł dziś czas straszliwej zapłaty  
 Za kłamstwo, które ustami krzewił.

Na Wyżach, dla zacnej bezimiennej rzeszy,  
 Zawsze strzegąca berła strzelistego,  
 Leży rzecz błada i bezwstydem grzeszy,  
 Chora od chuci do bóstwa straszniego.

O Asztarocie, pupilu Sydonu,  
 Szpetny Kemoszu, co szalejesz w mroku,  
 Niosę pąs pocałunku aż do niebosłonu,  
 Dla twojej sługi i ku Twemu oku.

*Asmodeusz*

Dryden był tak miły, że nazajutrz odwiózł mnie na dworzec. Prowadzi wóz szybko i zdecydowanie, ale innych użytkowników drogi traktuje zgodnie z własnymi teoriami, więc podróż nie była przyjemna. Raz nieśmiało zwróciłem mu uwagę, że skręcamy w ulicę jednokierunkową. Wyszczерzył się do mnie i przytykając palec wskazujący do nosa, zawołał:

- Tak, ale który to kierunek?! Tego nie wiemy!

Tryumfując, wjechał przez krawężnik na chodnik, więc przez resztę drogi powstrzymywałem się od komentarzy - i zamknąłem oczy. Żałowałem, pamiętam, że nie znam żadnego zakłęcia, które mógłbym w tej sytuacji wypowiedzieć.

Oto jak Dryden wsadza swojego gościa do pociągu. Zatrzymuje wolseleya pod znakiem „Tylko dla taksówek”, wyskakuje z wozu, wtyka lewarek pod jego próg i wykonuje nim

kilka obrotów. To jego zdaniem daje mu dwadzieścia minut przewagi nad innymi. Potem, z parasolem wycelowanym w niebiosa, przybiera pozę Joanny d'Arc i woła kilka razy: „Bagażowy!”, coraz piskliwiej i bardziej dramatycznie, aż każdy sensat w zasięgu słuchu zaczyna gorączkowo szukać bagażowego dla tego biednego dżentelmena, a ty, jego pasażer, jesteś już purpurowy ze wstydu i przykrości.

Kiedy wreszcie zjawia się przysłany przez współczujący tłumek bagażowy, który przeciera zaczerwienione oczy i mruży je oslepiiony światłem słonecznym jak pająk wyciągnięty z portfela Szkota, Dryden stanowczo bierze go pod ramię.

- Ten dżentelmen - wyjaśnia, stukając cię palcem wskazującym w kamizelkę - musi jechać do Londynu. W bardzo ważnej sprawie. - Delikatnie obraca bagażowego na wschód i pokazuje biegnące w tym kierunku tory. - Do Londynu - powtarza z naciskiem. - Proszę zadbać, żeby wsiadł do pociągu, i zachować to dla siebie. - Po czym się odwraca; spełnił swój obowiązek, zatroszczył się o ciebie.

Bagażowy gapi się na małą monetę, którą wetknięto mu do ręki, ale jego poczucie humoru bierze górę, więc z półukłonem podnosi twoją walizkę i oferuje, że poniesie także parasol. Prowadzi cię do kasy i wyjaśnia kasjerce, jaki ma wydać bilet. Potem usadza cię na miejscu w kącie, zgodnie z kierunkiem jazdy, w przedziale pierwszej klasy, obciąża ochraniacz na zagłówek, rozgląda się, jakby szukał koca, którym okryje ci kolana. Nie muszę mówić, że dajesz mu za to sowity napiwek. Wiesz, że później być może uznasz to wszystko za bardzo zabawne, ale w tej chwili masz ochotę splunąć.

Kiedy pociąg szarpnął, wstałem i wyjrzałem przez okno. Dryden stał na peronie - być może prosił konduktora, żeby się mną opiekował. Ale nie, zaczął biec wzdłuż pociągu, podskakując i starając się zajrzeć do przedziałów pierwszej klasy.

- Tutaj! - zawołałem, machając do niego ręką.

Przeszedł w galop, ale pociąg był dla niego za szybki.

- Rzepa! - wykrzyknął chyba, gdy się potknął. - Rzepa!

- Rzepa?! - powtórzyłem, ale byliśmy już poza zasięgiem

słuchu.

- O co mu, do licha, chodziło z tą rzepą? - zapytałem głośno, siadając na swoim miejscu.

Tymczasem przedział się zappełnił. Siedząca na wprost starsza pani, która powinna wręczyć mi jakąś broszurę o treści religijnej, obrzuciła mnie najpaskudniejszym spojrzeniem, jakie można sobie wyobrazić. W odpowiedzi odwołałem się do jedynej możliwej kontrakcji: wydobyłem z kieszeni piersiówkę i pociągnąłem z niej łyk. Dobrze babie tak! Po przekątnej, w przeciwległym kącie, siedział ksiądz albinos, który podniósł głowę znad brewiarza i rzucił mi świętoszkowaty, słodki uśmiech, mówiący, że jeśli popadnę w delirium tremens, zmówi za mnie modlitwę. Czwarty róg zajmował urzędnik banku kupieckiego - choćby nie wiem jak się starali, nie ukryją rozbieganych oczek ani ust jak pułapka na szczury Rozwiązywał krzyżówkę w „Timesie” i nie zarejestrował ani rzepy, ani piersiówki, ani niczego innego; to właśnie siła koncentracji wyróżnia tych złodziei z tłumu.

Starsza pani z uporem godnym lepszej sprawy podziwiała gustowne sepiowe Tewkesbury Abbey<sup>39</sup> nad moją głową, być może pragnąc, aby spadło ono na mnie. Muszę powiedzieć, że przypadła mi do gustu; dobrze o niej świadczył jawny niesmak pod adresem Mortdecaiów tego świata. Często myślałem, czyby nie sprawić sobie takiej starszej pani jako zwierzątko domowego. Oczywiście myśliwy miałby z takiej niewielki pożytek - nie mają dobrego węchu, wiadomo, i nie można ich zabrać na mokradła - ale dla mieszczaucha stanowią istny skarb. Nie rozumiem, po co wydawać fortunę na obrzydliwe koty i psy, które wszędzie zostawiają po sobie kałuże, szczenięta i kocięta, podczas gdy ponosząc jedynie koszt utrzymania, można mieć starszą panią, czyściutką i po okresie rozrodczym. Starsze panie bywają pomocne na niezliczone sposoby, jak prasowanie koszul czy układanie kwiatów, a takich sztuczek nauczysz niewiele psów i żadnego kota. To prawda, potrafią być

---

39 Tewkesbury Abbey - opactwo Świętej Marii Dziewicy w Gloucestershire, niegdyś benedyktyńskie. Jeden z najpiękniejszych przykładów architektury normandzkiej w Wielkiej Brytanii.

hałaśliwe, ale sądzę, że kilka smagnięć batem skutecznie ich tego oduczycy - a niewykluczone, że za drobne pieniądze da się uciszyć je chirurgicznie. To prawda, zaliczają się do aktyw zużywalnych i jeśli zdarzy się kiepski egzemplarz, starsza pani może być całe lata przykuta do łóżka, ku swojemu nieszczęściu i utrapieniu innych. Ale w takim przypadku należałoby zostawić przy jej łóżku, na komodzie, butelkę brandy i nabity rewolwer, tak jak się kiedyś postępowoło z oficerami gwardii przyłapanymi na wkładaniu palców do tamburynu.

Nie powinno się trzymać w domu ludzi, jeśli nie jest się w stanie odpowiednio nimi opiekować - chyba się ze mną zgodzicie.

Londyn oczywiście był piekłem; z każdym dniem w tym mieście robi się coraz gorzej. Rozpaczliwie tęsknię za niespiesznym, spokojnym, sielskim stylem życia, jakim cieszą się jeszcze w Nowym Jorku. Zostawiwszy bagaż w hotelu Connaught, objąłem się do lunchu, tu gawędząc z krawcem szyjącym koszule, tam z właścicielem sklepu pasmanteryjnego, a jeszcze gdzie indziej z szewcem. Potem pokrzepiłem się ostrygami w miejscu, którego nazwy wam nie zdradzę, bo nie chcę, żebyście do niego chodzili; nie spodobałoby się wam, a przestrzeni jest tam niewiele, ledwie starcza dla mnie.

Kiedy przyszedł czas na spotkanie z lordem Dunrominem, udałem się do jego klubu, czyli jednego z tych starodawnych, nienawistnych przybytków o nazwie Boggs, Crufts albo Friggs - znacie je. Ten ściek, znany innym klubowiczom jako Senior Lechers<sup>40</sup>, to naprawdę okropne miejsce. Przyjmują do niego tylko starych, dobrze urodzonych i emanujących pogardą facetów, odrzucanych przez przyzwoitych członków społeczeństwa i ubranych drogo, w dyskretnym złym guście.

Portier zlustrował mój strój, zerknął na metkę wewnątrz kapelusza, który mi podałem, i poinformował mnie łaskawie, że hrabia jest w sali dla palących i być może nawet mnie oczekuje. Czy wiem, gdzie jest sala dla palących? - zapytał. Spojrzałem na niego lodowato - nie tacy jak on próbowali mnie spieszyć. Zostałem więc zaprowadzony na miejsce.

---

40 Senior Lechers (ang.) - Starsi Zbereźnicy.

Hrabia nie raczył wstać. Od lat był najnikczemniejszym człowiekiem w Anglii i teraz ubiegał się o miano najbardziej impertynenckiego. Selekcjonerzy z całej Anglii od dawna mieli na niego oko. Obrzucił mnie spojrzeniem od góry do dołu. Dwusekundowa lustracja zaowocowała autentycznym zażenowaniem, tłumionym rozbawieniem i fałszywym współczuciem. Dobrze mu szło; należał do zupełnie innej ligi niż odźwierny. Nie czekając za zaproszenie, usiadłem.

- Jak się pan ma? - zapytałem.

- Kwik - odparł.

To przyciągnęło kelnera. Lord Dunromin na cały głos zamówił dla mnie „kieliszek najtańszego porto”, a sobie nalał czegoś z karafki, którą miał pod ręką.

Odwrócił się w stronę okna, żeby spojrzeć szyderczo na przejeżdżający omnibus. Przyjrzałem mu się wtedy. Twarz miał o ton czy dwa ciemniejszą od mojego porto i ton czy dwa jaśniejszą od swojego. Oglądany przez mój kieliszek, wydawał się cały czarny, tylko oczy świeciły mu na czerwono.

- To jak? - odezwał się w końcu, przenosząc na mnie wzrok. - Zamierza pan przeprowadzić ze mną wywiad czy nie?

To mnie trochę zbiło z tropu, ale uznałem, że mogę sprawić mu tę małą przyjemność, czemu nie?

- Oczywiście. Przepraszam. Od jak dawna uważa się pan za najnikczemniejszego człowieka w Anglii? - zapytałem.

- W Europie. I nie podoba mi się wyrażenie „uważa się pan”. Od piętnastego roku życia. Zostałem wyrzucony z trzech prywatnych szkół, obu uniwersytetów, czterech klubów i Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

- O rany! A czemu przypisuje pan ten sukces?

- Niepohamowanej żądzy. Temu, co obecnie nazywa się seksem. Molestowałem dyrektorki szkół, pokojówki, żony kumpli, ich córki i tak dalej.

- Sprawiało to panu przyjemność? Już pan z tym skończył?

- Tak, sprawiało, każda chwila. I już skończyłem, owszem. Stało się zbyt łatwe, zbyt męczące i kolidowało z telewizją. To znaczy oglądaniem telewizji, nie odbiorem, cha, cha!

Uśmiechnąłem się do niego sztywno.

- Zbyt łatwe? - zapytałem najniegrzeczniej, jak tylko umiałem.

- W dzisiejszych czasach tak, zdecydowanie. Niech pan spojrzy, jak radzą sobie z tym młodzi faceci z tymi okropnymi włosami; wszyscy ścigani przez hordy młodych kobiet dyszących z pożądania, aż pchających się do łóżka. Kiedy ja byłem chłopcem, byliśmy dumni, gdy udało nam się dopaść nawet najbrzydszą służącą, a proszę popatrzeć, co się dzieje teraz... wręcz musimy się od kobiet opędząć. I to od tych ładnych, bo wszystkie brzydkie jakby wyginęły. To tak jak z policjantami - dodał zagadkowo.

- I od tamtego czasu, lordzie Dunromin, nigdy nie przychodziło to panu z trudnością?

- Jasne, że nie. Jasne, że nie. Wręcz przeciwnie. Nigdy nie rozumiałem, dlaczego mężczyźni z naszego pokolenia - popatrzyłem na niego ze zdziwieniem: chyba nie zaliczał mnie do tego zbioru? - uważali uwodzenie za wielką sztukę. To znaczy my, nieliczni wprawni uwodziciele, nigdy nie chwalimy się naszymi podbojami, bo wiemy, jakie to absurdalnie, obraźliwie proste. Trzeba zacząć od tego, że kobiety, prawie wszystkie, są bezdennie głupie... musi pan o tym wiedzieć... czasami aż trudno uwierzyć, że należą do tego samego gatunku co pan i ja. Czy pan wie, że dziewięć na dziesięć nie potrafi odróżnić margaryny od masła? To prawda, zapewniam pana, widziałem to nieraz w telewizji. Na korzyść uwodziciela działa kolejna sprawa: niemal wszystkie kobiety, czy są tego świadome, czy nie, tak naprawdę marzą o tym, żeby zostać uwiedzione... to dla nich ważne, rozumie pan. Niektóre chcą tego, bo nie są zameżne, niektóre dlatego, że są; jedne, ponieważ są za stare, drugie, ponieważ są za młode, he, he; piękne potrzebują tego, bo to im schlebia, a brzydkie, bo brakuje im pewności siebie; nieliczne za tym tęsknią, bo są niewyżyte seksualnie, ale te stanowią wyjątek... większość jest naprawdę oziębła, ale przyjmuje pozycję horyzontalną z nadzieją, że ich następnym wierzchowcem będzie ten jedyny, który wreszcie je obudzi i pozwoli im przeżyć magiczny moment, o którym tyle czytały w tych swoich powieściłach. Krótko mówiąc, wątpię, aby istniała na świecie kobieta, której

nie dałoby się uwieść. Tragiczne jest to, że nawet jedna na tysiąc nie jest warta twojego zachodu. *Experto crede*<sup>41</sup>. Najlepszą zdobyczą są przeważnie te najstarsze; zawsze myślą, że to może być ich ostatni raz, przekona się pan.

Miałem już po uszy tego wywodu, brzmiał jak wstępniak w „Gazetce dla Chłopców” albo jak epilog autorstwa dyrektora YMCA, ale w chwili, gdy zamierzałem hrabiemu przerwać, ten podjął donośnym głosem, patrząc przekrwionymi, wylupiastymi oczami w sufit.

- Każdy mężczyzna wyposażony w tę skromną wiedzę jest skazany na powodzenie; może jak Attyła dokonywać podbojów w szeregach kobiet, dopóki tylko starczy mu sił witalnych. Nie musi być przystojny, wygadany ani bogaty (choć w obecnych czasach wymagany, jest samochód), czasami nawet pomaga, gdy jest biedny, wątpy i nieelokwentny. Nawet grubi mają szansę, bo doświadczone dziewczyny nie lubią kościstej miednicy i wielu z nas, mężczyzn przy kości, kojarzy im się z ojcami, do których żywiły skrytą młodzieńczą namiętność.

Jak mówię, ta zwykła znajomość reguł gry powinna dać przysłemu ogierowi przewagę już na starcie, ale skoro jesteśmy przy tym temacie, mogę udzielić jeszcze kilku praktycznych wskazówek, bo dla mnie są już bezużyteczne. Jest pan gotowy do notowania?

- Hm, nie - odparłem. - Ja właściwie...

- Więc niech się pan przygotuje. Hej, kelner, kieliszek brandy dla tego... eee... džentelmena. Nie, nie, tę drugą brandy. A teraz niech pan słucha uważnie.

- (A) - zaczął, starannie artykułując nawiasy. - Musi pan stale schlebiać obiektowi, z taką przesadą, jak tylko pan potrafi, nie wpadając przy tym w chichot... wazeliny nigdy dosyć. Nieważne, jeśli obiekt w to nie wierzy. I tak będzie słuchał jak urzeczony.

(B) Proszę pamiętać, że kobiety marzną; zawsze to podkreślam. Siedząca w przeciągu to nieruchoma bryła, podczas gdy taka z ciepłymi dłońmi i stopami przypomina armię z odsłoniętą flanką... to połowa wygranej. Niech pan

---

41 *Experto crede* (łac.) - „Uwierz specjalście”.

zwróci na to uwagę.

(C) Pokoleniom czytelniczek „Pegs Paper”<sup>42</sup>wpajano, że by zdobyć serce mężczyzny, powinny go zachęcać do mówienia o sobie. Więc niech pan w ogóle o sobie nie mówi; ta powściągliwość tak je zaintryguje, że oddadzą swój największy skarb, aby zdobyć pańskie zaufanie.

(D) Proszę je karmić ciepłym, kalorycznym jedzeniem, i to regularnie, to tańsze i skuteczniejsze od alkoholu, po którym tylko płaczą, rzygają albo zachowują się w pożałowania godny sposób. Sytość powoduje u nich rozleniwienie, a to sprzyja miłości cielesnej. Niech pan to wypróbuj już dzisiaj... znajdzie pan wszystkie potrzebne produkty w Fortnum, w Paxton and Whitfield i... eee... oczywiście Fortnum... i tak dalej.

(E) Zanim dokona pan ostatecznego ataku na czyjąś cnotę, niech pan za wszelką cenę przekona ofiarę, żeby zdjęła buty. To da się łatwo osiągnąć bez żadnych nieprzyzwoitych sztuczek, a kobieta natychmiast poczuje się jak w rozkosznym negliżu i niemalże zdobyta. (Od razu też zrobi jej się lepiej, bo prawie na pewno nosi buty o numer za małe). Proszę ją zachęcić, żeby zdjęła resztę ubrania, po jednej sztuce; to da panu mocną pozycję.

(F) Na przedostatnim etapie niech pan stale uspokaja jej obawy; proszę mówić jej kojąco, nic nieznaczące słowa, jakby pan przemawiał do narowistego konia, zwłaszcza jeśli jest religijna. W razie konieczności może pan jej wytłumaczyć, że nic takiego pan nie robi; uwierzy wbrew wszystkim świadectwom zmysłów, jeżeli będzie pan przekonujący. To czasami jedyna metoda na te najbardziej zdewociałe.

(G) Niech pan się postara nie zaciągnąć jej pończoch, nie rozerwać ramiączek halki ani nie potargać włosów, zwłaszcza jeśli nie należy do zamożnych. Cnota i tak jest na straty, a porządna fryzura może kosztować nawet dwie czy trzy gwinee, wiedział pan o tym?

Już słyszę, jak pan mówi: „Wszystko świetnie. - Otworzyłem usta, lecz zaraz zamknąłem je z rezygnacją. - Jesteśmy cholernie wdzięczni i tak dalej, ale jak się potem ich pozbyć,

---

42 „Peg's Paper” - romansowy komiks dla kobiet.



gdy już stracimy dla nich zainteresowanie i mamy na oku nową sztukę? Może dostaniemy kilka wskazówek w tym temacie, he?”. „A tu mnie macie”, odpowiem - grzmiał dalej - bo kobieta wzgardzona jest toksyczna i stanowi poważane zagrożenie dla środowiska, jak to się obecnie mówi. Nie ma stałych zasad. Czasami możesz, by się tak wyrazić, poddać ją recyklingowi i przekazać mniej uzdolnionemu przyjacielowi, ale moim zdaniem najlepiej być szczerym i zachować się po męsku: wytłumaczyć jej delikatnie, że była tylko zabawką dla zabicia czasu i teraz zostanie wyrzucona jak brudna rękawiczka. Niektóre odpowiedzą kąśliwie, że „jest jeszcze mnóstwo czystych”, ale większość się wścieknie, że twoja miłość do nich znikła jak szczur w rynnie, i sama pospieszy bez zwłoki do kosza na brudne rękawiczki.

Zarechotał niskim głosem, zakrztusił się i zaczął niebezpiecznie kaszleć. Kiedy odzyskał oddech, podziękowałem mu za wykład i przypomniałem, że nie poruszyliśmy jeszcze tematu, który był powodem mojej wizyty.

- Jak to? - prychnął. - Dostarczyłem panu materiału na tuzin artykułów.

- Owszem, w rzeczy samej, ale nie jestem dziennikarzem, wie pan, choć mogę nim się stać, gdy przyjdą ciężkie czasy.

- To nie pan jest tym młodym facetem z „Gazette”? - Popatrzył na mnie z wielką podejrzliwością.

- Wielkie nieba, nie! - wykrzyknął, pierwszy raz tego dnia naprawdę zgorszony. - Co za okropna...! Nigdy mnie tak nie...! Więc kim pan jest, do diabła, i jak się pan tu dostał?

Po chwili wszystko sobie wyjaśniliśmy i wkrótce wydebiłem od niego niechętną zgodę na udostępnienie mi odrażającego mszału.

Gdy wychodziłem z klubu, zauważyłem uwalanego atramentem nieszczęśnika, który trzęsąc się od alkoholu, płaszczyl się przed portierem. Życzyłem mu udanego wywiadu.

Hrabia mieszkał kilka kroków od klubu, w jednym z tych masywnych budynków w Belgravii, których fronty przypomi-

nają stary Euston Station. Służącymi w takich domach są wciąż Anglicy (gdzie oni ich znajdują?), a stopień przed progiem jest tak pomyślany, żeby kamerdyner, który otwiera drzwi, onieśmielająco patrzył na ciebie z góry. Ten, który spojrział tak na mnie, odpowiadając na dzwonek, był szczupłym, wysokim przedstawicielem gatunku; na pewno jako kamerdyner osesek zmiatał z talerza całą owsiankę. Miał uprzejmy, choć protekcyjnalny sposób bycia, ale jego spojrzenie mówiło, że dobrze zna tych wszystkich, którzy chcą sobie poczytać w bibliotece jego pana. Z wprawą uzdolnionego rzemieślnika pozabawił mnie płaszcza, kapelusza i parasola, a następnie zaprowadził długą galerią posągów do biblioteki. Rzeźby były zaskakująco dobre i tak sugestywne, że rzadko widuje się podobne poza rzadkim suplementem ze zbiorami Museo Borbonico. Nie mogłem się powstrzymać i przystanąłem przed niezwykle dosłowną *Ledą z łabędziem*. Wreszcie zrozumiałem, jak łabędź dokonał tej sztuczki. Nie dalibyście wiary!

Na końcu galerii znajdował się jakby przedśionek, oświetlony jedynie ukrytym snopem światła skierowanym na sylwetkę Pana - w postaci drzewa z jedną gałęzią - która, gdy ją mijaliśmy, nagle w niezwykle figlarny sposób stała się fontanną z wodą do picia. Kamerdyner przetransportował mnie do biblioteki i wskazawszy biurko bibliotekarza, zostawił samemu sobie - czy żebym bawił się sam ze sobą, jak pewnie pomyślał. Przeszedłem alejką między regałami zastawionymi zadziwiająco kolekcją bezcennych, bogato zdobionych śmieci. Nerciat<sup>43</sup> scał tam ramię w ramię z D.H. Lawrence'em, dzieła zebrane markiza de Sade (wydanie z szerokimi marginesami i ilustrowane przez Austina Osmana Spare'a<sup>44</sup>) towarzyszyły inkunabułowi *Hermes Trismegistus*, a dziesięć różnych edycji *Historii O* było w zażyłej komitywie z *De la démonomanie des sorciers* Bodina.

Bibliotekarzem hrabiego była ładna, drobna dziewczyna z

---

43 André-Robert Andréa de Nerciat (1739-1800) - francuski powieściopisarz, najlepiej znany z dzieła *Le Diable au corps* (Opętanie).

44 Austin Osman Spare (1886-1956) - angielski teoretyk magii, malarz, okultysta.

podkrążonymi oczami. Wyglądało na to, że nie ma zbyt dużo czasu na czytanie.

- *Niedoświadczone panienki z Paryża?* - zapytała.

Zastanowiłem się.

- Nie, raczej *Msza świętego Sekariusza*.

- A tak. Odłożyłam ją dla pana. Jest złożona ładną, prostą siedemnastowieczną kursywą bez kontrakcji, więc nie powinna stwarzać trudności w czytaniu. Wyjęłam także zwykłą mszę łacińską, pozwoli panu oszczędzić dużo czasu, będzie pan musiał tylko przepisać analogiczne fragmenty.

- Jest pani bardzo miła, dziękuję.

- Nie ma za co. Należy się pięćdziesiąt funtów.

- Pięćdziesiąt funtów? Ależ to niesłychane między kolegami uczonymi. Przecież zwykła uprzejmość nakazuje...

- Pan hrabia nie jest uczonym, a zwykła uprzejmość leży poza sferą jego zainteresowań. Właśnie poinstruował mnie przez telefon, że opłata wynosi pięćdziesiąt funtów, i powiedział, że dał panu... jak się wyraził, „cynk na wyścigi konne”... wart znacznie więcej.

Uświadomiłem sobie, że George i Sam partycypują w kosztach, więc sięgnąłem do kiesy, choć z krzywą miną. Dziewczyna nie chciała przyjąć karty Diner's Club ani czeku, ale wysłała lokaja za róg, do Carlos Place, gdzie rezydowali właściciele mojego zadłużonego konta, siedzący po tyłki w hiszpańskich dolarach. Po załatwieniu formalności spędziłem długą, męczącą godzinę czy dwie, przepisując odpowiednie fragmenty mszy. Ciszę przerywał jedynie wiercący się i rżący mężczyzna, który przyszedł poczytać *Niedoświadczone panienki z Paryża* - był to starszy pan, który powinien dumać o wznioślejszych sprawach.

„Ohyda!” - pomyślałem.

Potem się wykapałem, wypilem kilka drinków, załatwiłem sprawy we własnym klubie - świątyni światła w porównaniu z piekielną norą Dunromina - i poleciałem z powrotem na Jersey.

Jock przyjechał po mnie na lotnisko „wielkim słojem dżemu”, jak nazywa rollsa. Nie miał dobrych wiadomości. Johanna

wprawdzie nie została zgwałcona, ale spotkało to żonę zaprzyjaźnionego lekarza, który mieszkał milę od nas. Jej mąż był w tym czasie poza domem, wezwany fałszywym telefonem do wypadku drogowego. Gwałciciel wykreślił żarówkę z latarni nad gankiem i zadzwonił do drzwi. Reszta przebiegła tak jak w poprzednich przypadkach.

- I od nowego ogrodnika, tego dziada, się dowiedziałem, co znaczy ten miecz - oznajmił Jock.

- Ja też - odpowiedziałem. - Czy on w ogóle łączy to z Wielkanocą?

- No. Wciąż powtarzał, że to z powodu tych Paki- stańców, ale to głupoty, bo na wyspie nie ma żadnych Pakistańców oprócz tych sklepikarzy z Saint Helier, którzy sprzedają bezcłowe zegarki.

- Jock, po francusku Wielkanoc to *Pâques*. W bezzębnych ustach starego mieszkańca Jersey może to rzeczywiście brzmieć jak Pakistańczyk.

- Skoro pan tak mówi.

- Owszem. A jak się ma pani Violet?

- Nie za dobrze. Słyszałem, że się jej pogorszyło i że dziś rano zabrali ją do kraju. Pan Davenant dzwonił, żeby spytać, kiedy pan wraca; wygląda na to, że jest w rozsypce.

- Ojej, myślisz, że będzie w domu dziś wieczorem?

- Nie, dzwonił z Anglii. Wraca jutro rano i chce przyjść na lunch.

- Dobrze - odparłem. - Niech przyjdzie. A teraz najważniejsze: jest coś na kolację?

- No, mamy cynaderki w sosie winno-musztardowym, na pieczonym chlebie, z czosnkowymi ziemniakami saute.

- Cudownie! - zawołałem. - Rozumiem, że się do mnie przyłączysz, Jock?

- Jasna sprawa, panie Charlie!

Jakież to węże zrzuciły szatę,  
Jakiej obscenicznych splotów gęstwiny  
Mieszkańce miękkie i esowate  
Pieściły ciało Faustyńny?

*Faustyna*

W powietrzu już tak wyraźnie było czuć wiosnę, że następnego dnia wreszcie obudziłem się z dobrym samopoczuciem i potrzebą udania się na długi spacer po wiejskiej okolicy. Pragnąc podzielić się tym nastrojem, wkroczyłem do pokoju Johannya i zamaszystym gestem odsłoniłem okna.

- Jak możesz leżeć w łóżku, gdy na dworze świeci słońce i wszyscy udają się na łono natury?

Nie bardzo zrozumiałem, co wymamrotała w odpowiedzi, ale chyba nie było to „dzień dobry”.

Zszedłem więc na parter i wmaszerowawszy do kuchni, wprowadziłem zamęt w gospodarstwie domowym, żądając porządnego śniadania zamiast, jak zazwyczaj, alka-seltzer i deksedryny. Wszystko bardzo mi smakowało: owsianka, wędzony śledź, jajka na bekonie, grzanka z marmoladą, tyle że ostatni kęs bekonu zmienił się w moich ustach w popiół, kiedy Jock rzucił obok mojego talerza pocztę. Stos wieńczyły bowiem te okropne płowożółte koperty z urzędu skarbowego. Czytając ich zawartość, aż się wzdrygnąłem. Inspektor podatkowy Jej Królewskiej Mości donosił z udawanym zdziwieniem, że ze złożonego przeze mnie zeznania za poprzedni rok wynika, iż moje wydatki przekroczyły zarobki; z czego więc żyję? - pytał z niepokojem. W krótkich słowach dawał do zrozumienia, że się o mnie martwi. Czy aby racjonalnie się odżywiam?

Wypisałem mu czek na śmieszłą kwotę w wysokości stu

jedenastu funtów i dziewięćdziesięciu dziewięciu pensów, która miała zwieść komputer na miesiąc albo dwa, po czym przez następne, jakże przyjemne dziesięć minut pracowicie wymazywałem nazwisko i adres na liście i wypisywałem nowe, przekierowując pismo do mojej nowej przyjaciółki, wykładowczynie Scone College. Należy dzielić się w życiu dobrem, zawsze tak mówię. Pójdę tą drogą niejedną raz, rozumiecie.

George przyjechał przed Samem i opowiedział mi o ostatnim wyczynie gwałciiciela. Rano zadzwonił do męża ofiary, bo byli przyjaciółmi, i potwierdził, że i tym razem zdarzeniu towarzyszyły wszystkie te ohydne elementy magii. Wciąż jednak nie uzyskano rysopisu sprawcy; żona lekarza, dzielna babka, próbowała ściągnąć napastnikowi maskę z twarzy, gdy był zajęty swoją robotą, a wtedy on uderzył ją bokiem zaciśniętej dłoni w skroń - był to zaskakująco lekki cios i moim zdaniem wymagający pewnej wprawy. Biedaczka mogła jedynie powiedzieć, że facet był silny, potężnie zbudowany i nie taki stary

- Wygląda na to, że nie przeżyła zbyt wielkiego wstrząsu - ciągnął George. - Była pielęgniarką w wojsku, rozumiesz. Te babki mało co szokuje. Chyba jest przede wszystkim wściekła.

- A jak się ma Sonia?

- Cóż, wciąż trochę pozuje, kiedy sobie przypomni o swoim przeżyciu, ale generalnie powiedziałbym, że doszła do siebie. Inaczej niż biedna Vi, która jest bardzo wytracona z równowagi. A przy okazji, uważaj, co mówisz przy Samie, on strasznie to przeżywa. Pała żądzą zemsty.

Jak na zawołanie wszedł Sam; bledszy niż zwykle, bardziej potargany, z ponurą miną. Jeszcze zanim usiadł, wypił połowę drinka, którego mu podałem.

- I jak? - warknął, kiedy już usiadł.

- Nijak, Sam, nijak, nie jest dobrze i wołałbym, żebyśmy najpierw się posilili, a dopiero potem przystąpili do narady. Nie sądzisz, że tak będzie lepiej?

Tylko na mnie popatrzył, a już wiedziałem, że nie zgadza się ze mną zupełnie, więc spróbowałem innej taktyki.

- Skoro chcesz od razu przejść do rzeczy - zacząłem - to

powiedz, co z Violet. Na przykład gdzie jest?

Jednym haustem dopił drinka. Był to całkiem mocny drink jak na porę lunchu. Zrobiłem mu następnego, pozwalając sobie tym razem nalać więcej wody sodowej.

- W pewnym przekłętym miejscu w pobliżu Virginia Water - odparł w końcu. - Nie w głównym zakładzie, ale w jednym z okolicznych domów opieki, które specjalizują się w tak zwanych załamaniach nerwowych. To okropne wiktoriańskie gmazyszko w stylu lombardzkiego neogotyku; przypomina ratusz w Manchesterze, ale otoczony rododendronami i araukarią. Po korytarzach chodzą różowiułtcy, korpulentni lekarze, a za nimi jak ogon komety ciągną się tabuny pełnych uwielbienia sióstr przełożonych i pielęgniarek oraz babć klozetowych, jak chłopcy idący z szuflą i kubłem za koniem, by zebrać nawóz pod różę tatusia. Wredna recepcjonistka poinformowała mnie delikatnie, że dzienne utrzymanie rezydenta kosztuje sześćdziesiąt funtów, i patrzyła, czy się skrzywię. „Płatne dwa tygodnie z góry” - dodała. Wypisałem jej czek na osiemset czterdzieści funtów, na co ona oznajmiła, że „pani doktor” pewnie zajrzy do Violet już wieczorem. Odparłem, że za osiemset czterdzieści funtów „pani doktor” mogłaby, do cholery, zajrzeć do niej od razu. Wtedy spojrzała na mnie tak, jakbym pierdnął w kościele. Zamieniliśmy jeszcze kilka słów i postawiłem na swoim, chociaż musiałem przeprosić, że powiedziałem „do cholery”.

- Współczuję krewetce, która spróbuje zmierzyć się z tobą intelektualnie - zacytowałem <sup>45</sup>.

Spojrzenie, jakie mi rzucił, mówiło, że w tych okolicznościach nie był to stosowny żart. (Nie mogę się przed tym powstrzymać, rozumiecie; jakiś złośliwy przyjaciel pokazał mi kiedyś hasło w encyklopedii medycznej: „Moria - chorobliwa skłonność wtrącania rzekomo dowcipnych uwag. Czasami występuje u jednostek z przerostem przedniej części mózgu”).

- „Pani doktor”, jak się okazało - kontynuował tymczasem Sam - była wiedeńską Żydówką.

---

<sup>45</sup> Odwołanie do opowiadania P.G. Wodehouse'a. W oryginale „ryba” zamiast „krewetka”.

- Tak jak Johanna - przypomniałem mu wesoło, zanim zabrnęłaby za daleko.

- Wcale nie jak Johanna. Była typem jak z Baudelaire'a, dosłownie *affreuse juive*<sup>46</sup>, wyglądała jak wrogo nastawiony wór ziemniaków. Ale zachowywała się w sposób zaskakująco cywilizowany i wyraźnie należała do czołowych specjalistów w swojej dziedzinie. Ze złożonymi rękami wysłuchiwała relacji recepcjonistki i ani razu na nią nie spojrzała, a tej od razu do oczu napłynęły łzy. Niesamowita stara suka ta lekarka. Miała w sobie tę pogodną bezduszną, którą spotyka się u najlepszych lekarzy; nie mam zaufania do tych poważnych, troskliwych, znam zbyt wielu studentów medycyny w Oksfordzie. Potem zabrała mnie do swojego gabinetu i zapytała o rodzinę Violet, więc opowiedziałem jej o Łucji z Lammermooru.

Chrząknąłem taktownie. „Łucją z Lammermooru” Sam nazywa swoją teściową, mniej więcej tak samo *affreuse* jak wszystkie teściowe. Ubiera się ona niczym nastolatka, nosi suto marszczone spódniczki i krótkie skarpetki, ma długie tlenione włosy, a twarz jak warsztat farbiarski, w którym doszło do nieszczęśliwego wypadku. Raz po raz ląduje w domach opieki dla nerwowo chorych, ale czy jako bogata kobieta taki ma kaprys, czy jest pijaczką, która od czasu do czasu idzie na odwyk, czy naprawdę ma bzika - tego nikt z jej rodziny dotąd nie ustalił, a może nie chce ustalić. Ostatnio, gdy o niej słyszałem, poleciała do Ameryki Północnej z osiemnastoletnim uzdrowicielem, który dorabiał sobie jako windziarz.

- Podąłem doktor Wankel... tak, Gołdzie Wankel... nazwy dwóch domów dla wariatów, w których ostatnio przebywała moja teściowa, a ona od razu do nich zadzwoniła... powiedziała, że to może być ważne... ale w żadnym z nich nie mogli znaleźć jej karty czy jak to się nazywa. Dziwne, nie sądzicie?

- Tylko trochę.

- Tak? A, rozumiem. Cóż, potem zaczęła mi zadawać najdziwniejsze pytania na temat Violet... czy przejawia skłonność do niewłaściwej interpretacji zdarzeń, przekręca powiedzenia... wiecie, że wszyscy się śmieje- my, gdy mówi

---

46 *Affreuse juive* (franc.) - straszna Żydówka.



takie rzeczy jak „na pochyłe drzewo i Salomon nie należy” albo „lepszy kogut w garści niż kura znosząca na dachu złote jajka”... więc musiałem wielokrotnie odpowiedzieć twierdząco, co mnie naprawdę zaniepokoiło.

Zaczął mówić trochę histerycznie, a ja z przerażeniem patrzyłem, jak mój przyjaciel się rozkleja. Zrobiłem mu monstrualnego drinka i próbowałem zmienić temat. Wziął ode mnie szklankę i trochę się pozbierał, ale nie dał się odwieść od tematu.

- Następnym etapem był dość przykry - podjął już spokojniej. - Poszliśmy do pokoju, w którym umieszczono Violet... całkiem ładnego... i doktor Wankel podała jej jakieś barbiturany w zastrzyku. Dzięki nim Violet przestała patrzeć na nas tym okropnym wzrokiem, ale nadal się nie odzywała. La Wankel podniosła jej rękę... to znaczy Violet... i ta ręka już tak została w powietrzu. Potem ją zgięła... i to samo. Powiedziała, że to się nazywa *flexi-bilitas cerea* i stanowi typowy objaw czegoś tam. Później opuściła jej rękę, poklepała ją lekko i przy każdym klepięciu dłoń trochę się podnosiła... jak lampa Anglepoise. To z kolei nazywa się *mitgehen*. Okropny widok. Potem musiałem wyjść, bo Wankel chciała Violet dokładnie zbadać, i w nieskończoność czekałem pod drzwiami. W końcu byłem zbyt rozbity, żeby zrozumieć diagnozę, zorientowałem się tylko, że nie wiadomo, czy trans, w który wpadła Violet, to stan depresyjny czy katatoniczny, a różnica jest zasadnicza. W każdym razie istnieje ryzyko, że Violet nagle wstanie i wyskoczy przez okno... katatonikom czasami się wydaje, że są aniołami... wymaga więc całodobowej opieki pielęgniarskiej, a to oznacza dla mnie kolejne horrendalne wydatki. Wówczas Wankel uprzejmie zaoferowała mi łóżko... za darmo!... i pigułkę, tak że spałem jak kamień aż do rana, kiedy przyszła pora wstać na samolot. I to wszystko.

Przyrządziłem mu następnego drinka - to było łatwiejsze, niż gdybym miał coś powiedzieć.

Jak zwykle w samą porę Jock oznajmił, że lunch został podany, więc zasiedliśmy do mewich jaj, terriny z zająką i pierogów curry na zimno. Niech ktokolwiek spróbuje

zamartwiać się prywatnymi problemami, smakując jeden z tych Jockowych pierogów, które aż rozplývają się w ustach; są wybitne, naprawdę. Piliśmy butelkowane piwo, ponieważ nie pochwalam wina w porze lunchu; albo powoduje senność, albo budzi w człowieku zwierzę - tak czy owak popołudnie zmarnowane. Sam, pokrzepiony, był już jakby mniej nerwowy. George wydawał się senny i mało się udzielał.

- A teraz - odezwał się Sam - opowiedz nam, Charlie, o swojej wyprawie do Oksfordu. Co mówi twój *magus emeritus*?

Opowiedziałem im, starając się stłumić ton skruchy w głosie i robiąc wszystko, żeby przedstawić bluźnierczy pomysł czarnej mszy jako jedyne racjonalne rozwiązanie problemu. To, co w Oksfordzie brzmiało całkiem sensownie, tu, na Jersey, przy lunchu, wydawało się jakąś absurdalną głupotą, a nieufne spojrzenia współbiedników nie pomagały mi stać się bardziej przekonującym. Zakończyłem więc relację kulawo.

- Jeśli macie lepszą koncepcję - zakończyłem relację kulawo - to chętnie posłucham.

Zapadła długa, ciężka cisza. George przeciągnął palcem wskazującym po każdej brwi, pomacał opuszki uszu i dołek w brodzie, po czym zaczął przypominać sobie zarys swojego perkatego nosa.

Sam natomiast siedział bez ruchu, jakby nagle urzeczony plamą po curry na obrusie.

Wszedł Jock i posprzątał ze stołu, podczas gdy George i Sam trwali w milczeniu. Wolałbym pójść w diabły, zamiast ich do czegokolwiek namawiać; choć w gruncie rzeczy już poszedłem w diabły i tak zapewne uznałoby wielu mądrych ludzi.

- Dobrze - powiedział w końcu Sam. - Jestem gotów spróbować. Jeśli ten drań jest tak szalony, jak się zdaje, to chyba najlepiej pokonać go jego własną bronią.

George powoli skinął głową.

- Pewnie tylko to do niego dotrze - skostatował twardym tonem urzędnika z prowincji. - To niesmaczne.

Prawdopodobnie daremne. I z całą pewnością kosztowne. Ale, jak mówi Charlie, co innego możemy zrobić? Jeśli się nad tym zastanowić, to byłem już świadkiem, że jeszcze dziwniejsze

rzeczy odnosiły skutek. Tak, w Indiach i innych podobnych miejscach.

-Ale zdajecie sobie sprawę, panowie - odezwałem się - że będziecie musieli wziąć w tym udział? Uczestnictwo w mszy wymaga popelnienia kilku odrażających czynów i suspendowany ksiądz, by się tak wyrazić, będzie miał pełne ręce roboty.

- Wiem - odparł Sam.

- Ja chyba też - dołączył się George. - Ale niech mnie kule biją, jeśli nauczę się wspaniałego jakiegoś czarnego *Pater noster* czy innych bzdur.

- Czarnego *Pater noster* - zapytałem. - Czyżbyś studiował ten temat, George?

- Wszyscy kiedyś czytaliśmy naszego Dennisa Wheatleya<sup>47</sup>, Charlie - zauważył Sam.

- Mów za siebie! - odciąłem się ostro.

- Jeśli dobrze rozumiem - odezwał się George - to przedstawienie ma zniechęcić gościa i dać mu do zrozumienia, że tak samo jak on mamy do czynienia z demonami i innymi takimi, więc lepiej, żeby dał sobie spokój, czy tak?

- Mniej więcej. Podczas mszy bowiem padnie dość ciężkie przekleństwo, które ma sprawić, że nasz wróg szczególnie w dość paskudny sposób, więc jeśli ten facet naprawdę wierzy w to, co robi, i zna ten konkretny rytuał... a Dryden jest pewny, że tak... to powinien wystraszyć się nie na żarty i zrezygnować ze swoich zamiarów.

- Zachodnioafrykańscy szamani wciąż to praktykują - odrzekł George. - Są tysiące udokumentowanych przypadków. Jeśli ofiara rzeczywiście wierzy, że umrze takiego to a takiego dnia, wtedy kładzie się i umiera.

- Czy chcesz powiedzieć - zapytał powoli Sam - że naprawdę możemy w ten sposób ściągnąć śmierć na tego człowieka?

- Cóż, tak, obawiam się, że to możliwe.

- Wyśmienicie. To kiedy zaczynamy?

- Jedną chwileczkę - włączył się George. - Właśnie przyszło mi

---

<sup>47</sup> Dennis Wheatley (1897-1977) - angielski pisarz, autor thrillerów i powieści okultystycznych.

do głowy... skąd ten facet będzie wiedział, że odprawiamy taką mszę, czarną mszę, przeciwko komu jest skierowana i tak dalej?

- Cieszę się, że o to spytałeś - oświadczyłem. - Jest tylko jeden sposób, żeby do tego doprowadzić, i będzie nas to kosztowało trochę wstydu, ale warto spróbować.

Przedstawiłem im plan. Po dziesięciu minutach hałaśliwej i zajadłej dyskusji ostatecznie go zaakceptowali, choć nasza przyjaźń nie wyszła z tego sporu bez szwanku.

W tym punkcie wkroczył Jock, przynosząc na tacy telegram; uwielbia się popisywać przed, jak mówi, towarzystwem. Podejrzewam, że tak naprawdę uwielbia być służącym z prawdziwego zdarzenia; może kupię mu na Boże Narodzenie pasiastą kamizelkę.

Telegram przysłał Dryden. Czytając go, na chwilę osłupiałem.

DEZABILPRZYJEŹDŹAJUTROFALAISERZEPAPASTYNIEM-  
BĘDNE.

Jeśli Dryden ma jakąś wadę, to tę, że uważa się za mistrza telegraficznego skrótu; co bardzo się daje we znaki jego przyjaciółom. Był taki czas, że traktował to jako zabawę, ale ostatnio, obawiam się, jego nawyk przeszedł w uzależnienie, jak mówią specjaliści od alkoholizmu. „Dezabil” najwyraźniej oznaczał suspendowanego księdza, a „Falaise” - prom przewożący pocztę między Weymouth a Jersey; „pasta” stanowiła ewidentnie dokonaną przez urzędnika pocztowego poprawkę słowa „pastis”, a „rzepa” pozostawała równie zagadkowa jak wcześniej na stacji w Oksfordzie.

- Jock - powiedziałem - jest w domu pastis?

- Mamy butelkę pernodu, to to samo, co nie?

- Proszę, zamów dziś pół skrzynki pastis. A jak stoimy z rzepą?

- Śmieszne, że pan pyta, panie Charlie. Ten stary dziad z ogrodu właśnie zasadził z rana cały zagon. I zakopał kolejną ropuchę. Ale do jedzenia rzepy będą się nadawały dopiero za parę miesięcy.

- W sklepie powinny być te małe, francuskie. Spróbuj na

krytym targowisku w Saint Helier albo na French Lane. A jeśli nie, może da się kupić konserwowe, mrożone albo suszone... zdaję się na ciebie, ty znasz ciemne uliczki świata handlu detalicznego... *nourri dans le sérail, tu en connais les détours*<sup>48</sup>... ale zdobądź kilka sztuk na jutro wieczór, nawet gdybyś miał zapłacić gotówką.

- Dobra. Ile tego ma być?

- A jak się je sprzedaje, nie wiesz? Na wagę, na jardy czy jak?

- Chyba na funty.

- Jak sądzisz, czy parę funtów wystarczy, żeby załatwić na amen świadomego swoich czynów dorosłego?

- Jasne.

- Dobrze więc.

- Się robi, panie Charlie.

- Choć to fascynujące obserwować cię w roli kwatermistrza - odezwał się niecierpliwie Sam - jesteś pewien, że nie ma ważniejszych tematów do omówienia?

Wszystko wytłumaczyłem, ale ani on, ani George nie dali się zbyt udobruchać. Pod wpływem takich określeń jak „strąckowa mistyfikacja” (Sam) czy „okropni Cyganie nasiąkli absyntem” (George) obaj przypomnieli sobie o swoich wcześniejszych wątpliwościach wobec planowanego przedsięwzięcia. Uspokoilem ich trochę, ale wciąż byli pełni rezerwy. Co więcej, mieli własny pomysł, który wyciągnęli jak królika z kapelusza, i uparli się, żeby go włączyć do planu z mszą sataniczną.

- Bo rozumiecie - dowodził Sam - myślimy o ofiarach jako o czymś niezwiązanym bezpośrednio z magią... w razie gdyby ta ostatnia służyła tylko do odwrócenia uwagi od prawdziwego motywu gwałciela... i choć trzy osoby to za mała liczba, żeby generalizować, można na jej podstawie wyciągnąć kilka wstępnych wniosków. Pierwszy jest taki, że wszystkie trzy rodziny, które ucierpiały, pochodzą z Anglii. To mogłoby świadczyć o ogólnej nienawiści do Anglików.

- Albo o tym, że gwałciiciel jest Anglikiem, któremu nie

---

<sup>48</sup> *Nourri dans le sérail, tu en connais les détours* (łac.) - „Wychowany w seraju, znasz wszystkie sztuczki”. Odwołanie do *Bajazeta* Racine a.

podobają się mieszkanki Jersey.

- Anglikiem? - prychnął George. - Z tym absurdalnym sztafażem? Bzdury

- Myślałem, że na chwilę odsunęliśmy magiczny aspekt sprawy.

- Owszem - odezwał się Sam - skoro mamy myśleć logicznie, musimy wziąć pod uwagę twój punkt widzenia. Pójdźmy jednak dalej. George i ja jesteśmy wprawdzie dość dobrze sytuowani... choć nie należymy do klasy napływowych milionerów, którzy budzą taką niechęć tubylców... ale już mąż ostatniej ofiary, lekarz, może być uznany za zamożnego, co zawdzięcza kwitnącej praktyce lekarskiej. Do tego mieszka na Jersey od dwudziestu lat i cieszy się powszechną sympatią. Wszyscy trzej zaliczamy się do tak zwanej klasy średniej, więc motywem gwałciciela mogłaby być nienawiść klasowa i/albo antyangielska. Zauważcie, że mówię „antyangielska”, a nie „antybrytyjska”, ponieważ jersey jest zapewne najlojalniejszym apanażem Korony. No i należy pamiętać o wieku ofiar, wszystkie są po trzydziestce. Może to wynikać z faktu, że mamy akurat trzydziestokilkuletnie żony, albo wskazywać na to, że gwałciciel akurat lubi takie kobiety. Albo też sugerować - aż się dławiał, mówiąc to, bo najwyraźniej wolałby przystąpić do czynu niż snuć logiczne wywody - że po prostu całkiem normalnie podobają mu się atrakcyjne kobiety w kwiecie wieku; bo gdyby napadał na dziewczynki czy starsze panie, to mielibyśmy pewność, że jest zbrodnicem, czyż nie? I ostatnia sprawa, te trzy ofiary mieszkają niedaleko siebie, co mogłoby znaczyć, że facet porusza się na piechotę... nie sądzicie?... albo boi się używać samochodu... w przeciwieństwie do Bestii z Jersey, oczywiście, który podobno dopadał swoje... eee... ofiary na całej wyspie.

- A może to jednak ktoś obcy - wtrąciłem łagodnie - na przykład Anglik, który nie zna tutejszych skrótów i bocznych uliczek.

- Owszem - odparł Sam cierpliwie - to także niewykluczone.

George wydał odgłos przypominający „phi!”, osiągalny tylko dla tych, którzy służyli kiedyś w Indiach.

- Dlatego George i ja pod twoją nieobecność sporządziliśmy listę atrakcyjnych Angielek po trzydziestce, żon zamożnych angielskich rentierów czy też obywateli czynnych zawodowo, mieszkających w promieniu mili. Według nas całkowita liczba potencjalnych celów ataku ogranicza się do zaledwie siedemnastu, więc we czterech... licząc Jocka... moglibyśmy zorganizować zasadzki, co dałoby nam niemal dwudziestopięcioprocentową szansę, że co noc będziemy we właściwym miejscu.

- Dobrze, ale jak przekonacie gwałciciela, który być może obserwuje dom, że ma pole do działania?

- Całkiem łatwo - odrzekł George, wojskowy, przejmujący pałeczkę od sztabowców - jeśli będziemy współpracować z... eee... domownikami. - Chyba ugryzł się w język, by nie powiedzieć „ludnością cywilną”. - Każdy z nas wejdzie do wybranego domu w porze, kiedy większość ludzi pracuje, powiedzmy, tuż przed południem... wiele miejscowych kobiet spędza połowę popołudnia w pubach, więc popołudni lepiej unikać. Wieczorem mąż ostentacyjnie wyjeżdża samochodem, mówiąc głośno, że wróci dobrze po północy, a żona żegna go w progu. Wówczas ten z nas, który pełni straż, chowa się w środku albo przyczaja w dobrej kryjówce na zewnątrz, z widokiem na wszystkie wejścia, o ile taka istnieje. Żona przez jakiś czas kręci się na dole, a potem idzie na górę, włącza lampę w sypialni, może nawet pokazuje się na chwilę w oknie, po czym gasi światło, zostawiając tylko zapaloną lampkę przy łóżku, i ukradkiem przechodzi do innego pokoju, w którym zamyka się na lducz. A my czekamy. Uzbrojeni.

- Brzmi świetnie - zauważyłem ostrożnie. - Świetnie. Z wyjątkiem kilku drobiazgów, jeśli zechcecie mnie wysłuchać.

Sam westchnął ze znużeniem, a George mruknął niechętnie, wyrażając zgodę.

- Po kolei - zacząłem. - Po pierwsze, zakładając zgodnie z moją na wpół żartobliwą teorią, że facet jest Anglikiem, skąd możemy mieć pewność, że nie pokazujemy mu kart, które mamy w rękę, i nie ułatwiamy sprawy?

- Po prostu nie powiemy żadnemu z mieszkańców strzeżonego

przez nas domu, gdzie jeszcze się zaczailiśmy.

- Dobrze - odparłem - ale w takim razie lepiej w ogóle nie mówić, które domy mamy pod obserwacją.

- W porządku, to brzmi sensownie, jeśli się nad tym zastanowić.

- Po drugie - ciągnąłem bezlitośnie - co z naszymi żonami, gdy my będziemy na czatach? Johanna doskonale obchodzi się z bronią, mimo to, gdy Jocka nie będzie, może okazać się bezradna, a przecież stanowi naturalny cel ataku. Soni pewno nie ma już na liście gwałciciela, ale po tych wszystkich okropnych przeżyciach chyba wolałaby nie zostawać sama.

- To bardzo proste - niecierpliwie odezwał się George. - Sonia urządzi brydża, zaprosi Johannę oraz dwóch mężczyzn i żadne z nich do naszego powrotu nie wyjdzie z domu.

Przerażony wytrzeszczyłem oczy, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć; mogłem jedynie spojrzeć z poażowaniem na Sama.

- Charlie zapewne pomyślał przede wszystkim o tym - zauważył Sam - że Johanna należy do międzynarodowej ligi, jeśli chodzi o brydża... partnerowała Ornatowi Sharifowi... podczas gdy Sonia, choć gra z upodobaniem i pasją, nie potrafi zapamiętać, co jest atutu, a do tego, jeszcze bardziej wkurzając innych graczy z im tylko znanych powodów, z uporem nie dokłada do koloru.

- Nie dodaje do koloru.

- Może masz rację, Charlie.

George znowu uderzył w ton dowódcy, jak fircyk uderzał w zaloty.

- Posłuchaj, Mortdecai, nie chcę myśleć, że stwarzasz trudności dla zabawy, ale muszę powiedzieć, że w swoim krytycyzmie nie jesteś zbyt konstruktywny.

Skrzywiłem się lekko; poczułem się, jakbym oblał kurs na sztabowca w Camberley. Mortdecai nie dostanie upragnionych naszywek na pagony. Już zawsze będzie szła za nim opinia SZPDJ (skierowanego z powrotem do jednostki) - a nie AWDS (awansowanego do sztabu).

„O cholera!” - pomyślałem, jak wcześniej na pewno myśleli lepsi ode mnie w podobnych trudnych życiowych chwilach.



- Cóż - powiedziałem głośno - niewątpliwie można by urządzić inne przyjęcie, niekoniecznie brydżowe. Nie ma co robić z tego sprawy, nieprawdaż?

- Tak mi mów. - George był gotów dać głupkowatemu podwładnemu jeszcze jedną szansę. - Oczywiście, że są innego rodzaju przyjęcia: wistowe, kanastowe, re- mikowe, rozmaite. Takie szczegóły można ustalić... eee... kiedy indziej. - (I znowu niemal usłyszałem, jak mówi „na poziomie plutonu”. Bo do czego są jego zdaniem sierżanci?).

- Zgadza się, George - odparłem, powstrzymując impuls, by zwrócić się do niego „sir”. - Moje ostatnie obiekcje dotyczą kwestii, którą już podnosiłem. Czyli użycia broni. Nie możemy strzelać do ludzi tylko dlatego, że są gwałcicielami.

- Ja mogę - rzucił Sam.

- Ja też - oznajmił George.

- Cóż, a ja nie. Moja czterystapięćdziesiątkapiątka musi wieść żywot przykuta łańcuchem w zbrojowni klubu miłośników pistoletów, PPB i mały savage kalibru dwadzieścia osiem Johnny powinny leżeć zamknięte w szufladach szafek nocnych, gdy jesteśmy w domu, a kiedy wychodzimy - w sejfie. Mógłbym ewentualnie zaryzykować kupno pistoletu w jakimś szemranym miejscu, ale gdybym kogoś z niego zabił, to jeśli nie byłoby to w samoobronie przeciwko uzbrojonej łajzie, wyładowałbym w mamrze z dożywociem. Wy, panowie, bylibyście przypuszczalnie w nieco lepszej sytuacji, bo zostaliście pokrzywdzeni przez tego faceta i moglibyście liczyć na łaskawość ławy przysięgłych, ja jednak nie miałbym szans w starciu z bystrym prawnikiem, bo ten dowiódłby, że zastrzeliłem gościa, który zgwałcił żonę znajomego. Nie mam racji?

- Dobra - odrzekł Sam. - Więc strzelaj tak, żeby nie zabić. Podobno jesteś mistrzem strzeleckim, czyż nie? Celuj w nogi.

- Mistrzowie strzeleccy wiedzą - zauważyłem - że trafienie w nogę poruszającego się człowieka to wyłącznie kwestia przypadku. Co więcej, organizm ludzki jest przekorny i tak łatwo nie daje się załatwić. Możesz wpakować człowiekowi kulę w łeb, a on i tak odejdzie... przypadek południowoafrykań-

skiego premiera sprzed kilku lat. Możesz wystrzelać mu w lewą pierś cały magazynek, a on poleży kilka tygodni w szpitalu, uskarżając się tylko na ząbkowane, ostre brzegi basenu. Ale jeśli trafisz pociskiem małego kalibru w miękką część jego nogi i uszkodzisz arterię udową, wykrwawi się na śmierć jeszcze przed przyjazdem karetki pogotowia. Zabójstwo ujdzie ci na sucho, a gość będzie martwy.

Zapadła długa, ciężka cisza. Wreszcie odezwał się Sam:

- Zlej się w swój kilt, Mortdecai.

- Chętnie - odparłem sztywno - ale do tego celu będę potrzebował trochę prywatności. Musicie już iść? Nie zostaniecie dłużej?

- Och, panowie - włączył się George - dajcie spokój. Nie kłóćmy się z powodu detali. To całkiem proste i to, co mówi Charlie, brzmi sensownie. Nie ma powodu ryzykować dla przyjaciół dożywocia.

Mówił tonem sugerującym, że on sam tak by postąpił, ale jest przecież rodowitym Anglikiem, w przeciwieństwie do pewnego Mortdecaia, którego mógłby wskazać.

- To całkiem proste - powtórzył. - My pójdziemy uzbrojeni, a Charlie weźmie pistolet z pustym magazynkiem. I jakąś łagę albo coś w tym rodzaju. Zgoda?

Sam mruknął, jak ludzie, którzy nie mogą powiedzieć „nie”, ale są zbyt urażeni, żeby powiedzieć „tak”.

Ja jednak odparłem:

- Cóż, obawiam się, że jest jeszcze jedna sprawa.

- O słodki Jezu na krzyżu! - ryknął Sam. - Co znowu?

Tym razem nie wziąłem tego do siebie. W końcu przechodził trudny okres. A musiałem powiedzieć swoje.

- Boję się, że Jock w ogóle nie może mieć przy sobie broni. Jego luger jest nielegalny, a on sam ma kartotekę.

- ? - rzucił George.

- Jest na owsiance - wyjaśniłem.

- ?

- „Owsianka” to termin używany przez podziemne szczury - zacząłem tłumaczyć cierpliwie - i oznacza „ciężkie roboty”. Jest taki przesąd, rozumiecie, że jeśli jedząc pożywne śniadanie

ostatniego ranka odsiadki, nie zje się do końca smacznej owsianki, wróci się do paki w ciągu roku. Powie wam to każdy klawisz. Jock nie zjadł do końca kilku takich owsianek na wikcie Jej Królewskiej Mości i jeśli zostanie złapany z jakąkolwiek bronią przy sobie, nie będą się z nim cackać. A gdyby jeszcze kogoś zastrzelił, dostałby jakieś dziewięćdziesiąt dziewięć lat; licząc ewentualne umorzenie za dobre sprawowanie, niech będzie sześćdziesiąt sześć. Wyszedłby, mając sto dziesięć lat, i oczekiwałby, że przyjmę go z powrotem, choć prawie na pewno już by nie pamiętał, jak zaparzyć porządną herbatą.

- Och, przestań tyle gadać, Charlie, rozumiemy, o co ci chodzi. Jock też może wziąć jakąś łagę. W porządku?

- Chyba ma długą ołowianą rurę pokrytą miękką skórą.

- Albo długą ołowianą rurę pokrytą miękką skórą. Czy to już wszystko? Jeżeli tak, proponuję, żebyśmy zaczęli dziś wieczorem. Oto cztery komplety nazwisk i adresów. Jakies preferencje?

Szybko jak błyskawica zgłosiłem się do Brisbane House, ponieważ lady Quinn-Philpott ma najlepszą piwnicę z winem na północy wyspy, a żaden gwałciiciel przy zdrowych zmysłach nie wybrałby jej na cel ataku, bo baba dysponuje siłą dziesięciu ludzi, a jej dusza jest czysta<sup>49</sup>. Ponadto stróżuje tam doberman. Inni też dokonali wyboru, tak że Jockowi, wobec braku prawa głosu, został domek hodowcy pomidorów, zamieszkaný przez najbardziej nadającą się do zgwałcenia żonę, jaką jesteście w stanie sobie wyobrazić. Właściwie gdyby Johanna kiedykolwiek zostawiła mi trochę czasu na prywatne zainteresowania, sam miałbym ochotę na tę kobietkę. Podejrzewam, że jeśli gwałciiciel nawiedzi tej nocy jej domek, będzie musiał poprosić Jocka, żeby się przesunął.

George podzwonił tu i tam, przygotowując naszą nocną akcję. Sam jakby chciał wygrać zakład o to, jak szybko można opróżnić moją karafkę z whisky. Wytłumaczyłem Jockowi, co ma mi zapakować do pojemnika na kanapki. Johanna, kiedy się dowiedziała, że przez cały wieczór będzie grała w karty z Sonią,

---

49 Odwołanie do *Sir Galahada* Alfreda Tennysona.

dostała jednego z rzadkich u niej napadów złości. Jock wziął prysznic i dokonał, jak się zdaje, przeglądu swojego zapasu produktów London Rubber Company - zaiste wspaniałego kondominium. Wreszcie oboje wyszli i mogłem porządnie się zastanowić - na kanapie, bez butów i z zamkniętymi oczami. Obfity lunch zawsze wyzwala we mnie filozofa.

Nocne zasadzki okazały się oczywiście kompletnym niewypałem, jeśli chodzi o złapanie gwałciciela.

Ja złapałem się na wyśmienitą kolację i butelkę wyborowego chateau leoville poyperre rocznik 61.

Sam przyłapał zbłąkaną krowę rasy dzersej, która weszła w szkodę.

George złapał paskudne przeziębienie od kucania pod hortensją.

Wolę nie myśleć, co złapał Jock, ale na pewno było warto.

Kiedy przyjechałem odebrać Johannę po brydżu u George'a, nie odzywała się do nikogo, a szczególnie do mnie. Opowiedziałem jej o ciężkich przejściach George'a pod ociekającą hortensją, co skwitowała krótko:

- Szczęściarz z niego.

- Dobranoc - rzekłem, gdy rozstawaliśmy się w holu.

- Dobranoc, Clausewitz - odparła.

Jock był już w łóżku, na pewno spał jak suseł, na zdrowie, więc sam musiałem zrobić sobie kanapkę.

Kiedy ukradkiem szedłem z nią na górę, poczułem coś dziwnego do Johannę. Gdybym był dwadzieścia - no, może piętnaście - lat młodszy, pewnie uznałbym, że jestem zakochany. Może była w tym nuta żalu, że dawno temu z takim przekonaniem wyrzekłem się tego uczucia, uznając, że lepiej mi będzie bez niego. Gdy tak wahałem się na podeście schodów, trzymając w zdradzieckiej dłoni nadzartą kanapkę, poczułem absurdalny impuls, żeby pójść do pokoju żony, zobaczyć jej miodowe włosy rozsypane na poduszce i powiedzieć na przeprosiny coś ckiego, sentymentalnego. Sprawić, aby się uśmiechnęła. Bo mogła płakać, rozumiecie, nawet kobiety

czasami płaczą. Ale miałem żelazną zasadę: gdy masz ochotę potrzymać kogoś za rękę, lepiej się zamiast tego napij - tak na dłuższą metę będzie lepiej dla obu stron.

Poszedłem na kompromis: zjadłem do końca kanapkę i w oparach soku z cebuli oraz żalości nad sobą powlokłem się samotnie do łóżka: kto mógłby prosić o więcej? Borges pisze, że nie ma lepszego pocieszenia niż to, że sami jesteśmy winni swoich nieszczęść. „Tak więc - tłumaczy - wszelkie niedbalstwo jest zamierzone... każde upokorzenie jest pokutą... każda śmierć - samobójstwem”<sup>50</sup>.

Umyłem zęby ze szczególną starannością, na wypadek gdyby Johannie przyszło do głowy mnie odwiedzić i życzyć mi dobrych snów, ale oczywiście tego nie zrobiła. Z nimi tak zawsze.

---

<sup>50</sup> Jorge Luis Borges, *Deutsches Requiem*, przeł. Andrzej Sobol-Jurczykowski.

Zwyciężyłeś, błady Galilejczyku;  
świat poszarzał od Twego tchnienia;  
Z wód Lete wypiliśmy po dużym łyku  
i najedliśmy się nieistnienia.

*Hymn do Prozerpiny*

Mimo że kopałem i krzyczałem, a potem jęczałem i stroilem fochy, zostałem wyciągnięty z łóżka i wysłany na spotkanie z przybywającym z Weymouth promem pocztowym i bratem Tichborne'em, specjalistą poleconym mi przez Johna Drydena. Mówię na niego „brat”, chociaż był suspendowany, tak jak moja babcia mówiła „pani” na kucharkę za pięćdziesiąt funtów, choć zapewne zachowała ona dziewictwo. Zwracam uwagę, że było to pięćdziesiąt funtów rocznie, ze wszystkim, co oznaczało do pięciu dużych posiłków dziennie, z ale albo piwem do picia; pieniądze ze sprzedaży kości i tłuszczu, łapówki od wszelkiego rodzaju sklepikarzy i dostawców, przywilej oferowania policyjnym konstablom kanapek z padliną; prawo wyżywiania się na każdym poniżej stanowiska kamerdynera czy guwernantki; zezwolenie, żeby wpadać w szal co sześć tygodni (oczywiście z wyjątkiem gospodarstw metodystów); co najmniej jedną podkuchenną do wszelkiej brudnej roboty (kucharka za pięćdziesiąt funtów nigdy nie obierała ziemniaków) i często nawet siedem dni urlopu rocznie, jeśli mogła udowodnić, że przynajmniej jedno z jej rodziców jest umierające. W dzisiejszych czasach z pewnością domagałaby się także własnego odbiornika radiowego. Ci ludzie naprawdę byli szczęśliwsi, zanim zaczęliśmy ich psuć.

Cóż, i tak oto znalazłem się na Albert Quay, oczekując na przybycie MV „Falaise” i brata Tichborne'a. (Albert Quay,

wyobraźcie sobie! Czy wiecie, że zarówno Edward VII, jak i Jerzy VI dostali na chrzcie Albert, ale rodzina nie pozwoliła im zachować tego imienia po koronacji ze względu na księcia małżonka królowej Wiktorii, a Tajna Rada Królewska ze względu na jego pospolite brzmienie. To znaczy brzmienie tego imienia. Jedni i drudzy mieli rację, rzecz jasna. „To ostatnia i największa zdrada. Czynić zło w imię dobra” - głosi Alfred Prufrock<sup>51</sup>, jeśli się nie mylę i jeśli nie było odwrotnie.

I jeśli to w ogóle ma znaczenie).

Tak więc stałem na Albert Quay, wciągając w płuca morską bryzę, dopóki przybycia „Falaise” nie zapowiedziała woń przetrzawionego piwa, rzygowin i pracowników promu.

Wypatrzyłem go od razu, szykownego, smukłego księdza w jedwabnej sutannie. Miał złe oczy w ascetycznej twarzy z dziwnie niepasującymi do niej miękkimi, zmysłowymi ustami, z których właśnie wychodził nieprzyjazny warkot skierowany pod adresem celnika.

- Dzień dobry - powiedziałem, wyciągając do niego rękę. - Nazywam się Mortdecai.

Uśmiechnął się do mnie chytrze, odsłaniając szereg zębów, których, gdyby były czystsze, nie powstydzilby się aligator.

- I przypuszczam, że przyjaciele mówią o panu „nachalny” - odciął się, patrząc nie na mnie, tylko na grupę zalotnych chłopców, którzy na niego czekali. Powiedział coś do nich szeptem, a oni zmierzylili mnie wzrokiem.

- A może „nachlany”? - zachichotał jeden z nich.

Zlany potem ze wstydu, ruszyłem na poszukiwanie prawdziwego brata Tichborne'a, który, jak się okazało, kiedy go odnalazłem, był porządnie umyтым, aż lśniącym facecikiem o twarzy przypominającej przód volks- wagen. Siedział na ławce i ze starannie wypracowaną obojętnością kartkował najnowsze wydanie „Playgirl”. Miał na sobie szykowny ciemnozielony moherowy garnitur, na który nie powinno go być stać z pensji nauczyciela w podstawówce. Wymieniwszy na przywitanie mdłe uprzejmości, wsiedliśmy do mojego mini, gdzie, jak zauważyłem, zaczął wydzielać słaby, ale przyjemny zapach

---

51 Przekręcona parafraza słów Tomasza z *Mordu w katedrze* T.S. Eliota.

ciastka z kminkiem. Tak naprawdę była to jednak woń pastis, uchodząca dużymi, otwartymi porami jego ciała. Kiedy ruszyliśmy, wydał ostry okrzyk przerażenia. Wcisnąłem pedał hamulca.

- Welon! - pisnął. - Zapomniałem welonu!

Zaniepokoiłem się nie na żarty; Johanna jest tolerancyjna i otwarta, ale Jock nie, na pewno robiłby uwagi.

- Chce brat powiedzieć, że przywiózł ze sobą suknię ślubną? - zapytałem.

- Nie, nie, nie - odparł cierpko. - Mam na myśli część bielizny kielichowej do mszy, którą mamy celebrować.

Zaintrygowany, pomogłem mu szukać i wreszcie znaleźliśmy na cle torbę na zakupy, w której znajdował się złożony materiał.

- Niech mi brat pokaże - zażądałem.

- Oj, lepiej nie tutaj. Haft może się wydać postronnemu obserwatorowi... cóż... trochę niekonwencjonalny. A celnik już i tak patrzy na nas spod oka.

W drodze do domu, mimo wczesnej pory, wstąpiliśmy do Carrefour Selous, żeby się wzmocnić.

- To bardzo typowa miejscowa gospoda - wyjaśniłem. - Piją tu trunek o nazwie pastis i bardzo dobrze się o nim wyrażają. Ma brat ochotę spróbować?

- Słyszałem o nim - odrzekł z powagą - i z przyjemnością go skosztuję.

- I jak brat myśli? - zapytałem chwilę później całkiem obojętnie.

- Mmm. Naprawdę pyszny. Odrobinę mocniejszy od sherry. Ale chyba się nim nie wstawię, prawda?

- Na pewno nie.

- A co pan pije, panie Mortdecai?

- To nazywa się whisky. Destylat siodu produkowany w szkockich górach. Mam wrażenie, że dużo go sprzedają na Jersey.

Popatrzyliśmy na siebie z kamiennymi minami. Nie wytrzymał pierwszy; zaśmiał się - ale potem nie było już między nami skrzepowania. Trafił swój na swego, jak to mówią; cokolwiek to znaczy.



Johannie przypadł do gustu od pierwszego wejrzenia, co było pokrzepiające, bo nigdy nie myli się co do ludzi, podczas gdy ja stale daję się nabierać. Krzątała się wokół niego, mówiąc, że musi być strasznie zmęczony, i pytając, czego się napije (cha, cha!), kiedy w drzwiach pojawił się Jock i złowieszczym tonem sługi gotowego w każdej chwili złożyć wymówienie oznajmił, że podano do stołu.

- To brat Tichborne, Jock - powiedziałem wesoło.

- Taaa? - rzucił.

- Tak. Jego torby są w samochodzie... może je przyniesiesz? Odwrócił się na pięcie i ciężkim krokiem ruszył do drzwi.

- Och, i mógłbyś przynieść także jego welon?

Jock stanął jak wryty i w niebezpieczny sposób obejrzał się przez ramię. - Że niby co?

- Jest w reklamówce - wyjaśniłem beznamiętnie.

To poprawiło mi humor na cały dzień, choć wiedziałem, że jeszcze będę płakał gorzkimi łzami.

Johanna oczywiście musiała obejrzeć welon i mimo że Tichborne się płonił i opierał, dopięła swego. Zawsze dopina.

- Bo rozumieją państwo - krygował się Tichborne, rozwijając materiał - nie można używać konsekrowanego welonu... po pierwsze, mogłoby to odstraszyć osobę, którą chcemy... eee... wywołać, a po drugie, po prostu byłoby nieuprzejme. Zawsze bowiem uważam, że należy okazywać zwykłą grzeczność drugiej stronie, jak ją nazywam. Nawet jeśli podczas ceremonii trochę się jej boimy. Wiedzą państwo, co mam na myśli?

Wydaliśmy ostrożne pomruki.

- Co więcej, ten rodzaj mszy był celebrowany w odniesieniu do młodej osoby, by się tak wyrazić, i zauważyliśmy, że w tym celu dobrze się sprawdza welon przedstawiający taką młodą osobę w odpowiedniej pozie. Mówię to z doświadczenia.

Rozwinął materiał i rozłożył go na stoliku. Muszę powiedzieć, że byłem trochę zdeprymowany; odpowiednia poza rzeczony młodej osoby z pewnością mówiła z doświadczenia, by użyć metafory Tichborne'a, a przedstawiający ją haft był nader realistyczny, do ostatniego szczegółu, jeśli mogę posłużyć się

własną. Obaj z Tichborne'em rzuciliśmy zaniepokojone spojrzenia na dobrze wychowaną i delikatną Johannę.

- O rany! - wykrzyknęła uprzejmie. - Ja cię! - (Używa amerykańizmów tylko w defensywie).

Ja z mojej strony życzyłem sobie z całego serca, żeby rzeczywiście ta rzecz zniknęła z widoku, zanim wróci Jock. (Najbrutalniejsi przestępcy i kryminaliści są strasznie pruderyjni, czy wiecie? Oczywiście, że wiecie, wybaczcie mi).

- Powiedz to jeszcze raz, siostró - warknąłem, zniżając się do jej żargonu.

Spojrzała na mnie osobliwie, być może podziwiając moje zdolności językowe.

- Masz na myśli „o rany!” czy tamto drugie? - zapytała.

- Nieważne.

- Ależ ten śliczny haft musiał kosztować majątek, bracie - podjęła. - Czyja to robota?

- Właściwie moja własna - przyznał zarumieniony ze wstydu i dumy. - Zajęła mi całe wieki, chyba nie muszę mówić.

- Haftował brat z natury, jak widać? - włączyłem się.

- Ależ skąd, z pamięci.

Był to dobry moment, żeby zakończyć konwersację na ten temat. Gdy zwijaliśmy welon, zjawił się George, żeby dokonać przeglądu brata Tichborne'a. Przedstawiony mu, zdobył się na kilka cywilizowanych dźwięków, stwarzając wrażenie, że dla niego jedynym dobrym papistą jest tylko suspendowany papista.

Tichborne odzyskał trochę grunt pod nogami, pytając go z kolei o jego pułk, ale zaprzepaścił to, kiedy wyznał, że był w Wolnej Francji kapelanem.

- Mogłabym się o to założyć - odparła radośnie Johanna.

Twarz George'a przybrała bledszy cień czerni; to był dla niego cios.

- Francuzi byli po naszej stronie, George - przypomniałem mu. - To znaczący ostatnim razem.

- Zostaniesz na lunch, prawda, George? - zapytała Johanna.

Nie mógł jednak zostać, bo był umówiony na kolejne spotkanie, jadł już lunch, nigdy nie jadał lunchu, Sonia

spodziewała się go na lunch, musiał jeszcze zdążyć na pociąg. Na Jersey oczywiście nie ma pociągów; myślę, że chciał wyjść i gdzieś się wyżyć. To wszystko z jakiegoś powodu miało coś wspólnego z miejscem o nazwie Dakar.

Lunch zaczął się nie najlepiej; tego dnia kucharka miała wychodne, więc dyżur w kuchni pełnił Jock i widać było, że nie jest zachwycony koniecznością obsługiwania brata Tichborne'a. Podał zupę Johannie, a potem, mimo moich znaczących chrząknięć i spojrzeń - mnie. Popatrzyłem na Tichborne'a przepraszająco. Jego talerz zupy przybył ze trzy minuty później.

- Niech cię, Jock - warknąłem. - Trzymasz kciuk w zupie brata Tichborne'a!

- Nie ma sprawy, panie Charlie, nie jest gorąca.

Tichborne spojrzał na mnie spod ściągniętych brwi i pokręcił głową, więc przymknąłem oko na tę ostatnią uwagę.

Na drugie były pieczone ziemniaki nadziewane cy- naderkami w bekonie, naprawdę pyszne, z wyjątkiem tych podanych Tichborne'owi, które okazały się małe, przypalone i zimne.

Naprawdę rozsierdzony, już otwierałem usta, żeby skarcić Jocka surowo, ale Tichborne poniósł dłoń.

- Jock - odezwał się cichym, łagodnym głosem - pierwszy raz to przypadek, drugi raz zbieg okoliczności, ale trzeci raz to już przejaw wrogości. Chcę przez to powiedzieć, że jeśli znowu przyniesiesz wstyd pani Mortde- caiowej i zachowasz się równie niegodnie, wyprowadzę cię do ogrodu i skuję ci mordę.

Zapadła niezręczna cisza. Johanna otworzyła szeroko oczy, a ja usta. Jock zaczął się nadymać jak żaba. Brat Tichborne nalał sobie szklanek wody.

- A żebym oślepl! - rzucił w końcu Jock.

- Uważaj, co mówisz! - zgromił go braciszek. - Słowa, które właśnie wypowiedziałeś, są wezwaniem do Boga... a już straciłeś jedno oko. Żebyś się nie doczekał!

Spojrzałem w górę: z sufitu nie odpadł tynk.

Niezręczna cisza trwała.

Wreszcie Jock kiwnął głową i przepadł w kuchni. Niebawem pojawił się znowu i postawił przed bratem Tichborne'em duży talerz pięknych cynaderek.

- Lepiej, żeby pan zjadł moje - powiedział i dodał: - Proszę pana.

Kiedy zamknęły się za nim obite zielonym suknom drzwi, Johanna rzuciła: - O kurczę!

Brat Tichborne zauważył: - Chyba zyskałem przyjaciela.

Odparłem:

- Musi pan częściej do nas przychodzić.

Później, gdy przeszliśmy do sera - był to chyba brie - który przeszedł... to znaczy... przyszedł, czyli został przyniesiony (muszę wyrażać się przejrzyście) po drugim... oczywiście daniu... Wielkie nieba, ależ język mi się zaplątał, chyba trzeba go będzie rozwiązać za pomocą jakiegoś trunku; zacznę od nowa. Gdy wniesiono sery, przeprosiłem brata Tichborne'a, że na lunch nie było rzepy, ale właśnie szukaliśmy jej na targu z nadzieją, że zmaterializuje się na kolację.

- Rzepy? - zapytał słabo. - Rzepy? To niezwykle miłe z pańskiej strony, ale szczerze mówiąc, wprowadziłbym pana w błąd, gdybym udawał, że przepadam za rzepą.

- Nie przepada brat? - zapytałem ze zdziwieniem. - Doktor Dryden twierdził, choć rzeczywiście enigmatycznie, że bez rzepy się nie obejdzie.

Przez chwilę myślał intensywnie.

- Aha! - wykrzyknął w końcu. - No tak! Jasne!

- A! - zgodziliśmy się z Johanną. - Rzeczywiście...?

- Nie, nie - ciągnął - już rozumiem, rozumiem. Wiedział, że do ceremonii będę potrzebował dwóch plasterków rzepy. Rozumieją państwo, podczas odpowiednika podniesienia trzeba albo użyć poświęconego opłatka, który został sprofanowany... a mówiłem już, że nie lubię być niegrzeczny wobec drugiej strony... albo upiec coś, co stary sir Francis Dashwood i jego swawolni kompani z Klubu Ognia Piekielnego<sup>52</sup> nazywali „plackiem Ducha Świętego”, albo też... najlepiej... użyć, jak by tu rzec, karykatury hostii. Można w tym

---

<sup>52</sup> Hellfire Clubs - ekskluzywne kluby dla rozpustnych przedstawicieli wyższych sfer, powstające w Anglii i Irlandii w XVIII wieku. Najbardziej z nich znane było bractwo świętego Franciszka w Wycombe sir Francisza Dashwooda.

celu posłużyć się plasterkiem rzepy. Zabarwionym na czarno, rozumieją państwo, i przyciętym tak, cóż, żeby miał dziwny kształt, jeśli wiedzą państwo, co mam na myśli. - Spojrzał na nas z niepokojem. - To mniejsze świętokradztwo, nieprawdaż? - ciągnął. - I sprawdza się całkiem dobrze. Całkiem dobrze. Naprawdę.

- Ma brat może ochotę na kawę? - zapytała Johanna.

Tego popołudnia wszyscy już w dobrej komitywie i najedzeni - ponieważ Jock, jak sędzę, z braku laku wtrząchnął puszkę kawioru - wyruszyliśmy na przegląd kaplic, zaopatrzeni w sporych rozmiarów kosz piknikowy, na wypadek gdyby wyjrzało słońce.

Przykro mi, ale muszę opowiedzieć o tych kaplicach. W gminie Grouville na wschodzie wyspy jest miejsce, które nazywa się La Hougue Bie. Chyba nikt nie wie, co to znaczy. To wielki, usypany przez ludzi kopiec, w którym znajduje się odsłonięty zaledwie pięćdziesiąt lat temu dolmen, czyli grobowiec z wielkich kamiennych płyt, zbudowany około pięciu tysięcy lat temu. Żeby dostać się do głównej komory, trzeba przejść, zginając się wpół, naprawdę długim kamiennym tunelem. Jeśli ktoś ma klaustrofobię, jest przesądny albo po prostu się boi, wewnątrz to wyda mu się ponure i nieprzyjazne. Ja nie znoszę tej budowli ze wszystkich trzech powodów i nie chcę nawet myśleć o okrutnym ludzie, który ją wzniósł; wolę sobie nie wyobrażać, jakież to odrażający impuls kazał im przyciągnąć tam te monstrialne kamienie, poustawiać je, a potem zasypać tonami ziemi jedynie po to, żeby pogrzebać jakiegoś przerażającego prehistorycznego Hitlerka.

Niemniej uważam, że każdy z nas powinien od czasu do czasu odwiedzać takie miejsca, aby sobie przypomnieć, jak niedawno jeszcze byliśmy prymitywami.

Na czubku wielkiego kopca i - co ciekawe - dokładnie nad główną komorą grobowca ktoś w XII wieku zbudował porządną kapliczkę pod wezwaniem Notre Dame de la Clarte. Kilka wieków później inny poczciwiec dokopał się do krypty i

wiedziony pobożnym - choć błędnym - przekonaniem, że to replika samego Świętego Grobu, dobudował wtedy do pierwszej kaplicy drugą, która nosi nazwę Jeruzolimska.

Nie wszedłem do grobowca; wystarczy, że byłem tam raz - nie lubię uczucia, które towarzyszy zarówno czołganiu, jak i przeczolgiwaniu. Jock krążył po okolicy jak zawodowy przestępca, ale mili turyści nie zwracali na niego uwagi; pewnie brali go za strażnika, bo trudno odróżnić jednego od drugiego, nieprawdaż? Brat Tichborne natomiast zagłębił się w wilgotny tunel z wyraźną rozkoszą, a wyłonił z niego tak zarumieniony i podniecony jak młody biskup ze swoją pierwszą aktoreczką.

- Ma pan przenośny magnetofon? - brzmiały jego pierwsze słowa.

- Oczywiście, że mam. Kto by nie miał. Ale po co?

- Wyjaśnię panu dziś wieczorem. Po kolacji.

Po czym znowu dał nura do piekielnej nory. Następne pięć minut spędziłem w nader pouczającym muzeum rolnictwa nieopodal kopca, podziwiając monstrualne narzędzia, którymi w dawnych czasach rolnicy w. trudzie i znoju uprawiali rolę. Musieli się niezłe napocić; na samą myśl zrobiło mi się słabo.

Kiedy Tichborne wyłonił się ponownie, zgarnęliśmy Jocka i przeprowadziliśmy rekonesans w obu kaplicach. („Rekonesans” to w gwarze przestępczej „zwiad w celu dokonania przestępstwa” - ale chyba ludzie, którzy czytają tego rodzaju książkę, wiedzą coś takiego).

We wcześniejszej kaplicy - Notre Dame de la Clar- te - znajdował się napis głoszący, że została „odzyskana” przez jakiegoś wścibskiego biskupa, który miał za dużo wolnego czasu. Tichborne wytłumaczył mi, że to oznacza rekonsekrację i deromanizację.

- A niech to szlag! - dodał z niezadowoleniem.

Jednak kaplica Jeruzolimska nie nosiła takiego piętna i braciszek stwierdził, że świetnie się nada do naszego celu - jak nam bowiem powiedział, prawie na pewno nie była używana od czasu, gdy po tej całej aferze z reformacją w 1548 roku zamknięto wszystkie kaplice rodowe.

- Powaga? - zapytał Jock.

W drodze powrotnej do domu, już w samochodzie, zapytaliśmy Jocka, czy dałoby się dostać do kaplicy i grobowca nocą, potajemnie.

- To pestka! - odparł. - Bułka z masłem. Bramą nie warto se nawet głowy zawracać, możemy się na nią wdrapać, jeśli w tym tygodniu nie dokuczają panu hemoroidy. O, przepraszam, proszę pana. - (Trochę się zaniepokoiłem, dopóki nie zdałem sobie sprawy, że to „proszę pana” było skierowane do Tichborne’a... a wtedy poczułem się trochę urażony). - Grobowiec pod ziemią - ciągnął - jest zamknięty na pierwszorzędną kłódkę, ale ma główniany łańcuch, jak w zwykłym kiblu (o pardon, proszę pana), i dadzą mu radę zwykłe obcęgi do cięcia drutu.

- Dobrze - odparł Tichborne - a co z tym wielkim, deprymującym żelaznym zamkiem w kaplicy?

Jock jakby zaklął, wypuszczając powietrze przez zaciśnięte usta.

- Żaden tam depyrmujący - rzucił pogardliwie. - To nawet nie yale, tyle że wielgachny. Mógłbym załatwić drania moim... eee... mógłbym go otworzyć kawałkiem starego druta. Jednym paluchem.

- Jock - powiedziałem - proszę, zatrzymaj samochód przy następnym porządnym zajeździe czy karczmie. Postawię ci dużego, smakowitego drinka. „Nie zawiązesz pyska wołowi młócaćemu”, jak mówię. I za mną Księga Powtórzonego Prawa.

- Dwadzieścia pięć, cztery - potwierdził Tichborne.

- Że co?

Tego wieczoru po kolacji, na którą były, jeśli się nie mylę, médailles de chevreuil Saint-Hubert au purée de marrons, z aromatycznym chambertinem... chyba że był piątek, bo jeśli tak, Jock poszedłby po rybę z frytkami... więc tego wieczoru, jak powiadam, przypomniałem bratu Tichborne’owi, że wyraził zainteresowanie przenośnym magnetofonem.

- Miał brat wyjaśnić, co ma do rzeczy ten przenośny magnetofon. - Tak to sformułowałem.

- A tak - odparł. - Chyba rzeczywiście. W istocie.

Sącząc niezrównaną, odziedziczoną po przodkach brandy Johanny, nerwowo mrugał powiekami; można było odnieść wrażenie, że to nie było to, co tygrysy lubią najbardziej, jak mówią obecnie dzieci.

- Muszę przeprosić za tę brandy - powiedziałem, spoglądając na Johannę. - Jeśli o mnie chodzi, wolałbym pastis. Odważy się brat? Chyba mamy go jeszcze trochę...

Kilka łyków pastis później (tak naprawdę był to absynt, tyle że bez piołunu) braciszek był już odprężony i gadatliwy.

- Obiecujecie, że nie będziecie się śmiać? - odezwał się w te słowa.

Przysięgliśmy z ręką na sercu.

- Cóż, dwa lata temu czytałem książkę niejakiego Konstantina Raudive. To bardzo poważne dzieło, uznawane przez poważnych naukowców. Raudive twierdzi, a nawet dowodzi, że słyszał ciche rozmowy i mamrotania dochodzące z odcinków taśmy, na które nic nie nagrywał. Mnie przydarzyło się to samo, ale przypisywałem to przypadkowo przechwyconym falom odbiornika radiowego... to znaczy radia, tak?

- Jeśli o mnie chodzi, może być odbiornik radiowy - odparłem.

- O, to dobrze. Hm, jak mówię, myślałem, że to zbłąkane fale radiowe, które docierają z aparatów słuchowych i tym podobnych, ale oczywiście po przeczytaniu Raudivego przetestowałem to i odkryłem, że nawet na całkiem nowej taśmie nagrały się ciche mamroty, jakby magnetofon został w ciszy nastawiony na nagrywanie. I jak Raudive stwierdziłem, że jeśli podkręcę głośność, słyszę coś jak ludzką mowę, tyle że z dość dziwną intonacją, niegramatycznymi zdaniami, często pozbawionymi związku.

Johanna wstała, przeprosiła nas uprzejmie i powiedziała, że musi już iść spać. Nie lubi długich zdań, choć jest bardzo bystra. (Dlaczego wciąż wplątuję się w związki z bystrymi kobietami, chociaż te, które naprawdę mi się podobają, są kosmicznie głupie i ledwie potrafią liczyć do dziesięciu? Ale, niestety, te ostatnie z każdym dniem trafiają się coraz rzadziej. *Il y a des gens qui rougissent d'avoir aimé une femme, le jour*



*qu'ils s'aperçoivent quelle est bête. Ceux-là sont des aliborons vaniteux, faits pour brouter les chardons les plus impurs de la création, ou les faveurs d'un bas-bleu. La bêtise est souvent l'ornement de la beauté ; c'est elle qui donne aux yeux cette limpidité morne des étangs noirâtres, et ce calme huileux des mers tropicales*<sup>53</sup>. Zapomniałem, kto na napisał. Pewnie nie Simone Weil).

- Niech brat mówi dalej - powiedziałem po wzajemnych życzeniach dobrej nocy.

- Przepraszam, czy moglibyśmy już darować sobie tego „brata”? - zapytał. - Koledzy w szkole mówili do mnie „Eric”... Nie mam pojęcia dlaczego, bo nie tak mam na imię, ale nawet mi się to spodobało.

- Proszę, kontynuuj, Ericu. I mówi mi „Charlie”.

- Dziękuję ci. Więc kiedy się zorientowałem, że to dziwne próby komunikacji, zauważyłem, że są nawet, cóż...

- Tak?

- Interesujące - odparł wyzywająco. - Interesujące!

Starając się jak zwykle, niczym żona Cezara, być wszystkim dla wszystkich<sup>54</sup>, próbowałem przyjść mu z pomocą.

- Chyba raczej niepokojące?

- Tak, to też. Z całą pewnością. „Niepokojące” to dobre słowo. Bo widzisz, zacząłem rozróżniać głosy i je rozszyfrowywać. Okazało się, że należały do zmarłych osób, jak dyrektor szkoły, do której chodziłem, czy dyrektor seminarium duchownego, a także autorzy czytanych przeze mnie książek... Oczywiście nie mogłem rozpoznać głosów tych ostatnich, ale gdybyś usłyszał faceta mówiącego barbarzyńską łaciną z silnym słowiańskim akcentem, który zaleca ci, żebyś się nie mył, bo to grzeszna przyjemność, a potem wyznaje, że ma na imię Hieronim, to co

---

<sup>53</sup> *Il y a des gens...* (franc.) - „Są ludzie, którzy dostrzegli pewnego dnia, że kobieta, którą kochają, jest głupia, oblewają się pąsem ze wstydu. Ci są jak zarozumiałe osły, stworzone jedynie po to, by skubać oset, najbardziej prymitywne ziele na świecie, a nie do korzystania z uprzejmości sawantki. Głupota jest często ozdobą urody; to jest właśnie to coś, co nadaje mroczną przejrzystość czarniawym stawom i spokój oleistym morzom tropikalnym”. Charles Baudelaire, *Maximes consolantes sur l'amour*.

<sup>54</sup> Trawestacja I Listu do Koryntian, 9:19-23.

byś pomyślał?

- W rzeczy samej...

- No właśnie. Czulem więc, że muszę nagrywać dalej, przesłuchiwać taśmy i próbować zrozumieć ich przesłanie. I zrobiło się jeszcze gorzej.

Dolałem mu pastis, które uzupełniłem wodą, i pomogłem trafić kieliszkiem do ust. Nie był zalany, myślę, że wpadł w rodzaj ekstazy, jak kobiety w okresie meno- pauzy, gdy myślą o Cassiusie Clayu.

- Gorzej? - podsunąłem.

- O wiele gorzej. Kardynał Manning<sup>55</sup> krzyczał na mnie i krzyczał, i wyglądało na to, że wie wszystko o moim... eee... mojej sprawie. A potem ktoś, kto przedstawiał się jako Pio Nono<sup>56</sup>, stale powtarzał, że będzie się za mnie modlił, ale niczego nie może obiecać, a najgorsze ze wszystkiego... - Tu głos mu się załamał.

- Twoja matka? - podpowiedziałem delikatnie.

- O nie, ona zawsze była pełna zrozumienia. To był święty Franciszek. Początkowo miałem nadzieję, że to Franciszek z Asyżu, ale szybko wyprowadził mnie z błędu; to był święty Franciszek Ksawery Był dla mnie strasznie przykry. Strasznie. Nie masz pojęcia, jaki potrafi być ten stary drań.

Oczy miał pełne łez. Cóż, oczywiście wiem, jak postępować z pijanymi wariatami. Należy im potakiwać, słuchać ich, pozwolić, żeby się naprawdę wkurzyli, a potem, poluzowawszy takiemu kołnierzyk i zdjawszy buty, położyć go spać. Niepokoiło mnie tylko to, że nie będę umiał poluzować koloratki i że Eric zmoczy moją pańską, całkiem porządną empirową kanapę.

- A może... - powiedział nagle i całkiem przytomnie. - Może chcesz posłuchać? Proszę.

- Oczywiście, oczywiście. Pójdę po magnetofon. Ale wiesz co? Najpierw ci doleję.

Przyniosłem swój magnetofon, całkiem dobry, rozpakowałem

---

55 Henry Edward Manning (1808-1892) - angielski duchowny katolicki, arcybiskup Westminsteru i kardynał.

56 Pio Nono - papież Pius IX.

nową sześćdziesięciminutową taśmę, włożyłem ją wprawnie do urządzenia i nastawiłem nagrywanie na trzy i trzy czwarte na sekundę. Eric z mieszanymi uczuciami patrzył na magnetofon, tak jak wy czy ja patrzylibyśmy na wiertło u dentysty, które ból daje i odbiera.

Gapił się tak, dopóki nie zacząłem szurać nogami i trochę się niecierpliwić. Wtedy podniósł głowę i spojrział na mnie z niepokojącym, natchnionym uśmiechem.

- Wybacz mi - zaczął. - Powinienem był ci powiedzieć. Te wszystkie zjawiska mają najwyraźniej związek z falami mózgowymi alfa, drgającymi z częstotliwością od ośmiu do dwunastu cykli na sekundę. Zdaje się, że ludzie cechujący się zdolnością telepatii, telekinezy i tak dalej to ci, którzy umieją wpływać na swoje fale alfa. Czasami osiąga się to poprzez hipnozę, a czasami w sposób naturalny, podczas zasypiania albo w stanie półczuwania, kiedy człowiek obudzi się zbyt szybko; na- stolatkowie albo kobiety w okresie menopauzy potrafią wprawiać się w ten stan, snując z zamkniętymi oczami nieczyste myśli. Media, które domagają się podczas seansów spirytystycznych półmroku, ciszy i tym podobnych, zwykle... jeśli nie oszukują... próbują stworzyć warunki pozwalające im zmniejszyć częstotliwość fal alfa do wymaganego poziomu, świadomie czy nie. Podejrzewam, że wiele fałszywych mediów to kobiety, które autentycznie potrafią odbierać pewne fale, ale nie rozumieją, jak to działa, i nie umieją się odpowiednio nastroić, dlatego jeśli im nie wychodzi, po prostu udają.

Byłem trochę zbity z tropu. Niewiele z tego zrozumiałem, ale z całą pewnością nie brzmiało to jak bełkot pijaka.

- Dużo pracowano nad tym w Związku Radzieckim - ciągnął - i muszę przyznać, że ich podejście jest inteligentniejsze niż Amerykanów. To znaczy czują, że tego, co według obecnej wiedzy wychodzi poza prawa fizyki, nie można badać standardowymi metodami naukowymi. To jak próby ważenia neutronów wagą sklepową, rozumiesz.

- Brzmi sensownie - odparłem. - Przypominam sobie, jak powiedziałem jakiemuś psychologowi czy psychiatrze z tego śmiesznego nowego uniwersytetu... Lancaster?... że większość

graczy w pokera zna to rzadkie wspaniałe uczucie, które nadchodzi człowieka może raz na tysiąc partii, dając mu pewność, że nie może przegrać. Wyznałem mu, że mnie zdarzyło się to dwa razy i było tak silne, że nie patrzyłem nawet w karty, tylko licytowałem i wcale się nie zdziwiłem, gdy wygrałem. Ten kretyń w odpowiedzi odpakował nową talię kart, a następnie kazał mi ciągnąć po jednej i zgadywać jej kolor. Miałem o dziewięć procent gorszy wynik od prawdopodobieństwa przypadkowej zgodności, czy jak to się tam nazywa. Więc ja w jego oczach wyszedłem na kłamcę, a on w moich na kretyna. Mogłem mu powiedzieć... gdyby miał dość rozumu, aby o to zapytać... że warunki konieczne są takie: musielibyśmy od kilku godzin naprawdę grać w pokera, dzięki układowi kart powinienem mieć dość pieniędzy na stole, aby dokładać do puli, i krótko mówiąc, być w stanie sennej euforii, kiedy to moje ciało jest jakby uśpione, z wyjątkiem tej części mózgu, która zawiaduje grą.

- Nie mógłbyś przedstawić tego lepiej! - wykrzyknął Eric. - Wszystkie warunki zostały spełnione: lekkie zmęczenie, lekka euforia, lekka depresja od brandy... założę się, że częstotliwość twoich fal alfa była zbliżona do dziesięciu cykli!

- Nie wchodzę w to - odparłem.

- W rzeczy samej. A przy okazji przepraszam, że cały czas mówię „w rzeczy samej”, ale przeważnie pracuję z Amerykanami, a oni oczekują, że Anglik będzie się tak wyrażał.

- Jakżeby nie - zgodziłem się z nim.

- Czy ten odbiór, jeśli to odpowiednie słowo, był związany ze mną, dokonywał się za moim pośrednictwem czy w ogóle ja byłem jego źródłem, tego nie umiem powiedzieć - mówił dalej.

- Jednak na razie, jak Raudi-ve, nie trafiłem, muszę przyznać, na tekst w języku, którego bym nie znał, ani ze źródła, z którym bym się nie zetknął. Wynikałoby z tego, że to ja jestem mocą sprawczą tego zjawiska; ale może to efekt jakiegoś problemu komunikacyjnego, nie sądzisz?

Nie chciałem mówić „w rzeczy samej”, ale samo mi się jakoś wypsnęło. Nalałem mu jeszcze pastis i uśmiechnąłem się do niego, co zapewne wyglądało bardziej na grymas.

- Cóż! - ryknąłem niepewnie. - Napijmy się!

Przez chwilę znowu patrzył na mnie nieruchomo, po czym opiekuńczym gestem objął magnetofon i jakby go przytulił, włączając nagrywanie. Przez długie pięć minut wpatrywał się z zamyśleniem w obracające się szpule, a potem gwałtownie pokręcił głową i przewinął taśmę do początku.

- Coś nie tak? - zapytałem wesoło.

- Nie wiem.

Podkręcił dźwięk do połowy wskaźnika i wcisnął „odtworzenie”. Magnetofon zaczął emitować „biały szum”, mechaniczne dźwięki samego urządzenia i cichy szmer oddechu Erica, a poza tym - nic. Poczulem się zażenowany w jego imieniu, pożałowałem, że w ogóle wdał się w te bzdury, i już zacząłem się zastanawiać, jak pomóc mu wybrnąć z tej kłopotliwej sytuacji, gdy...

- Słyszysz? - zapytał nagle.

„O rany, on rzeczywiście jest szurnięty” - pomyślałem, uśmiechając się do niego nieszczerze, jak wtedy, gdy ktoś pokazuje ci różowe słonie w kącie pokoju. Zwiększył głośność - i usłyszałem. Ciche, bardzo odległe trajkotanie, potem śmiech i znowu dłuższą gadaninę, która wznosiła się i opadała w dziwnie nieprzyjemny sposób.

Manipulował przy dźwięku oraz wskaźnikach prędkości tu i tam, ponownie wcisnął „odtworzenie” i nagle wśród jazgotu dał się słyszeć wyraźny, słodki, roześmiany głos, który zaczął mówić:

- Zepsucie! Zepsuty opój! Fufuf, fufuf, fufuf - i tak dalej, coraz głośniej, z przeraźliwym ostrym wrzaskiem na końcu, który aż ranił uszy.

Eric wcisnął klawisz z napisem „przerwa” i spojrzał na mnie oczami pełnymi łez.

- To była moja mamusia - oznajmił. - Bardzo się o mnie martwi.

Kiedyś taka uwaga nie wprowadziłaby mnie w zakłopotanie; rzuciłbym w odpowiedzi coś dowcipnego i jednocześnie pełnego szacunku, ale nie jestem już tym człowiekiem co dawniej. Zdobyłem się tylko na coś takiego:

- Naprawdę?

- O tak - odparł. - Zwykle do mnie przychodzi, zanim inni zaczną wygadywać różne śmieszne rzeczy

- Inni?

- No, po kolei. Posłuchajmy.

Znowu pokręcił gałkami oraz wskaźnikami i po chwili odezwał się pojedynczy ochrypy, przesiąknięty ginem głos, aż dławiący się z pasji, który powtarzał w kółko tonem gorzkiej przygany:

- *De profundis clamavi ad te, Domine!*<sup>57</sup>.

- Żaden starożytny - wyjaśnił Eric. - To łacina, której w seminariach wciąż uczą irlandzkich księży. Prędkość jest nie ta; facet brzmi pogodniej, jeśli się znajdzie właściwą.

- Oscar Wilde na łożu śmierci? - nie mogłem się powstrzymać od pytania.

- A wiesz, że może masz rację, całkiem niewykluczone.

Nie mieliśmy więcej szczęścia, jeśli to w tym miejscu odpowiednie słowo. Ktoś śmiał się wyjątkowo niemilo, w powodzi zwierzęcych odgłosów powróciła matka Erica, która chyba zarzucała mu, że uprawia coś, co wywołałoby rumieniec na włochatych policzkach samego starego Kraffta-Ebinga („Tak sobie żartuje” - mruknął niepewnie Eric), i już pod koniec jakiś spokojny głosik przekazał wiadomość najwyraźniej dla mnie, dotyczącą sprawy, o której Eric nie mógł w żadnym razie wiedzieć i którą nie będę w tym punkcie zwracał głowy czytelnikowi. Ani w żadnym innym.

A tak, i zawsze, gdy przechodziliśmy na pewną kombinację prędkości i głośności, przyjazny cywilizowany głos powtarzał:

- Nie, proszę nie. Nie. Jutro nie. Nie, naprawdę nie mogę. Jutro nie. Nie, proszę.

- Wszystko to jest fascynujące - zauważyłem markotnie, kiedy Eric wreszcie wyłączył magnetofon. - Fascynujące. Jednak mam wrażenie, że to nie jest dobry pomysł, by dawać każdemu Tomowi, Dickowi i Harry'emu słuchać tego rodzaju... eee... niedorzecznej harmonii, nieprawdaż?

- Wielkie nieba, ależ skąd! Słucham tego sam albo w obecności

---

<sup>57</sup> *De profundis clamavi ad te, Domine...* (łac.) - „Z otchłani wzywałem cię, Panie”. Początek Psalmu 130.

ludzi o wyjątkowej równowadze emocjonalnej... jak ty, jeśli wolno mi to powiedzieć.

Nie skomentowałem - nie mogłem - tej zaskakującej oceny mojej osoby; równowagę emocjonalną i tym podobne trzymam na dnie szuflady na chusteczki do nosa, razem z wibratorem i świńskimi fotkami, jak zapewne wyraził się już W.H. Auden. Ale to inna część jego wyznania wzbudziła moje zgorzienie.

- Czy chcesz powiedzieć, że czasami robisz to sam? - zapytałem ze zdumieniem. - W nocy?

- Tak, jasna sprawa. I to często. Czego tu się bać?

Nie odpowiedziałem. Jeśli przy swoich kwalifikacjach tego nie wiedział, ja miałem mu to powiedzieć? Kim byłem, do cholery, jego biskupem?

Był jednak na tyle inteligentny, by zauważyć, że wpadłem w ponury nastrój, i starał się mnie rozbawić, nawet z pewnym powodzeniem. Jeśli chodzi o opowiadanie sprośnych dowcipów, ustępuję niewiele, ale trzeba księdza po seminarium, żeby opowiedzieć prawdziwie katolicki żart z odpowiednią dozą skrępowania i wyższej świadomości. On opanował tę sztukę do takiej perfekcji, że, pamiętam, pękałem ze śmiechu.

Potem nauczył mnie przyrządzać i pić nose-dive <sup>58</sup> - to sztuka mało znana poza kampusem Uniwersytetu Karoliny Południowej, gdzie Eric przez jeden semestr uczył dobrze wychowane studentki, że *Chansons pour elle* Verlaine'a mają drugie dno.

A oto jak się przyrządza i pije nose-dive - powinniście się tego dowiedzieć, bo to jedyny sposób, żeby przełknąć ohydniejsze trunki, takie jak tequila, pulque, polska wódka o zawartości stu czterdziestu dziewięciu procent alkoholu, paraldehyd czy samolotowy płyn do odladzania. Napełniasz małą szklaneczkę pożądanym, choć w normalnych warunkach nienadającym się do picia alkoholem i wstawiasz ją do wysokiej szklanki, którą potem napełniasz do poziomu tamtej zmrożonym sokiem pomarańczowym albo jakimś innym zdrowym napojem. Następnie wypijasz wszystko jednym haustem. Sok, mimo że nieskażony domieszką mocnego trunku, który znajduje się w

---

<sup>58</sup> *Nose-dive* (ang.) - lot nurkowy.

szklaneczce, pozostawia ohydny smak na podniebieniu. W nagrodę na końcu szklaneczka przestaje się trzymać, wysuwa się i delikatnie uderza cię w nos - stąd nazwa tej całej zabawy. To uderzenie w nos, a przynajmniej tak wynika z mojego doświadczenia, przepaja cię nieodpartym pragnieniem, żeby powtórzyć cały proces. Nie praktykowałem innych mieszanek, ale powiem wam, że stosując pastis i sok ananasowy, szybko wylądujecie na dywanie i będziecie śpiewać piosenki, których słów nie znaliście, a przynajmniej do tej pory tak wam się zdawało.

Z tego, co pamiętam, choć nie mam pewności, nad ranem do salonu wszedł Jock i uprzejmie pokazał Eri-cowi, gdzie jest jego pokój; kiedy wrócił, wyprowadził mnie w krzaki, potrzymał mi głowę i wsadził pod prysznic. A później chyba do łóżka.

Każdy wam powie, że nie ma jak pastis, aby zapomnieć o tym, czego dowiadujecie się z magnetofonu.



Sny i pragnienia, pieśni słodkie, smętne,  
 Wszelka dziwna pora i miłość odeszły.  
 Czyś znalazł miejsce u kochanki chętnej,  
 U stóp i kolan wielkiej Tytanidy  
 Bładolicej, jak śniły o tym twoje zwidy,  
 W cieniu, co rzuca jasnowłosa głowa,  
 W głębokim wąwozie między piersi wierchem  
 Na solennych zboczach ciała w snu okowach  
 I w jarzmie ciężkich pukli, w których wciąż się chowa  
 Woń i cień sośnin ze starego świata  
 I gdzie wiatr górski wypłakuje słowa?

*Ave atupe vale*

Przez całe lata sądziłem, że te linijki:

*„Strzał? Kres taki szybki, taki czysty?  
 Postąpić, chłopcze, nie dało się inaczej;  
 Rzecz nie do uleczenia, w sposób oczywisty,  
 Trzeba ją było do grobu zabrać raczej”<sup>59</sup>,*

opowiadają o przerażonym młodzieńcu z epoki Edwarda VII, odkrywającym, że jest pedałem. Mogę skorygować w tym punkcie historię literatury. Te linijki mówią o przerażonym facecie we wczesnośrednim wieku, który pewnego ranka odkrył, że ma za słabą głowę na pastis. Bo, widzicie, to nie był zwykły pospolity kac, to była jedna z plag egipskich w przebraniu czarnej śmierci. Wyraźnie nieuleczalna. Dotknąłem dzwonka.

- Jock - powiedziałem głucho - błagam, przynieś mi imbryk

---

59 A.E. Housman, *A Shropshire Lad*, XLIV.

herbaty... może lapsang souchong... i załadowany rewolwer. To rzecz nie do uleczenia, trzeba ją zabrać do grobu, ale najpierw odstrzelę sobie czubek głowy. Nie zamierzam spędzić wieczności z czubkiem głowy w jego obecnym stanie.

Jock próbował umknąć.

- Och, i wiesz co - dodałem - kiedy już przyniesiesz tacę z herbatą, żebyś broń Boże nie stuknęła łyżeczką ani innym sztucem o rewolwer.

- Dobrze, panie Charlie. - Czyżbym usłyszał nutę pogardy w jego głosie?

Leżałem nieruchomo, słuchając paskudnego, nierównego bicia swojego serca, pływowych odgłosów wydawanych przez wątrobę i akordów basowych z tyłu czaszki. Dobiegł do mnie z kuchni perlisty śmiech; jak Johanna mogła się śmiać w takim momencie - powinna klęczeć przy mym łożu, obiecując na zawsze zachować mnie w pamięci.

Kilka stóp od miejsca, w którym leżałem, znajdowało się okno: pracowity pajęczek snuł w rogu pajęczynę. Snuł między szybami. Nigdy w życiu nie widziałem niczego bardziej żalosego i pomyślałem o sobie. Chyba uroniłem lżę czy dwie. Gdyby w tej chwili do pokoju przybył biegły jezuita, zdobyłby moją duszę bez jednego strzału.

Przybyła jednak moja herbata, wniesiona przez Jocka przy minimum hałasu. Z pewną trudnością przyjąłem pozycję, w której mogłem popijać, ale mój tyłek wciąż ślizgał się na jedwabnym prześcieradle. (Jakże pożałowałem, że nie pochodzę z plebsu i nie mogę spać na rozkosznej, zgrzebnej irlandzkiej pościeli, ale cóż, z pozycji wynikają nie tylko przywileje, lecz także obowiązki).

Nie powiem, że pierwsze łyki przywróciły mnie do życia, gdyż zawsze kochałem prawdę, ale faktem jest, że pozwoliły mi rozważyć możliwość przedłużenia pobytu na tym leż padole.

- Jock - powiedziałem surowo. - Wyraźnie słyszę, że pani Mortdecaiowa się śmieje. Wytlumacz mi, co się tam dzieje.

- A ja tam wiem, panie Charlie? Pani je śniadanie z bratem Tichborne'em i świetnie się bawią.

- Śniadanie! - jęknąłem. - Śniadanie? To Tichborne je

śniadanie?

- I to jakie! Zjadł już talerz owsianki ze śmietaną i cukrem, potem drugi po szkocku, z tłuszczem, solą i pieprzem, następnie dwa jajka na miękko, bardzo miękko, z grzanką grubo posmarowaną masłem, a teraz zabrali się do cynaderek na ostro z wędzonym bekonem. Lepiej pójdę na dół i spytam, czyby nie przekazali piklin- ga albo dwóch, kupiłem wczoraj na targu ładniutki.

- Wynocha! - zawołałem.

- A pan by czegoś nie przekąsił? - spytał.

- Wynocha! - krzyknąłem ponownie.

- Powinien pan coś wrzucić na ruszt, panie Charlie, kiepsko pan wygląda. Oczy ma pan jak dziury po sikach na śniegu, jeśli wolno mi się tak wyrazić.

Odwróciłem twarz do ściany; czułem się jak wybór fragmentów usuniętych z Księgi Hioba.

Nie zabrakło nawet Hiobowych pocieszycieli, bo po półgodzinie jakiś zdrajca na dole dopuścił, aby do mojego grobowca wkroczył nasz ekstrawertyczny gospodarz.

- Dzieńdoberek! - ryknął. - Co, wciąż w łóżku? Traci pan najlepszą część dnia!

- Źle się czuję - wymamrotałem.

- Bzdury! - ryczał dalej. - To na pewno nic takiego, na co w jednej chwili nie pomoże haust świeżego powietrza. Mamy piękny ranek!

Z gospodarzami, niestety, jest tak, że nie można im powiedzieć, by się odwalili.

- Pada - odparłem niemrawo.

- Ależ skąd! Bynajmniej. Jest śliczny poranek, słoneczny i rześki. Ani śladu deszczu.

- Pada w moim sercu - wyjaśniłem lodowato. - *Il pleut dans mon coeur comme il pleut sur la ville*<sup>60</sup>.

- Hm, cóż, tak, ale niech pan posłucha...

- Kiedy będzie pan na dole - powiedziałem - mógłby pan łaskawie poprosić, żeby ktoś przyniósł miszkę, do której

---

<sup>60</sup> *Il pleut dans mon coeur...* (franc.) - „Pada w moim sercu. To jakby padało w całym mieście”. Fragment wiersza Paula Verlaine’a.

mógłbym się pochorować? Bo trochę mi niedobrze...

- Tak, pewnie, już idę, mam mnóstwo roboty. Niech się pan trzyma...

- Dziękuję - odparłem.

Nie pozostawało mi jednak nic innego, jak wstać. Wstałem więc, bo co innego miałem począć? Od razu wyraźnie mi się pogorszyło, ale Jock zablokował wszystkie moje próby powrotu do łóżka i w nagrodę za to, że się ogoliłem, dał mi łyknąć swojego zbawiennego specjału, który potrafi zawrócić człowieka znad grobu. Jock nie uznaje Jeevesowskiego sosu Worcester z surowymi jajkami; jego cudowne remedium to po prostu deksedryna rozpuszczona w ginie z tonikiem, do którego dodaje jeszcze łyżkę słynnych soli wątrobowych pana Andrew, dwie musujące tabletki witaminy C i dwie takie same alkaseltzer. Nie lubię cudzoziemców, ale muszę powiedzieć, że doktorzy Alka i Seltzer już dawno temu powinni byli dostać Nobla; w ich cudownym dziecku przeszkadza mi tylko straszliwy hałas, jaki powoduje.

Przyszła pora na lunch, podczas którego objawiła mi się świeżutka twarz Erica, a Johanna... cóż, uśmiechnęła się do mnie uprzejmie. W normalnych okolicznościach sieje spustoszenie na talerzu jerseyjskiego pais de mai, czyli czegoś w rodzaju kapusty z resztkami mięsa, tyle że z ziemniaków, fasoli i cebuli zapieczonych razem i podawanych z kielbaskami wieprzowymi, jednakże tego dnia moje soki żołądkowe po prostu odmówiły współpracy, więc mogłem tylko patrzeć, jak inni pochłaniają duże porcje tego specjału, i za pomocą sucharka rozpracowywać problemy topologiczne.

Później Eric wziął mnie na stronę.

- Jeśli czujesz się trochę osłabiony - zaczął ostrożnie - po naszej wieczornej pogawędce...

- Masz dar dobierania słów, Ericu. Nigdy nie czułem się bardziej osłabiony. Mów dalej.

- Słyszałem, że w takich przypadkach kapka pastis działa cuda. Przepędza złe duchy.

Mój zdrowy rozsądek buntował się przeciwko temu, ale jak zwykle dostał w miskę olejową, mówiąc słowami Jocka, i

wkrótce pastis w kawaleryjskim stylu wygładził wszystkie zmarszczki, jakie miałem na wątrobie. Kiedy dwa kieliszeczki później rozległ się dzwonek u drzwi, nawet nie drgnąłem. Weszli George i Sam, dziwnie węsząc w powietrzu.

- Zazywasz jakieś leki? - zapytał George.

- Jedyne płukałem gardło, bo trochę mnie boli - wyjaśniłem sztywno.

- Chyba nie tylko gardło - zauważył Sam.

- Idziemy? - zagadnąłem. - Ericu, zajmiesz się czymś, prawda? Jock ci pokaże co i jak. Poproś o mapę, jeżeli będziesz chciał udać się na przechadzkę. Człowiek może błąkać się miesiącami w tych uliczkach na Jersey.

Pojechaliśmy w stronę Saint Helier. Naszym celem był główny komisariat opłacanej policji, mieszczący się przy ulicy o intrygującej nazwie Rouge Bouillon<sup>61</sup>. Zamierzaliśmy zaproponować pewien układ starszemu oficerowi, poleconemu nam ze względu na dyskrecję przez naszego oddanego centeniera.

Od prawie osiemnastu miesięcy nie miałem nic na sumieniu, jednakże czułem lekki niepokój, wkraczając do tego glin-shopu; niepokój, który, muszę powiedzieć, szybko się rozwiął, a to za sprawą okazywanej nam na każdym kroku życzliwości, przy niemal niesłyszalnym brzęku kajdanek w kieszeniach funkcjonariuszy. Uprzejmie dziękując za proponowaną nam wszędzie herbatę, znaleźliśmy się w gabinecie rzeczonoego starszego oficera. Znałem go kiedyś jako uczciwego człowieka; wprawnym okiem oszacowałem jego garnitur na jakieś czterdzieści funtów, dając mu nie więcej niż pięć lat. Skorumpowani policjanci jak świat długi i szeroki mogą ukrywać zdobyte nieuczciwą drogą środki w sejfach Zurychu, ale nie są w stanie oprzeć się urokowi moherowych garniturów i szytych na miarę butów. *Experto crede*.

Jego nozdrza drgnęły lekko.

- Nasz przyjaciel płukał gardło - wyjaśnił Sam. - Bo trochę go boli.

- A to pech - zwrócił się do George'a policjant.

---

<sup>61</sup> Rouge bouillon (franc.) - czerwony bulion.

- Nie ja. On - odparł George, wskazując mnie gru- biańsko.

- Aha. Cóż. Hm, czym mogę panom służyć? Jak rozumiem, chodzi o te gwałty.

Spoglądając porozumiewawczo na dwójkę przyjaciół, wziąłem na siebie rolę rzecznika. Policjantowi chyba spodobał się mój tok rozumowania, jeśli chodzi o motywy gwałciciela i wybór ofiar, bo sporządził kilka notatek. Potem wyjaśnił, jak jego działania ogranicza protokół między policją opłacaną a honorową - którą zresztą chyba aprobował.

- Oczywiście - powiedział - bywają tarcia i powody do frustracji; to naturalne między zawodowcami a amatorami, ale bez pomocy tych ostatnich nie zdołalibyśmy utrzymać porządku w rejonach wiejskich... mają w *cotils* coś jak tajne służby... a ich, cóż, doraźny tryb rozwiązywania spraw mniejszych przestępstw pozwala nam oszczędzić mnóstwo czasu i wysiłku. Za każdym razem, gdy któryś z moich oficerów ma zeznawać w sądzie, muszę zmieniać cały cholerny grafik dyżurów, rozumieją panowie? Nie mogę jednak nieproszony ingerować w sprawy gmin, tak jak Scotland Yard nie może wysłać swoich ludzi, żeby zajęli się morderstwem na prowincji, dopóki lokalni stójkowi nie przyznają, że sami sobie nie radzą. Najpierw zdeptawszy wszystkie ślady - dodał z goryczą.

Przedstawiłem mu wtedy koncepcję naszej samozwańczej straży obywatelskiej, starannie pomijając wszelkie wzmianki o pierwszej, nieudanej próbie ochrony potencjalnych ofiar gwałciciela. Początkowo ściągnął brwi, ale potem przyznał, że taka inicjatywa wykracza poza jego kompetencje.

- Chyba że, oczywiście - podkreślił wyraźnie - ktoś byłby na tyle niemądry, żeby na taką akcję wziąć ze sobą broń.

Zdjęci grozą na samą myśl o czymś tak niedorzecznym, wszyscy unieśliśmy dłonie.

Następnie przeszedłem do prawdziwego powodu naszej wizyty, a mianowicie planów na ten wieczór - i tego, czego w związku z nimi oczekiwaliśmy od policji. Najpierw się roześmiał, potem lekko spurpurowiał i podniósł głos. Nie mogę powiedzieć, żeby wpadł we wściekłość, bo nie byłoby to zgodne z prawdą, ale z pewnością przez chwilę się pieklił. Ja jednak

bezlitośnie obstawiałem przy zaletach naszego pomysłu: jego logice, niewielkiej szkodliwości, możliwym efekcie profilaktycznym, gotowości policji honorowej do współpracy, jeśli i on się przyłączy, chlubie, jaką przyniesie to jego siłom. Wtedy przejrzał na oczy; facet nie był pozbawiony wyobraźni. Ale upierał się przy jednym: musiał mieć jakąś asekurację. W grę wchodziła przecież jego kariera, to chyba jasne.

Wtedy George mnie zaskoczył - nie po raz pierwszy.

- Mogę skorzystać z pańskiego telefonu? - zapytał. - Dziękuję. Halo? Nie, nie z jego sekretarką. Nie, i nie z adiutantem. Proszę powiedzieć, że dzwoni George Breakspear i że to pilne. Co takiego? A, cześć, Porkey, przykro mi, że cię budzę, cha, cha. Słuchaj, pamiętasz o tym ryzykowanym pomysłe, który chcemy zastosować? Więc Mortdecai ściągnął faceta, który zna się na tych bzdurach, i jesteśmy gotowi do akcji, ale tutejszy komisarz policji, co naturalne, potrzebuje zezwolenia z góry. Zamienisz z nim słówko?

Rozmówca George'a zamienił słówko. Komisarz nie stanął na baczność, ale czuło się, że gdyby był sam, pewnie by to zrobił. Podczas rozmowy padło z jego strony siedemnaście „takjest”, osiem „oczywiściesir” i trzy „dziękujęsir”. Wreszcie odłożył słuchawkę i spojrział na nas surowo.

- Cóż - powiedział - przyjaciel panów zgadza się ze mną, że można coś zrobić w związku z planem, który panowie proponują.

Przyjęliśmy to z kamiennymi minami. Potem przeszliśmy do kwestii organizacyjnych, nawiązaliśmy przez telefon łączność z konstablami i innymi, a następnie zsynchronizowaliśmy zegarki.

- Przede wszystkim - rzuciłem na odchodnym - proszę dopilnować, żeby pańscy ludzie nie próbowali zatrzymać potężnego, szpetnego faceta imieniem Jock. Po pierwsze, mógłby zrobić im poważną krzywdę, a po drugie, tego umowa nie obejmuje.

- Czy wyraziłem na to zgodę?

- To się rozumie samo przez się. Nie mam innego służącego, rozumie pan.

- Czy ten człowiek był notowany na wyspie?

- Ależ skąd, zapewniam pana, że nie. Tylko nie lubi, jak się pobiera odciski jego palców.

- Hm. W porządku.

Kiedy wychodziliśmy, umundurowany sierżant zgrabnie wyłuskał mnie z tłumu i spytał, czy mógłbym poświęcić panu komisarzowi jeszcze kilka minut - na osobności. Drżąc z poczucia winy i strachu, powiedziałem pozostałym, że wrócę do domu taksówką, po czym wróciłem za potężnym sierżantem do gabinetu komisarza.

- Wszystko w porządku, panie Mortdecai - oznajmił szef policji. - Proszę usiąść. Niech się pan nie boi. Nie będę udawał, że nie wiem, kim pan jest, ale nic do pana nie mam. Tak mi się przynajmniej wydaje. - Po czym zawiesił głos. - Chciałbym tylko zadać panu kilka pytań, czego nie mogłem zrobić przy pańskich przyjaciółach, ponieważ ofiarami są ich żony, rozumie pan.

Nie rozumiałem.

- Cóż, nie jestem pewien, czy te wszystkie gwałty są dziełem tego samego człowieka. Zdarzył się bowiem jeszcze jeden, tu, w Saint Helier, ale nie informowaliśmy o tym prasy. Ofiara zmarła i nie uzyskaliśmy rysopisu sprawcy. Jak pan wie, takie rzeczy zyskują popularność, stają się w pewnym sensie modne. Jak te incydenty z chłopcami, którzy w ciemnych uliczkach podpalają staruszki... wystarczy, że jeden zacznie, i wszystkim innym się wydaje, że też tak powinni.

Wzdrygnąłem się. Mam wśród dobrych znajomych staruszki - nie wspominając już o chłopcach.

- Uzyskaliśmy próbkę spermy od żony lekarza, a wasz centenier zdobył drugą z prześcieradła pani Dave- nant... a przy okazji, ten facet nie jest nawet w połowie tak tępy, jak udaje... i obie pochodzą od tego samego rodzaju dawcy. Ale to tak, jakby stwierdzić, że pochodzą od kogoś z grupą krwi O. Poza tym, jak panu wiadomo, pan Breakspear nie chciał się zgodzić na pobranie próbki nasienia od swojej żony i nie mogliśmy jej także uzyskać od nowej ofiary, z powodów, w które nie muszę wchodzić. Nie mamy więc trzeciego nosiciela pośredniego.



Wiedziałem, o co zamierza mnie poprosić, ale przecież nie mogłem mu pomóc, nieprawdaż?

- Rozumiem, ale chyba nie mogę panu pomóc - odparłem.

- Cóż, ujmę to tak. Pańska szanowna małżonka zna obie panie, które zostały zgwałcone w tamtej okolicy, zgadza się? Hm, czy myśli pan, że mogły wspomnieć jej cokolwiek o... eee... intymnych szczegółach, o których być może wołały nie mówić mężom?

- Nie bardzo podążam za pańskim tokiem rozumowania - skłamałem.

- Owszem, rozumie pan, i to cholernie dobrze - warknął. - Mam na myśli rozmiary członka, czy był obrzezany, miał jakieś cechy szczególne, takie tam.

-Ach, pojmuję. Ojej. Mogę skorzystać z telefonu? Halo, Johanna? Posłuchaj...

- Dobrze - odparła po jakimś czasie. - Ale to „a fuj!”.

- My tu, w Zjednoczonym Królestwie, nie mówimy „a fuj!” - sprostowałem. - Mówimy: „a fe!”.

- My tak mówimy tylko na polu golfowym, ale niech ci będzie. I spróbuję załatwić tę sprawę. To może trochę potrwać. Będę musiała uciąć sobie pogawędkę z tą krową Sonią.

- Poplotkujecie sobie - rzuciłem figlarnie.

- A fe! - odrzekła z bezbłędną wymową.

- To może zająć kilka minut - oznajmiłem komisarzowi, patrząc na niego wymownie.

Wiedział, co chce przez to powiedzieć, postawił więc na biurku dużą butelkę jakiejś niemarkowej szkockiej, o pojemności ze czterdziestu uncji, i uniósł brwi. Uprzejmie skłoniłem głowę. Znalazł dwie szklanki; wyglądały trochę nieświeżo, ale szkocka whisky zabija wszelkie robactwo, jak wie każda pani domu.

Johanna oddzwoniła jakieś osiem płynnych uncji później i zrelacjonowała zdobyte wiadomości nieobecny, lekko rozbawionym tonem.

- To wszystko? - spytałem.

-A czego byś chciał... pornosa?

- Do widzenia – powiedziałem.

- Do widzenia - odparła. - I, Charlie, pamiętaj o umyciu zębów

dziś wieczorem, tak?

Odłożyłem słuchawkę i pozbierałem myśli.

- Moja żona przypomniała sobie, co pani Davenant powiedziała jej zaraz po napadzie - zacząłem referować komisarzowi. - Rozmawiała także z panią Breakspear i żoną lekarza. Wygląda na to, że ich zeznania są sprzeczne. Violet Davenant powiedziała: „Był wielki, jak u konia, i strasznie mnie bolało”. Sonia Breakspear opisała ten narząd jako „nic szczególnego”, a żona lekarza mówi: „Sama nie wiem... to znaczy, że one są różnej wielkości?”. Oczywiście kłamie; była pielęgniarką, a wszystkie pielęgniarki, które wychodzą za mąż za lekarzy, stają się dziewicami *ex officio*, co zrozumiałe.

- Tak słyszałem - przytaknął.

- Ale Johanna sądzi, że gdyby facet miał jakiegoś niewymiarowego, w jedną czy drugą stronę, to ta kobieta coś by o tym napomknęła.

- Uhm.

- A co do obrzezania, Violet by nie wiedziała, o co chodzi, Sonia mówi, że to nieważne, cokolwiek to znaczy, a żona lekarza uważa, że chyba tak. To niewiele daje, nieprawdaż?

- Nie, rzeczywiście nie. Więcej mówi o tych paniach niż o gwałcicielu, jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

Popatrzyliśmy na siebie.

- Właśnie - powiedziałem w końcu.

Kiedy niedługo potem wychodziłem, westchnął, jakby zyskał przyjaciela. Ja z mojej strony zachowałem rezerwę.

Nie musiałem brać taksówki, udostępni mi wóz policyjny z kierowcą. Po przyjeździe na miejsce zamierzałem dać facetowi funta, ale zdecydowanie odmówił. Nie chciał także wejść na drinka; pewnie wziął mnie za szpiega z Biura Promocji Turystyki, pocziwina. Przyjął natomiast - na Policyjny Fundusz Sportowy - butelkę cypryjskiej sherry, którą jedno z nas niechcący wygrało „na loterii”, jeśli wiecie, co mam na myśli. Poczulem litość dla sportowca, który miał zdobyć tę wątpliwą nagrodę, ale w końcu wiedzą, co ryzykują, wstępując do policji, mam rację?

Z ozorem wołowym postępuje się tak: prosisz rzeźnika, żeby przez dwa tygodnie potrzymał go w słoju z marynatą, i lekceważysz jego płaczące uwagi, że powinien zostać wyjęty po ośmiu dniach. Potem płuczesz ozór starannie, wrzucasz do najmniejszego naczynia żaroodpornego, do jakiego tylko się zmieści, wtykając w szczeliny pokrojoną cebulę, marchew i zioła. Zalewasz wszystko kieliszkiem wina, piwa, cydru i - jeśli kucharka ci pozwoli - gęstą, esencjonalną galaretą z dna garnka z tłuszczem. Wstawiasz naczynie do pieca, na sam tył, i trzymasz tam, dopóki już nie możesz wytrzymać; wtedy je wyjmujesz, wykładasz ozór na deskę i - zmagiasz modlitwę dziękczynną Temu, kto dał niememu wołowi język. (Możesz, rzecz jasna, poczekać, aż wystygnie i łatwiej go będzie pokroić, ale wtedy zauważysz, że nie musisz go zjeść tak dużo).

Zmierzam do tego - niezręcznie jak to ja - że na kolację mieliśmy ozór wołowy z pysznymi gorzkawymi liśćmi rzepy i pommes duchesse dla dekoracji. Eric i Johanna poczynali sobie całkiem nieźle, ale i tak pobiliśmy ich na głowę.

Później, osunąwszy się między poduszki a brzoskwiniową brandy, wyczułem fałszywą nutę. Jock, sprzątając ze stołu resztki mięsa, miał na sobie czarny sweter z dżer- seju albo guernseju, czarne spodnie i czarne buty do biegania, co nadawało mu wszelkie znamiona człowieka, który nosi przy sobie śmiercionośną broń.

- Co to ma być?! - zawołałem. - Co to ma być?! Znowu naoglądałeś się telewizji? Mówiłem ci przecież, mówiłem...

- Wychodzimy dziś wieczór, panie Charlie, co nie? Jedziemy do kaplicy, nie pamięta pan?

Prawdą mówiąc, całkiem o tym zapomniałem. Nie będę udawał, że ozór wołowy obrócił się w popiół w moim brzuchu, ale z pewnością zaczął zdradzać oznaki niezadowolenia ze swojego losu.

- Będziemy musieli to odłożyć, Jock. Zapomniałem załatwić koguta.

- Ja i brat Eric zorganizowaliśmy ptaka po południu. Ładna sztuka, czarna jak pański kapelusz.

Wypilem całą kawę, jaka została, i łyknąłem pigułkę, którą podsunął mi Jock. Później, jak to miałem w zwyczaju, kiedy wybierałem się na czarną mszę w zimnej, wilgotnej średniowiecznej kaplicy, spakowałem do teczki kilka żelaznych racji żywnościowych: szkocką w płynie, kanapki z bazanciną i mały słoik pâté de lièvre, dodając po namyśle jeszcze zgrzebną, ciepłą pizamę - kto mógł wiedzieć, gdzie przyjdzie mi spędzić noc? - i pomny zapowiedzi Johanny, szczoteczkę oraz pastę do zębów.

Podjechaliśmy pod dom George'a, skąd zabraliśmy jego i Sama, obu narzekających i niezadowolonych, a następnie na ośmiu kółkach ruszyliśmy w dalszą drogę: Jock i Eric moim mini, który miał im służyć do ucieczki, a reszta wielkim, sprawnym, nudnym roverem George'a. Tuż przed odjazdem uprzejmie zapytałem, czy jego samochód jest zarejestrowany, opodatkowany, zatankowany i po przeglądzie. Oczywiście spojrzął na mnie pogardliwie, ale jestem do tego przyzwyczajony. Ludzie zawsze patrzą na mnie pogardliwie; mają mnie za szurniętego, rozumiecie. Jak powiedziałem, ruszyliśmy więc w noc ku La Hougue Bie i wkrótce przemyślnie się zgubiliśmy, o co na Jersey zadziwiająco łatwo, ponieważ wszystkie wiejskie drogi, za sprawą tak zwanej La Visite du Branquage<sup>62</sup>, wyglądają identycznie. Gubienie się na Jersey to jeden z niewielu sportów na świeżym powietrzu, którym można się oddawać w zimniejsze wieczory; wymaga sporej ilości benzyny, ale pozwala zaoszczędzić fortunę na czym innym. Żaden z nas się za bardzo nie wkurzył, z wyjątkiem George'a, oczywiście. Dotarłszy w końcu na miejsce, zaparkowaliśmy rovera w dyskretnej odległości; Jock, zdaje się, już zdążył ukryć mini w jakimś sekretnym zakątku, który wcześniej zbadał. Spotkaliśmy się przy głównym wejściu. Nie warto było nawet gmerać przy kłódce; George, jak to wojskowy, przypuścił imponujący atak na bramę, a ja, przepełniony obrzydliwą dumą, ruszyłem jego śladem i paskudnie poharatałem sobie brzuszek.

---

62 *La Visite du Branquage* (franc.) - inspekcje dróg na Jersey i Guernsey, mające na celu sprawdzenie, czy nie zarastają ich uprawiane przez właścicieli gospodarstw rośliny.

Sam i Eric, którzy dawno wyzbyli się jakiegokolwiek ducha rywalizacji, po prostu precyzyjnie się między prętami. Nie widziałem, co zrobił Jock, ale to zawodowiec - po prostu zmaterializował się w ciemności obok nas.

Wszyscy w posepnym nastroju skupiliśmy się razem za bramą, podczas gdy Jock bezszelestnie oddalił się w noc - skrzydlatostopy jak każdy nornik wyruszający na zwiad<sup>63</sup> - aby się upewnić, że poczciwi właściciele grobowca są już w łózkach. Wydawało się, że minęły wieki, zanim wrócił.

- Przepraszam, panie Charlie, ale była tam ta para w zalotach, rozumie pan, i musiałem napędzić im strachu, co nie? Postarać się, żeby se poszli, rozumie pan?

- I co, poszli?

Spojrzał na mnie z urazą. Kiedy Jock stara się, żeby ktoś sobie poszedł, to ten ktoś sobie idzie.

- Sie wie, panie Charlie. Uciekli jak krwawiące króliki, on trzymał gacie w garści, a ona zostawiła za sobą wie pan co. Szkoda, żeby się zmarnowały, więc mam je w kieszeni, gdyby chciał pan sprawdzić.

Wzdrygnąłem się lekko i odpowiedziałem, że wierzę mu na słowo.

Popędzani przez niecierpliwących się już George'a i Sama, ruszyliśmy w stronę kopca, tej odrażającej góry flaków minionych stuleci, które odeszły w przeszłość i nigdy nie zostaną nawet w połowie zrozumiane. Jock zajął się kłódką i łańcuchem, które strzegły wejścia do podziemnego tunelu wiodącego do komory grobowej, po czym zniknął w nim razem z Erikiem, moim magnetofonem i plastikową reklamówką z najlepszymi ropuchami, jakie tylko dało się znaleźć. Kiedy pojawili się z powrotem, wszyscy skierowaliśmy się krętą ścieżką do kaplicy wieńczącej kopiec. Jock się nie mylił; zamek kaplicy Jerozolimskiej uległ jego orężowi, w ramach protestu wydając tylko stłumione brzęknięcie.

Eric wkroczył do kaplicy krokiem profesjonalisty, jakby się z tym urodził. George, Sam i ja podążyliśmy za nim, wykazując

---

63 Nawiązanie do zdania z powieści Evelynna Waugh *Dziennikarz z przypadku*.

różnego stopnia powściągliwość. Kogut został nakarmiony przez Jocka namoczonymi w rumie rodzynkami; chcę zaznaczyć, że to nie ja go niosłem. Eric nie tracił czasu; skropił odrobiną tego czy owego pozostałości dawnego ołtarza, po czym wyjął swój wspaniały welon. Reszta nas skupiła się z pewną taką nieśmiałością w głębi malutkiego prezbiterium - nie większego od łazienki w lepszym wiejskim domu. Mówiąc „reszta nas”, nie liczę oczywiście Jocka, który czał się w ciemnym przedsionku - swoim ulubionym miejscu podczas wszelkich niegodziwości - i słusznie zresztą.

Chociaż przyświecał nam szlachetny cel, to podejrzewam, że gdyby kazano nam pokazać ręce, wyszłoby na jaw, że wszyscy jednomyślnie pragniemy wrócić do domu i zapomnieć o całej sprawie. Z wyjątkiem Erica, który aż rósł, przybierając postać rzemieślnika, przekonanego, że robi coś, czego nikt nie umie robić lepiej niż on; albo, jeśli wolicie, przejawiając godność naukowca, który pracuje nad bombą wodorową, rozdarty między świadomością, że działa w złej sprawie, a jednoczesną potrzebą prowadzenia badań naukowych i zapisania się w historii ludzkości.

- A teraz bądźcie cicho! - nakazał nagle Eric tak władczym tonem, że wszyscy stanęliśmy na baczność.

Miał na sobie coś w rodzaju białej sutanny z ciężkiego jedwabiu; jedynym źródłem światła była pojedyncza świeca, którą postawił na ołtarzu, zwykła biała, jak zauważyłem, i całkiem prosta. Ewidentnie nie stosował żadnych sztuczek, które by ucieleśniały słowo „abraka- dabra”. Świeca rzucała jedynie blask na leżący przy nim tekst czarnej mszy i mały, choć niepokojący fragment haftu na welonie.

Eric wypowiedział pod nosem kilka zdań - albo tylko stwarzał takie wrażenie. Nie starałem się ich zrozumieć, wystarczą mi kłopoty, które mam. Potem wysokim, czystym głosem zaintonował introit, z modulacją typową dla dawnych księży irlandzkich - i z tego, co wiem, także obecnych. Sam podjął niektóre łacińskie świństwa, które zaczęły wkradać się do ceremoniału, a George udawał Greka. Ja, który przepisałem, a następnie wystukałem na maszynie tekst mszy, nie byłem

zaskoczony tymi fragmentami, ale w ustach Erica brzmiały z każdą chwilą coraz paskudniej. Kiedy doszedł do części, która w manuskrypcie lorda Dunromina została zamazana czerwonym atramentem z adnotacją *secrets infâmes*, jego głos obniżył się złowieszczo o całe dwie oktawy. Niskim, przerażającym tonem Eric zaczął rytmicznie wyliczać w porządku alfabetycznym imiona: Astaroth, Astarte, Baal, Chemos - i tym podobne. Z zadowoleniem stwierdzam, że nie pamiętam więcej niż kilka z nich - a gdybym nawet pamiętał, z pewnością nie powinienem ich tu przywoływać; nie jestem przesądny, ale uważam, że lepiej nie dźgać w oko śpiących bóstw ostrym patykiem. Na pewno rozumiecie, co chcę przez to powiedzieć.

Wszyscy trzech byliśmy, jak sądzę, przygotowani na te po części nudne, a po części krępujące chwile, ale zaskoczyło nas, że drobny Eric Tichborne emanuje taką władzą - i że nawet zmienił się fizycznie. Kiedy wrócił do księżowskiego, a właściwie klerykowskiego zawodzenia, jego głos zdawał się wznosić i opadać z niemal nieludzką modulacją, którą kiedyś już słyszałem. Poprzedniej nocy. Z własnego magnetofonu. Oj, przestało mi się to podobać.

Podczas szczególnie niesmacznego szyderstwa z *Kyrie eleison* głos Erica drżał z emocji, jakby tłumionego śmiechu albo - też tłumionego - płaczu. Z pewnością nie był to efekt *pastis*. Ale najdziwniejsze wydarzyło się później, gdy zaczął mówić coraz szybciej i szybciej, wyrzucając z siebie słowa z prędkością, do której ludzka krtka nie byłaby zdolna. To tempo narastało, aż mowa zamieniła się w denerwujący trajkot - a tak - odtwarzanej ze zbyt dużą szybkością taśmy magnetofonowej. To, nie wiadomo dlaczego, nagle się skończyło i dało się słyszeć już tylko jego dyszący oddech. Gdy tak patrzyliśmy i słuchaliśmy, to też niespodziewanie ustało. Eric zgął się i dostał jakby ataku astmy; jego drobnym ciałem zaczęły wstrząsać spazmatyczny kaszel i odruchy wymiotne, między którymi wykrzykiwał fragmenty Ezechiela: „Ściskano ich piersi i przygniatano dziewicze łona... powabnym młodzieńcom i jeźdźcom dosiadającym konia...<sup>64</sup>”

---

64 23:3,6.

George podniósł wzrok i spojrzał na mnie pytająco. Pokręciłem głową. Lepiej było się w to nie mieszać. Zgięty wpół ksiądz powoli zaczął dochodzić do siebie, oparł się o ołtarz i kontynuował coraz ohydniejszą ceremonię, ale wydawało się, że słowa, które wypowiadał, sprawiają mu coraz większy fizyczny ból. Było to pewnie tylko wrażenie wywoływane przez płomień świecy, choć czułem, że miota nim nie tylko przeciąg. Zerknąłem ukradkiem na pozostałych; na twarzy George'a, który miał zaciśnięte usta, malowały się dezaprobata i niesmak, a rysy Sama, ku mojemu zaskoczeniu, były ściągnięte w wyrazie współczucia i jeśli się nie mylę, nosiły ślady łez.

Jak wyglądała moja twarz, tego nie wiem.

Tymczasem przy ołtarzu brat Tichborne, wymachując widocznymi w blasku świecy rękami, chwiał się i rzucał, a jego głos stawał się coraz bardziej przenikliwy, coraz bardziej szalony. Nie zapytałem później pozostałych, co oni widzieli, ale według mnie światło jakby stało się jaśniejsze. Nagle uświadomiłem sobie, że znajduję się dokładnie nad komorą grobową dolmenu. Pod stopami poczułem drzenie, jakby wielkie płyty sklepienia zaczęły się przesuwac na podtrzymujących je bocznych ścianach. Jestem bardzo dorosły, dojrzały i nieprzesądny bynajmniej, ale muszę przyznać, że odczułem żal, iż wyrosłem już z wieku, w którym człowiek pragnie znaleźć się u boku matki, jeśli rozumiecie, co mam na myśli. Nie to, żeby coś pomogła, oczywiście; nie była tego rodzaju matką.

Na ołtarzu zapłonęło coś, co wydzielalo gęsty, aromatyczny dym, który wyraźnie zmacił nam w głowach. Pojawił się kogut i zdarzyły mu się pewne okropne rzeczy, którym w innym czasie i miejscu byśmy z krzykiem zapobiegli. Ksiądz odwrócił się do nas, podnosząc ręce i zadzierając sutannę nad pępek, żeby nie pobrudzić jej krwią. George wykonał obrót i zasłonił twarz dłońmi. Sam się nie poruszył, ale słyszałem, że kwili jak dziecko, cicho, żałośnie. Jestem, jak już nieraz mówiłem, dojrzałym i rozsądnym mężczyzną; co więcej, osobiście przepisałem tekst mszy i wiedziałem, czego się spodziewać - dlatego ze zdziwieniem zauważyłem, że krzyżuję palce obu dłoni.



To nie mógł być głos Erica, gdy zaczął wypowiadać wielkie pozdrowienie i przekleństwo świętego Sekariusza; tak mały człowieczek nie byłby w stanie ryczeć i wyć w równie niesmaczny sposób. Nie wierzę też, że skały pod kaplicą poruszały się i stękały tak obrzydliwie, jak się wydawało. W tej ciężkiej, otepiałej atmosferze, wśród atawistycznych, zwierzęcych odgłosów, nic nie było realne i kiedy Eric jakby uniósł się z osiem cali nad podłogę, zdziwiłem się tylko, że wcześniej nie zauważyłem, iż jest bosy, a jego prawa stopa jest okropnie zdeformowana. Jąkając się, wyliczał właśnie rzeczy, które święty Sekariusz uczyni temu, przeciwko komu się go wzywa, kiedy nagle spostrzegłem, że poczerniał na twarzy. I wtedy padł na ziemię jak długi. Jego twarz, gdy uderzyła o kamienną posadzkę, wydała dźwięk, którego od tamtej pory nie mogę zapomnieć, choć próbuję. Znalazła się kilka cali od mojego buta. Jedwabna sutanna uniosła się prawie do pach; ciało nie wyglądało ładnie. Wciąż wydawał dziwne dźwięki - skąd miałem wiedzieć, że jest martwy?

W każdym razie wówczas drzwi gwałtownie się otworzyły, do środka wpadli wszelkiej maści centenierzy, vingtenierzy, podwładni komisarza, a nawet funkcjonariusze strasznej opłacanej policji i aresztowali nas wszystkich wielokrotnie.

Bo widzicie, zgodnie z moim planem mieliśmy być elegancko zatrzymani, oskarżeni o włamanie i wtargnięcie, a następnego dnia ukarani grzywną w wysokości pięciu szylingów od łebka, wcześniej złożywшы zeznania zawierające wystarczająco dużo szczegółów, żeby „Jersey Evening Post” rozgłosił wszem wobec i każdemu z osobna - a w szczególności oczywiście przesądnemu gwałcielowi - że na wyspie celebrowano mszę świętego Sekariusza, której obiektem był właśnie on. Wiedziony być może fałszywą skromnością, nie uprzedziłem George'a ani Sama, że według wszelkiego prawdopodobieństwa będziemy musieli spędzić noc poza domem, czyli w czymś, co wy i ja nazywamy pudłem - nie lubię przyczyniać ludziom przedwcześnie niepokoju, a wy? - zresztą gdybym im o tym powiedział, na pewno nie zgodziliby się na ten plan.

Jak się okazało, ani Sam, ani George nie pozbiali się w

drodze do glin-shopu przy Rouge Bouillon i w przeciwieństwie do mnie nie byli przygotowani na to, że mimowolnie staną się gośćmi komisarza policji, dopóki nie dostali - nie dostaliśmy - po kocu, filiżance kakao i wielkiej pajdzie chleba ze smalcem. Na szczęście było tam mnóstwo wolnych cel - sezon turystyczny dopiero się zaczął - i dostałem jedną tylko dla siebie, dzięki czemu oszczędzone mi zostały wyrzuty, którymi w innym razie mogliby pod wpływem emocji obrzucić mnie przyjaciele. Nieskończenie miły policjant strażnik pozwolił mi zatrzymać teczkę z piżamą, kanapkami i szkocką, przyjmując jako wyraz wdzięczności za ledwie tę ostatnią. Nie będę udawał, że dobrze spałem, w każdym razie umyłem zęby, w przeciwieństwie do innych, których mógłbym wymienić.

Gdzie czerwone liście lat minionych więdną,  
Gdzie dawne zbrodnie, czyny usłane gromadnie,  
Splecione z opacznością oraz myślą błędną,  
Tam grzech bym popełnił, nim śmierć mnie dopadnie,  
By niechybnie zniszczyć, niechybnie przekreślić...

*Tryumf czasu*

Stawiwszy się w gabinecie komisarza o wpół do dziewiątej następnego ranka, tworzyliśmy ponurą gromadkę. George i Sam zachowywali się tak, jakby mieli mi za złe, że przezornie spakowałem szczoteczkę do zębów i całą resztę. Może także nie podobało im się, że zostali zamknięci w pudle; są tacy ludzie.

George krążył po pokoju, cztery kroki w lewo, cztery w prawo, jak kapitan bardzo małego okrętu krążący po tym, po czym krąży dowódca jednostki pływającej. Wyrzucał z siebie całą listę nazwisk wpływowych ludzi, do których, czego nie ukrywał, zamierzał zadzwonić w wymienionym porządku. Sam siedział zgarbiony; po wypiciu przed lunchem kilku drinków jest, tak jak ja, wspaniałym gawędziarzem, ale wcześniej - nie bardzo.

Kiedy George wyczerpał już swój pamięciowy notes z telefonami, komisarz policji chrząknął w sposób, który zdradzał pewne zadowolenie.

- Ciężkie zarzuty - oświadczył. - Cięższe być może, niż panowie zdają sobie sprawę. Z pewnością cięższe, niż się spodziewaliśmy. Zostaną potraktowane poważnie. Oj, poważnie. Bez poślizgnięcia, rozumieją panowie.

Sam poczynił wzmiankę o południowym końcu przewodu pokarmowego, w liczbie mnogiej, a potem znowu się zgarbił.

- O nie, proszę pana - odezwał się k.p. - takie podejście nic nie pomoże, ani trochę. Konstruktywność. To jest klucz. Bądźmy

konstruktywni. Zastanówmy się, co możemy zrobić. Jak najmniej szkód, jak najmniej rozgłosu, jak najmniejszy koszt dla podatnika.

Sam zasugerował, co mogłoby - albo nie - sprawić przyjemność podatnikowi.

- No właśnie, proszę pana. To interesujące z biologicznego punktu widzenia, ale niekonstruktywne. Na szczęście nie ma tu policyjnego stenografa, co?

Ta delikatna groźba spłynęła lekko na ziemię.

Sam mruknął: „Przepraszam”, a George odparł: „Hrmf”.

Ja powiedziałem, że nie pijam kakao na śniadanie. K.p. w obraźliwy sposób wyjął butelkę whisky.

Potem wytłumaczył nam ze słabo maskowaną lubością, że znaleźliśmy się na rwącej rzece, której nazwy nie sposób wymówić, w betonowym kanoe bez wiosła i jedyne, co może zrobić, zanim wtrąci nas do swojego najgłębszego lochu, to pozwolić każdemu na jeden telefon. Adwokat George’a, najlepszy, jakiego można sobie wyobrazić, powtarzał w kółko: „Mój Boże, mój Boże”, dopóki George nie trzasnął słuchawką. Adwokat Sama mówił: „Oj, oj, oj, oj”, aż Sam powiedział mu krótko, że nie znosi beczenia w kozie.

Mój adwokat jest zwykłym prawnikiem i jego reakcja była rzeczowa.

- Zeskrob glinę z butów - powiedział rzeczowo.

Dwie minuty później k.p. poinformował nas – nie mniej rzeczowo - że właśnie się zorientował, iż nie może nas zatrzymać, dopóki nie wymyśli jakichś lepszych zarzutów, i jeśli zechcemy przejść przez drobne formalności przy kasie, na razie będziemy wolni.

Zechcieliśmy. Byłem gotów pogawędzić w drodze powrotnej, ale inni wydawali się jednocześnie milczący i niemi. Nigdy nie zrozumieć ludzi.

Johanna powitała mnie w domu tajemniczym uśmiechem, tym, który sprawia, że wygląda jak Mona Lisa dla bogatych, oraz siostrzanym pocałunkiem, którym żona mówi, że cię kocha, ale... Darowałem sobie wyjaśnienia i umknąłem do garderoby, prosząc, żeby zawołano mnie dwadzieścia minut

przed lunchem.

- Dobrze, kochanie - odparła. Jest niezwykle wymowna.

W końcu to Jock obudził mnie z nieprzyjemnej drzemki, pełnej dręczących koszmarów.

- Kotlety, panie Charlie - rzucił - z frytkami i fasolką.

- Zaintrygowałeś mnie. A przy okazji, Jock, udało ci się uciec zeszłej nocy bez żadnych... eee... tarć?

- Uciec? - warknął. - Ci goście nie złapaliby nawet syfa w Port Saidzie.

- Proszę, Jock. Nie psuj mi apetytu.

- Dobra. Kucharka właśnie odwróciła kotlety, więc ma pan ze cztery minuty.

Udało mi się. Pamiętam żywo te kotlety, były pyszne, tak samo jak fasolka.

Popołudnie zeszło mi na rozmowach telefonicznych; czułem się jak W.B. Yeats na pełnej pszczół polanie<sup>65</sup>. Najpierw zadzwonił George, który zganiał mnie surowo, mówiąc, że Sonia, sama przez całą noc, szalała z niepokoju. („Phi!” - powiedziałem na to w głębi ducha). Zamierzał sprowadzić kwiat palestry, żeby spacyfikować Sąd Królewski Jersey.

- Nie bądź głupi, do cholery - odparłem na to. - Po pierwsze, tu twoi wybitni adwokaci nie zrobią na nikim wrażenia, a po drugie, przeniknięcie zawilości miejscowego prawa zajęłoby im całe lata. Daj spokój. Zaufaj wujkowi Charliemu.

- Posłuchaj, Mortdecai... - zaczął.

Wyjaśniłem mu uprzejmie, że nigdy nie słucham zdań, które zaczynają się od tych słów. Nie dał się zniechęcić, więc musiałem mu przerwać, aby wytłumaczyć, że chociaż nie chodzę do kościoła, brzydzę się bluźnierstwem. Z pół minuty dyszał do słuchawki. Poczulem, że muszę przyjść mu z pomocą.

- Mamy ładną pogodę jak na tę porę roku, nieprawdaż?

Rozłączył się. Zabrałem się do rozwiązywania krzyżówki w „Timesie”.

Następnie zadzwonił Sam.

- Charlie, całkiem postradałeś zmysły czy wiesz, co robisz? George uważa, że mówisz jak stuknięty.

---

65 Aluzja do wiersza *The Lake Isle of Innisfree*.

- Czy kiedykolwiek cię zawiodłem? - spytałem po prostu.
- Czy kiedykolwiek wcześniej dałem ci okazję?
- Jak się ma Violet?
- Całkowicie zamknęła się w sobie. Diagnoza: nie wiadomo. Rokowania: trudno powiedzieć. Jest odżywiana dożylnie. Zmieńmy temat.
- Dobrze. Mieliliśmy na lunch kotlety. Przyjdź na kolację, Jock własnoręcznie przyrządza aloo gosht po bangalursku<sup>66</sup>.
- Charlie, chyba zdajesz sobie sprawę, że gdybyś nie przeprowadził tego jak trzeba, mógłbym cię własnoręcznie wypatroszyć?
- Oczywiście. Ale gdybym nie przeprowadził tego jak trzeba, może byś nie musiał. Przyjdziesz na kolację?
- No dobrze. O ósmej?
- Przyjdź wcześniej. Chłapiemy sobie.
- W porządku.
- Johanna, która tymczasem weszła do pokoju, zauważyła:
- Jak to miło, że twoi przyjaciele zachodzą do nas tak często.
- Powiedz Jockowi, żeby dodał jeszcze ziemniaków do curry - odparłem. - Kochanie.
- Następny był telefon, którego obawiałem się najbardziej: od wesołego Sollyego, mojego wspaniałego prawnika.
- Ho, ho, ho! - zawołał radośnie, zacierając ręce. (Ma aparat z funkcją głośnomówiącą, niezbędną dla zatwardziałych zacieraczy rąk). - Ho, ho! Wpakowałaś się w niezłe bagno. Nie myślałem, że cię w takim zobaczę. Będziemy tworzyć historię prawa!
- Mniej śmiechu, a więcej faktów - zażądałem cierpko.
- A tak, hm, to zrozumiałe, że się denerwujesz. A przy okazji, nie masz wiekowych, siwowłosych rodziców, których mógłbyś wpędzić do grobu? Nie? To chyba dobra wiadomość. Bo sprawa nie wygląda najlepiej. Jeszcze nie bardzo wiedzą, ile przedstawia ci zarzutów, połowa urzędników z prokuratury generalnej pracuje nad tym dzień i noc, cmokając nad ociekającą tłuszczem pieczenią. Wstępna lista przedstawia się tak:

---

66 Aloo gosht - duszona baranina z ziemniakami w ostrym sosie.

Włamanie i naruszenie własności.

Zakłócanie spokoju.

Obraza moralności z powodu użycia nieparlamentarnego języka.

Utrudnianie policji wykonywania czynności służbowych.

Świętokradztwo według Ustawy o przestępczości z tysiąc dziewięćset cztertnastego roku, część dwudziesta czwarta. Tu najwyższa kara to dożywocie, założę się, że tego nie wiedziałeś, cha, cha.

Podburzanie. Hm, owszem, to dyskusyjne.

*Article première de la Loi pour empêcher le mauvais traitement des animaux*<sup>67</sup>... za to grożą tylko trzy miesiące. A tak, i dwieście funtów grzywny.

*Article première de la Loi modifiant le droit criminel (sodomie & bestialité) confirmée par ordre de Sa Majesté en conseil*<sup>68</sup>, mam nadzieję, że za to cię nie skażą, bo tu najwyższą karą też jest dożywocie, a najmniejszą trzy lata. Ostatniego skazanego jedynie deportowano, ale był niepoczytalny.

Kradzież koguta czy kogutka... farmer się zaklina, że Jock mu za niego nie zapłacił. Może to zostać zredukowane do „uprowadzenia bez zgody właściciela”, cha, cha.

Włóczęgostwo. Nie miałeś przy sobie żadnych pieniędzy, rozumiesz.

Niepodpisane prawo jazdy.

Posiadanie narkotyków (zapobieganie nadużywaniu), przepis (obowiązujący na Jersey) z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego czwartego... zależy od wyników analizy tego, co brat Tichborne palił na ołtarzu.

Naruszenie *La Loi sur l'exercice de la médecine et chirurgie vétérinaire*<sup>69</sup>.

Nie miałem czasu poszukać lusterka, ale go nie po-

---

67 *Article première de la Loi pour empêcher...* (franc.) - artykuł pierwszy Ustawy o przeciwdziałaniu złemu traktowaniu zwierząt.

68 *Article première de la Loi modifiant...* (franc.) - artykuł pierwszy Ustawy zmieniającej przepisy prawa karnego (w zakresie pederastii i zoofilii) za rozporządzeniem Jej Królewskiej Mości.

69 *La Loi sur l'exercice...* (franc.) - Ustawa o praktyce medycznej i chirurgii weterynaryjnej.

trzebowałem; mogę powiedzieć bez wahania, że moja twarz stała się biała jak prześcieradło - a może nawet bielsza od większości z nich.

- To wszystko? - mężnie zapytałem drżącym głosem.

-Ależ skąd, Charlie, ależ skąd! Obawiam się, że wszystkie te zarzuty można podnieść do kwadratu, dodając przed nimi „spiskowanie w celu”. Grozi ci też spora liczba oskarżeń z kodeksu cywilnego, takich jak:

Wtargnięcie do kaplicy i dokonanie zniszczeń.

Wtargnięcie do dolmenu i dokonanie zniszczeń.

Wtargnięcie na teren La Hougue Bie i nieuiszczenie opłaty za wejście.

Dokonanie szkód w odniesieniu do koguta czy kogucika.

Na pewno wymyślą jeszcze więcej, bo dopiero zaczęli. Obawiam się, że spece od prawa eklezjastycznego też coś znajdują... a jeśli oni wniosą skargę, na twoim miejscu od razu przyznałbym się do winy; sprawy w ich sądach ciągną się latami i koszty cię zrujnują.

Na przykład jeśli dowie się o tym biskupstwo Coutances, będziesz miał kłopoty; tamtejszy biskup dysponuje tak zwanym prawem ingerencji we wszystko, co dotyczy przestępstw księży.

Istnieje też szczególnie niebezpieczna bulla papieska z tysiąc czterysta osiemdziesiątego trzeciego roku, która wciąż obowiązuje. Według niej papież Sykstus IV chroni kościoły na Jersey przed wszelkiego rodzaju przestępstwami, grożąc automatyczną karą „ekskomuniki, anatemy, wiecznego przekleństwa i konfiskaty mienia”. Nie martwiłbym się tym zbyt, chyba że jesteś papistą... a ta część o konfiskacie mienia to w dzisiejszych czasach śliska sprawa.

- Och, to chwała Bogu! - westchnąłem ciężko. - Czy już wyczerpałeś wszystkie możliwości? Bo słyszałem o facecie z Nowego Orleanu, który odsiaduje dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć lat, a nie jestem już młodzieniaszkiem, rozumiesz.

- Cóż, niestety, w twoim przypadku wyrok może być znacznie dłuższy. Na Jersey praktycznie nie istnieje oficjalne, skodyfikowane prawo karne; dosłownie wszystkie sprawy podlegają prawu zwyczajowemu. Co to oznacza dla zwykłego



zjadacza chleba? Ze prokurator generalny może pozwać cię za wszystko, co podpada pod obraźliwe albo antyspołeczne zachowanie, jedynie wstawiając słowo „bezprawne” przed zarzutem o to, co zrobiłeś i co wzbudziło sprzeciw. Podążasz za mną?

Potwierdziłem jękliwie.

- Ale pozwól, że wprowadzę trochę optymizmu do twojego życia. Wszystkie ubezpieczenia samochodowe obowiązujące wewnątrznie są automatycznie nieważne, jeśli pojazd został użyty do nielegalnych celów, więc z pewnością przyskrzynię George’a Breakspeara za jazdę bez ubezpieczenia. Tak, pomyślałem, że to ci poprawi trochę humor. Och, a przy okazji, masz szczęście, że swoją paskudną ceremonią nie przywołaliście samego diabła; obecnie obowiązują ograniczenia w związku z przyszczyką, przez co podpadalibyście pod Ustawę o chorobach zwierzęcych. Za transport zwierzęcia kopytnego bez zezwolenia, cha, cha!

- Tak, rzeczywiście „cha, cha!”. Co mam w tej sytuacji zrobić?

- Czekać - odparł - i się modlić.

Odłożyłem słuchawkę.

Ani czekanie, ani modlenie nie należą do umiejętności, którymi mógłbym się pochwalić. Sytuacja wymagała namysłu - namysł zaś wymaga szkockiej, jak zgodnie twierdzą wszyscy wielcy myśliciele, a ja w chwili słabości złożyłem Johannie absurdalną obietnicę. Zegar wskazywał za dziesięć trzecia. Przesunąłem jego wskazówki na pięć po szóstej i zadzwoniłem po Jocka, który w wielce niesubordynowany sposób wniósł na tacy życiodajne trunki i bez słowa przestawił z powrotem wskazówki zegara.

- Jock - powiedziałem, gdy z karafki dobył się bulgot - chyba wdepnąłem w gówno. Z powodu śmierci brata Tichborne’a, rozumiesz. Trudno się teraz z tego wykaraskać.

- To nie była jego wina, co nie? - zapytał Jock ponuro.

- Oczywiście, że nie, był wspaniałym facetem, wcieleniem uprzejmości. Nie śniło mu się, że swoją śmiercią wpędzi nas w kłopoty. Ale to nie zmienia faktu, że wszystko się skomplikowało. Co należy zrobić?

- Całowanie działa na waszą korzyść, co nie? Szczególnie na Jersey.

- Nigdy właściwie nie rozumiałem, co to znaczy. Co to znaczy według ciebie?

- Hm, jeśli psy - miał na myśli wydział kryminalny - za bardzo dobierają się do ciebie, dzwoniś do jednego z kumpli, z którym siedziałeś w borstalu, a on skarży gliniarza o wzięcie łapówki. Nieważne, że sprawa jest grubymi nićmi szyta; muszą gościa zawiesić, dopóki nie przeprowadzą śledztwa, a nowy gliniarz, któremu dają twoją sprawę, nie ma kontaktów, no nie? A tamten większość tego, co miał przeciwko tobie, trzymał w głowie, no nie? Więc zyskujesz kilka miesięcy, żeby pokombinować, ka-pe-wu?

- Chyba ka-pe-wu. Wielkie nieba! Ale taki jest świat. Nic innego nie przychodzi mi do głowy. Dziękuję ci, Jock.

Zadzwoń do George'a.

- George - powiedziałem najśłodziej, jak umiałem - naprawdę muszę cię przeprosić, że zachowałem się niegrzecznie. Poniosło mnie z emocji, rozumiesz. Nie byłem sobą, tak?

Uznałem jego pomruk za przyjęcie przeprosin.

- Wydaje mi się - ciągnąłem - że naszym hasłem przewodnim powinien być teraz „pocałunek śmierci”... Musimy użyć naszych wpływów, wyrzucić pewną presję, nie sądzisz? Na przykład znasz bardziej znaczących facetów na Jersey; byłeś z którymś z nich w borst... to znaczy w Harrow<sup>70</sup>? Mam na myśli kogoś takiego jak ten, do którego dzwoniłeś wczoraj z komendy.

- Owszem, znam kilku takich.

- Świetnie. Zaproś ich na herbatę, nakarm delikatesami... gorącymi racuchami z masłem, pierogami z mięsem, wiśniówką... tym wszystkim, czego nie wolno im jeść ani pić w domu... a potem przypomnij im o dawnych szkolnych przygodach, tych wszystkich niewinnych figlach, tego rodzaju rzeczach.

- Właśnie to robię. Czy coś jeszcze?

- Nie, właściwie nie.

---

<sup>70</sup> Harrow School - prywatna szkoła dla chłopców w Anglii.

- No to do widzenia.

- Do widzenia, George.

Myśl o gorących racuchach z masłem złapała mnie za gardło jak tygrysyca; zapragnąłem ich z niezwykłą siłą. Powędrowałem więc do kuchni, gdzie Jock wklejał zdjęcia Shirley Tempie do swojego albumu z wycinkami.

- Jock - rzuciłem od niechcienia - jak myślisz, mamy w domu jakieś gorące racuchy z masłem?

Łypnął na mnie okiem.

- Wie pan doskonale, co pani Mortdecaiowa mówi o gorących racuchach z masłem, panie Charlie. „Lepiej nam bez nich”, powiada.

- Ale to szczególna sytuacja - jęknąłem. - Potrzebuję tych racuchów, nie widzisz?

Zachował kamienną minę.

- Powiem ci coś, Jock; zapomnij wspomnieć pani Mortdecaiowej o gorących racuchach z masłem, a ja zapomnę wspomnieć, że podprowadziłeś jej kawior. No wiesz, pocałunek śmierci.

Westchnął.

- Szybko pan podłapuje, panie Charlie.

Przysunąłem sobie krzesło, zacierając dłonie jak urodzony prawnik.

Z jakichś tajemniczych powodów racuchy sprzedawane na Jersey są pakowane po siedem sztuk, co oznacza, że kiedy trafi się dwóch amatorów, zaczynają się nieładnie ścigać w jedzeniu, bo ten, który pierwszy pochłonie trzeciego racucha, ma naturalne prawo do czwartego. Obaj byliśmy już dość zaawansowani w jedzeniu trzeciego - wszystko wskazywało na to, że o zwycięstwie przesądzi fotokomórka - kiedy rozległ się dzwonek do drzwi i Jock wstał, smętnie ścierając z brody stopione masło. To jedna z tych chwil, gdy ujawniają się dobre maniery. Po burzliwej walce wewnętrznej podzieliłem pozostałego racucha na dwie niemal równe części.

Jock wrócił, zerknął na talerz, oznajmił, że w holu są dwaj panowie z prasy, i spytał, czy ma ich wprowadzić do salonu.

Okazało się, że panowie z prasy to jedna przystojna młoda

kobieta z „Jersey Evening Post”, wyraźnie emanująca inteligencją, jeden zmęczony życiem młody fotoreporter i jeden zwalasty, smutny, dobrze wychowany dziennikarz reprezentujący radio i telewizję. Z wprawą szulera z parowca na Missisipi rozdałem im szklanki z napojami wysokowymi, a potem zawarłem z nimi umowę.

- Trzymajcie od nas z dala państwowe media - brzmiał refren mojej piosenki - a dostaniecie na wyłączność wszystkie informacje i zdjęcia mieszczące się w granicach rozsądku. Jeśli mnie zawiedziecie, zamknę wam drzwi przed nosem i „wyznam wszystko” tym z „Sunday People”.

Nastąpiły trzy wzdrygnięcia, a potem trzy gorliwe kiwnięcia głowami.

W starannie dobranych słowach zdradziłem im całkiem sporo prawdy, szczególnie podkreślając to, że gwałcieciel jest wyraźnie wyznawcą czarnej magii i jeśli rzeczywiście się na niej zna, *messe de Saint Secaire* pozbawi go okultystycznej mocy, a gdyby nadal czynił zło, poważnie upośledzona zostałaby także jego sprawność fizyczna.

Potem pobiegłem do drugiej części domu i pożyczyłem od naszego gospodarza wielką śmierdzącą fajkę oraz małego śmierdzącego pudła. Z jednym w zębach (owszem, fajką) i drugim w ramionach, pozwoliłem im sfotografować starego, poczciwego Mortdecaia w jego ulubionym fotelu i - jeszcze poczciwszego - podczas przechadzki po ogrodzie. Wyszli całkiem zadowoleni, a ja pomknąłem do łazienki, za pomocą płynu do płukania ust pozbyłem się smaku fajki, przebrałem się i kazałem Jockowi oddać zanieczyszczony przez pudła garnitur do prania, a w najgorszym razie - biednym.

Tego dnia nie zdarzyło się już nic wartego odnotowania, z wyjątkiem wybornego curry, do którego nastawiłem Wagnera; cudownie pasuje on do curry, bo innego użytku dla niego nie znajduję. Sam wyszedł dość wcześnie; ja też dojrzałem już do tego, żeby udać się do łóżka, jak zwykle po nocy spędzonej w mamrze. Słyszałem, jak Johanna wróciła z brydża, ale poszła prosto do swojego pokoju, więc chyba przegrała. Przez dłuższy czas leżałem bezsennie i myślałem o biednym, małym Ericu

Tichbornie - ach, lepiej by mi było czerpać z pogańskiej wiary w starych bogów<sup>71</sup>. Pewnie wiecie, jakie to uczucie, zwłaszcza gdy wasza żona kładzie się spać, nie powiedziawszy wam dobranoc.

---

<sup>71</sup> William Wordsworth, *Zbyt nam cięży świat*, przeł. Juliusz Żuławski.

Siedem strapień Dziewica ma od swych kapłanów,  
Lecz występków twych jest po wielokroć siedem,  
Siedem wieków nie wymaże twoich grzesznych stanów,  
Uwolnienia nie przyniosłby ci nawet rajski Eden.  
Ogniste noce i spragnione brzaski,  
Miłość spełnieniem będąca, zwycięstwem.  
Ciała rozkosze i ciała potrzaski,  
Co dla twej duszy są wielkim ciemstwem.

*Dolores*

Ranek i większość popołudnia spędziłem w łóżku, rozczulając się nad sobą i udając, że źle się czuję. Jock przynosił mi aż trzy razy swój pyszny bulion wołowy, nie mówiąc już o kanapkach raz na jakiś czas. Johanna próbowała zmierzyć mi temperaturę.

- O nie, nie tak! - zawołałem.

- Ależ w Stanach zawsze w ten sposób mierzymy temperaturę.

Uratował mnie dzwonek telefonu; ludzie z prokuratury pytali, jak to jest z moim obywatelstwem. Potem znowu zadzwonił telefon; to był George, wystraszony przez adwokata. Powiedziałem mu, że mój prawnik jest o wiele lepszym i szybszym straszycielem - wystraszył mnie na śmierć już poprzedniego dnia. Później odebrałem kolejny telefon i powiedziałem podwładnemu komisarza, że nie, nie mógłbym wpaść do komisariatu, bo cierpię na atak malarii trzeciego stopnia.

I tak to trwało w nieskończoność. W piekle też na pewno będą telefony.

Czekałem na „Jersey Evening Post”, bo dobra prasa była nieodzowna dla powodzenia naszego planu i mogła okazać się pomocna podczas rozprawy w sądzie.

Nasz egzemplarz jest doręczany o szóstej rano, ale najwyraźniej są tacy, którzy dostają gazetę wcześniej, bo telefon rozdzwonił się ze zdwojoną siłą już o wpół do piątej. Oto sprawy, z którymi się do mnie zgłaszano, mniej więcej w takim porządku:

Jeden znajomy uczony rektor ze smutkiem i prawdopodobnie nie bez racji wyrażał żal, że najpierw nie odwołaliśmy się do Kościoła, zamiast narażać nasze dusze, flirtując z opozycją.

Jedna członkini Christian Science - myślałem, że wszyscy już wymarli - tłumaczyła mi, że w całej sprawie nie chodziło o gwałty, lecz jedynie o manifestację śmiertelnego błędu. Wciąż mówiła, gdy odkładałem słuchawkę, ale na pewno tego nie zauważyła.

Trzej ewidentni świadkowie Jehowy powiedzieli mi jeden po drugim, że w 1975 roku nastąpi Armagedon i nie będzie dla mnie miejsca wśród pięćdziesięciu tysięcy uratowanych, chyba że szybko zadbam o swoją duszę. Nie próbowałem tłumaczyć, że myśl o przetrwaniu na świecie zaludnionym jedynie przez świadków Jehowy mnie przeraża. Podałem każdemu z nich numer telefonu tego czy innego z moich znajomych nudziarzy, którzy, jak zapewnilem, z rozkoszą przyjmą u siebie delegata sekty.

Dwaj szanowani znajomi stwierdzili, że zaprosili nas na kolację nie tego dnia co trzeba i odezwią się niebawem.

Trzej inni z kolei, którzy przyjęli nasze zaproszenia, teraz przypomnieli sobie, że mają inne, wcześniejsze - albo raczej późniejsze - zobowiązania.

Jeden zajmujący maniak reinkarnacji był w ostatnim wcieleniu apokaliptyczną Bestią.

Jeden szaleniec twierdził, że wszystko z tym szatanem pokrećilem. „To kolorowa kobieta” - wyjaśnił.

Kilka rzekomych czarownic różnego sortu zaczęło ze mnie szydzić, a niektóre z nich zaferowały, że udzielą mi alibi.

Jeden pijany Irlandczyk zapytał o mój dokładny adres, bo chciał mnie odwiedzić i zrobić mi z mózgu krwawą miazgę.

Niejaki Smith oznajmił, że wybiera się do kościoła, aby pomodlić się za moją duszę, ale nie spodziewa się, że to coś da.

Jedna prominentna członkini grupy nacisku z Ruchu na rzecz Reformy Prawa przeciw Okrucieństwu wobec Zwierząt zaproponowała, że weźmie ode mnie pudła i znajdzie mu porządny dom. (Powiedziałem jej, że ja też jestem przeciw okrucieństwu wobec zwierząt, ale pudel był wypchany, bo niestety zdechł w minionym roku z niewiadomych przyczyn).

Najwyraźniej „Jersey Evening Post” mnie rozślawił i faktycznie, kiedy wreszcie dostarczono nam jego egzemplarz, to się potwierdziło. Na pierwszej stronie, opatrzony nagłówkiem, widniał cały Mortdecai, jaki nadawał się do druku. Na widok tego zdjęcia Johanna i Jock zaczęli tarzać się po podłodze, śmiejąc się sprośnie: podstarzały i uczenie wyglądający Mortdecai, opudlowany i ofajkowany, szczerzył się głupkowato do czytelników w nader zabawny sposób. Panna H. Glossop, młoda reporterka, najwyraźniej odrobiła pracę domową, bo przedstawione przez nią fakty nie budziły wątpliwości i były dobrze udokumentowane. Uczony, naiwny Mortdecai, chcąc pomóc przyjaciółom w biedzie, z taką pasją usiłował pokonać przeciwnika jego własną bronią, że celebrans w kulminacyjnym punkcie obrzędu - ku wielkiemu żalowi wszystkich - padł trupem. „Co zatem spotka sam cel kontrofensywy - pisano w artykule - skoro jej ofiarą padł nawet niewinny strzelec, by się tak wyrazić?”. Panna Glossop z niezwykłą znajomością rzeczy przedstawiła dalej niesamowitą moc mszy świętego Sekariusza, współczując śmiałkowi, który próbowałby się jej przeciwstawić. Żaden świątły satanista się na to nie odważy. Co więcej, niezależnie od lekkiej tendencji do nadużywania bezokoliczników styl autorki ewidentnie był wzorowany na najlepszych przykładach; jej klarownej prozy nie mąciło ani jedno wyrażenie w stylu „następnie wyszło na jaw”. Byłem całkiem zadowolony. Nawet wstałem na kolację i sam zadzwoniłem do kilku osób. Sama nie było w domu - nikt nie wiedział, gdzie jest - ale George niechętnie przyznał, że wszystko przebiega zgodnie z planem. Sol-ly, z pełnymi ustami (zwykli prawnicy jadają kolację znacznie wcześniej niż ci po aplikacji), wyraził opinię, że artykuł chyba dobrze wpłynął na mój wizerunek publiczny, bo wycofano jeden czy dwa zarzuty



wobec mnie i myślano o wysunięciu tylko czterech czy pięciu następnych.

Zrobiło mi się wręcz lekko na duszy. Horyzont rysował się czysty - jeśli nie liczyć perspektywy kilku lat w pace. Z kuchni dobiegał perlisty śmiech - Jock, jak sądzę, pokazywał moje zdjęcie w gazecie kumplom od domina i kucharce. Uśmiechnąłem się pobłaźliwie.

Zapowiedziano kolację.

Nie muszę mówić, że nie należę do tych, którzy nieustannie myślą o jedzeniu; ale kiedy już raz na jakiś czas kieruję myśli w tę stronę, robię to z pewną determinacją; szczególnie gdy - jak w tym przypadku - produktem spożywczym jest perliczka, szczytowe osiągnięcie sztuki drobiarskiej. Ta szczególna pierzasta przyjaciółka stanowiła wyjątkowo dobrze utuczony egzemplarz: musiała wieść życie pod kloszem. Wspólnymi siłami obaliliśmy butelkę baroło, śpiewając smutne ballady o zwirowych stokach Piemontu. Rzadko spędzam szczęśliwsze i bardziej niewinne godziny, ale jak mówi sam mistrz, to właśnie w takich chwilach z ciemnej uliczki wypęła przeznaczenie, macając wypchaną skórę węża w zastępstwie twojej szyi<sup>72</sup>.

Wrzuciłem końcówkę mojego cygara Romeo y Julieta w ogień i posłałem Johannie mężowskie spojrzenie. Uniosła brew w kształcie skrzydła mowy. Mrugnąłem do niej w odpowiedzi. I wtedy zadzwonił telefon.

To był centenier. Chciał mnie poinformować, iż zdarzył się kolejny gwałt. Zona hodowcy pomidorów. Sataniczna otoczka jak poprzednio, z tym że teraz facet, lekko uderzywszy ofiarę, tak że straciła przytomność, napisał szminką teatralną na jej gołym brzuchu, znacznie poniżej pępka, słowo *secretaire* w półokręgu.

- Czytał pan dzisiejszą gazetę? - zapytałem.

- Widziałem pańskie zdjęcie, ale nie przeczytałem całego artykułu, bo wezwano mnie do tej sprawy.

- Niech pan jeszcze rzuci okiem na brzuch tej pani - odparłem.

- Sądzę, że widnieje na nim słowo „Secaire”.

Po tym telefonie wstałem przybity, czując się stary jak świat.

---

<sup>72</sup> Aluzja do twórczości P.G. Wodehouse'a.

- No dobrze. - Westchnąłem. - To do roboty.
- O, fajnie - odezwała się Johanna. - Ścigamy się do łóżka?
- Nie to miałem na myśli.
- Miałeś, jeszcze przed chwilą.
- Przed chwilą byłem w wieku wczesnośrednim. A teraz czuję się gotowy na oddział bobogeriatryczny.
- No dobrze, pobawimy się w pacjentów i pielęgniarki. Ty będziesz mnie gonił po schodach, ale bardzo powoli, żeby oszczędzać siły w lędźwiach.
- Niech ci będzie - odrzekłem.

Nie włożyłem w to serca, ale doceniałem jej chęć pomocy. Bo z jakiegoś powodu, rozumiecie, nie umiemy ze sobą normalnie rozmawiać.

Z duchem złamanym nie całkiem  
 Ze wstydu i marności miałkiej  
 Tych dłoni, co puste z beziły,  
 Tych ust, co lepiej by nie mówiły,  
 Miłości strojnej w oklaski,  
 Wątlých ofiarowań słów płaskich,  
 Co błogosławią bez skutku łaski,  
 Co żaru nie mają, byśmy ogniem zabłyśli,  
 Ni mocy, by zadudnić gromem swych myśli.

### *Epilog*

Przez moje ciężkie sny przedarło się okropne wycie; obu-  
 dziłem się, zdjęty przerażeniem. Ale to był tylko Jock, który  
 idąc po schodach z herbatą, swoim najlepszym falsetem  
 śpiewał *On the Go od Ship Lollipop*. Całkiem niezłe mu to  
 wychodzi, ale na Shirley Tempie jest czas i miejsce.

- Nigdy więcej nie chcę słyszeć żadnej aubady ani mattinaty.  
 Złe mi działają na wątrobę. „Kto rankiem głośno błogosławi  
 bliźniego, policzą mu to za przekleństwo”, jak z takim  
 upodobaniem głosi Księga Powtórnego Prawa<sup>73</sup>.

Podając mi filiżankę, machnął nią mściwie, żeby herbata  
 wylała się na spodek, a potem wytarł go dobrze zamarynowaną  
 już chustką do nosa. Gem, set i mecz dla niego. Herbata, gdy  
 już się zmusiłem, żeby jej skosztować, smakowała jak wody  
 rzek Babilonu, do których spływały łzy płaczących.

- Jak się czuje dziś rano kanarek?

- Ma coś z nogą.

- To wezwij najlepszego weterynarza, koszt nie gra roli.  
 Podobno pan Blampied jest niezły.

---

<sup>73</sup> Właśc. Księga Przysłów, 27:14.

- Już był. Powiada, że nogę trza będzie odjąć.
- Bzdury. Nie jestem bogaczem, nie stać mnie na utrzymanie kanarka z drewnianą nogą.
- On śpiewa, panie Charlie, nie tańczy, do jasnej ciasnej. A tak, i panowie Davenant oraz Breakspear czekają na dole.
- O rany, o Boże, naprawdę? Czy sprawiają wrażenie wesołych, jak ci się wydaje?
- Raczej wściekłych jak diabli.
- Ojej. Więc słyszeli o najnowszym incydencie?
- No.

Dar wymowy i tym razem go nie zawiódł; nastroju George'a i Sama nie oddałoby lepiej żadne inne określenie. Gdy rzuciłem na przywitanie „dzień dobry”, obaj popatrzyli na mnie, jak lady Makbet w dwóch wcieleniach na widok którejś z bardziej widocznych przeklętych plam. Skrzywiłem usta w cierpkim uśmiechu. Ich miny pozostały zacięte. Przez chwilę zastanawiałem się, czyby nie opowiedzieć jakiegoś dowcipu, ale zrezygnowałem z tego pomysłu.

- Drinka? - zapytałem. - Szkockiej? Ginu z toni-kiem? Piwa?
- Mortdecai - odezwał się George. - Jesteś... cztery litery.
- Wiesz, nigdy nie rozumiałem, co to znaczy.

Sam mi wytłumaczył - w czterech literach. Nie pozwalam nikomu tak się do mnie zwracać.

- Sam... - zacząłem ciężko.

Powtórzył to słowo.

- No cóż - przyznałem - być może coś w tym jest. Ale zastanówcie się. Niewykluczone, że gwałticiel... jeśli ten incydent to jego sprawka... nie miał czasu przeczytać wczorajszego „Jersey Evening Post”. Gazeta nie była długo w obiegu.

- To jak wytłumaczysz słowo „Secaire”?

- Och, słyszeliście o tym.

- Owszem, słyszeliśmy. I wygląda na to, że twoja perwersyjna i pokręcona intryga nie tylko naraziła nas na kompromitację i groźbę więzienia, ale także, co gorsza, nie przyniosła efektu. Ten facet najwyraźniej się z nas śmieje.

- Jeszcze chyba za wcześnie na ocenę, nie sądzicie? Być może

artykuł zadziała. W jego podświadomości albo coś takiego... - zakończyłem nieporadnie.

- Bzdury. Musimy wrócić do akcji z zasadzkami... może nawet już dziś wieczorem. Najnowszy incydent tylko potwierdza, że celem zawsze były mieszkające w tej okolicy Angielki po trzydziestce. Teraz to już tylko kwestia czasu... i naszej czujności.

- I pracy sztabowej - mruknął George.

- I lojalności.

- Rozumiem. Doskonale. Zaczynamy dzisiejszego wieczoru, tak? Czy może damy facetowi czas, żeby pod- ładował... eee... baterie?

- Dziś wieczorem - odparli obaj jednym głosem.

- Pewnie macie rację, takiemu jak on raczej nie wyczerpują się baterie... zamiast jaj ma reaktory jądrowe.

- To nie jest śmieszne. I pewnie wiesz, że za czterdzieści minut mamy stawić się na komendzie. Mógłbyś przed wyjściem poczęstować nas drinkiem.

Otworzyłem usta i zaraz je zamknąłem. Było jasne, że tego ranka mam przerąbane.

Komisarz przyjął nas z kamiennym spojrzeniem. Jak wszyscy dobrzy policjanci, którzy dostali z góry sugestię, żeby ukrećć sprawie łeb, był w podłym humorze. Przyjrzał nam się uważnie, każdemu po kolei - to sprawdzona technika gliniarzy, kiedy chcą dać do zrozumienia, że w przyszłości będą cię mieli na oku i lepiej, byś nie parkował na żółtej linii.

- Z powodów, których mi nie ujawniono - zaczął ciężkim głosem - podjęto decyzję, aby potraktować sprawę jak głupi figiel, który skończył się tragicznie. Większością zarzutów obciąży się nieboszczyka Tichborne'a.

Mam nadzieję, że to was ucieszy, panowie. Wy zostaniecie tylko oskarżeni o bezprawne wkroczenie na teren prywatny, bezprawne spowodowanie skandalu i cierpienia, niezapobieżenie złamaniu prawa przeciw znęcaniu się nad zwierzętami, a pan, panie Breakspear, o prowadzenie

nieubezpieczonego pojazdu i niepodpisanie prawa jazdy.

Tak mi ulżyło, że aż oblałem się potem. George wyraźnie zgrzytnął zębami. Sam z pogardą patrzył w dal.

- Nieoficjalnie skontaktowałem się z Société Jersaise. Są oburzeni i wściekli, słusznie zresztą, ale wystarczą im pisemne przeprosiny i gotowość pokrycia kosztów nowego łańcucha przy kłódce i usunięcia śladów okopceń na ścianach kaplicy. Powiedzmy, trzysta funtów.

W blasku słońca z wirującymi drobinkami kurzu błysnęły trzy książeczki czekowe; cztery pióra wieczne zaskrzypiały unisono.

- Urzędnik kolegium do spraw wykroczeń skierował waszą sprawę bezpośrednio do Sądu Królewskiego. Macie stawić się na nadzwyczajnej rozprawie dziś punktualnie o drugiej trzydzieści, macie więc mnóstwo czasu, żeby zjeść obfity, drogi lunch. Nie, nie proście, żebym wam towarzyszył. Jest mi trochę niedobrze. Miłego dnia.

Ten człowiek marnował się jako policjant. Powinien być dyrektorem prywatnej anglikańskiej szkoły średniej. Wymknęliśmy się chyłkiem z jego gabinetu.

Policjant na dyżurze tym razem nie zaproponował nam herbaty; spojrzął na nas lodowatym wzrokiem. Pewnie niewiele wiedział o sprawie, ale przyłgnęło do nas piętno hańby; nie byliśmy już dżentelmenami, tylko twarzami do zapamiętania.

Człowiek ten zwrócił się do mnie, żebym zidentyfikował magnetofon z jedną kasetą i podpisał jej odbiór. Zrobiłem, o co prosił.

- Na kasecie nic nie ma - wyjaśnił.

- Chce się pan założyć? - spytałem.

Za wycieraczką mojego samochodu tkwił mandat za złe parkowanie, na który obaj moi przyjaciele spojrzeli z niechętną satysfakcją.

- To co, jedziemy na lunch? - zagadnął George.

- Ja na razie poproszę o wodę - odparłem - bo muszę przełknąć gorzką pigułkę.

W końcu udało nam się zdobyć stolik w Borsalino, ale nie mogliśmy oddać sprawiedliwości znakomitej strawie.

- Nie smakuje panom kurczę Borsalino? - zapytał zdziwiony

właściciel.

Sam spojrzął na niego posepnym wzrokiem.

- Kurczę Borsalino jest doskonale. To my jesteście nie w sosie.

Właścicielowi nie pozostało nic innego, jak się zmyć. (Kiedy wam powiem, że kurczę Borsalino to rolowana pierś kurczęcia z serem camembert, smażona w głębokim tłuszczu, zrozumiecie, jakie rozgoryczenie odebrało nam na nie apetyt).

Sąd Królewski budził niewiarygodny przestach. W holu dołączyli do nas adwokaci George'a i Sama oraz mój wesoły prawnik. Adwokaci zasznurowali usta; Solly puścił do mnie oko. Idąc za jego sugestią, zmiąłem krawat i nieco go przekrzywiłem, gniotąc jednocześnie kołnierzyk; to stara sztuczka, która od razu zmniejsza wasz dochód o kilkaset funtów. *Verbum sapienti sat est*<sup>74</sup>, nie mówiąc już o *experto crede*. Pokonaliśmy kolejne odcinki wyłożonych linoleum schodów, które w dawnych czasach niewątpliwie miały sprawić, żeby przywiezieni na rozprawę więźniowie przybyli na górę czerwoni z poczucia winy i złani potem. Solly po drodze podszczypywał mnie w tyłek, pewnie żeby poprawić mi humor. Przed salą rozpraw oddaliśmy się w ręce greffiera<sup>75</sup>, przerażającego osobnika w czarnej szacie, który wyglądał na zwolennika kary śmierci za wykroczenia drogowe. Wkrótce dołączył do nas *vécomte* - wymowa jak *viscount* - czyli kolejny odziany na czarno urzędnik z buławą w dłoni, i dębowymi drzwiami weszliśmy na salę. To piękna wysoka, przestronna, dobrze oświetlona izba, ozdobiona znakomitymi obrazami. Przed nami, w majestacie i pod wspnianiałym baldachimem, siedzieli panowie naszego losu. W środku (jak wy tłumaczył mi szeptem Solly) zasiadał przewodniczący, który po prawej stronie miałby wicegubernatora Jej Królewskiej Mości, gdyby ten skorzystał z przysługującego mu prawa i zechciał przyjść. Po lewej jego stronie znajdowali się dwaj przysięgli, wybrani ze śmietanki jerseyjskiej arystokracji. Prezentowali się mądrze i pożytecznie, bo na tym zapewne polega ich funkcja.

---

<sup>74</sup> *Verbum sapienti sat est* (łac.) - „Mądrymu starczy słowo”.

<sup>75</sup> Greffier (franc.) - sekretarz sądu w krajach, gdzie francuski jest językiem prawodawstwa.

Vécomte wstawił buławę do otworu przed ławą, greffier zajął swoje miejsce i Sąd Niższej Liczby (tak nazywany, gdy bierze w nim udział tylko dwóch przysięgłych) rozpoczął rozprawę.

Ławy dla publiczności były prawie puste; wiadomość o procesie ukazała się zbyt późno dla sensatów i przyszła jedynie garstka upiornych starszych pań ssących miętówki - tych, które nie znoszą przemocy w telewizji i wolą słuchać o niej z pierwszej ręki, na gorąco z chlewu. Na ławie dla prasy siedziała jedynie moja przyjaciółka, panna H. Glossop, emanując inteligencją i dobrą wolą. Miałem wrażenie, że chętnie pomachałaby do mnie po przyjacielsku.

Na sali panowała martwa cisza, a potem rozpoczęły się litanie w starym normańsko-francuskim; mniej ważni urzędnicy powtórzyli je po angielsku; policjanci, zarówno z policji opłacanej, jak i honorowej, zrelacjonowali swoje kolejne kroki w ramach czynności służbowych, przeprowadzane na podstawie uzyskanych informacji, na potwierdzenie czego mieli notatki. Potem wstał adwokat Sama i biadolili żałośnie; reprezentant George'a grzmiał fachowo, a Solly - Solly, jakiego dotąd nie widziałem - błagając Wysoki Sąd o wyrozumiałość, wyjaśnił krótko - choć w nieco innych słowach - że jestem po prostu cholernym kretynem, który zasługuje raczej na współczucie niż karę.

Ponownie zapadła martwa cisza, przerywana jedynie odgłosami ssania wydawanymi przez starsze panie. Zastępca przewodniczącego i przysięgli udali się na naradę, aby omówić wątpliwe kwestie, a ja odbyłem szybką konsultację z piersiówką.

Nasi sędziowie po kilku minutach wrócili. Ich miny nie wróżyły niczego dobrego. Kiedy wszyscy usiedli, wezwano nas, szubrawców, abyśmy wstali. Przewodniczący był niezwykle wymowny; kiedy podsumował nasze występkę, aż się skurczyliśmy.

Po pięciu minutach stało się jasne - dla nas i dla wszystkich zebranych - że jesteśmy starymi łajdakami, bez których piękna wyspa Jersey świetnie by się obyła; że większość chuligańskich wybryków, pijaństwo i ogólne obniżenie norm moralnych na wyspie to wina takich jak my; że mężczyźni w naszym wieku



powinni dawać przykład młodszym pokoleniom; że coś takiego nie powinno się powtórzyć... i tak dalej.

Przewodniczący przerwał na chwilę, żeby zaczerpnąć tchu.

- Charlie Strafford Van Cleef Mortdecai - podjął złowieszczym tonem - został uznany za winnego wszystkich trzech zarzucanych mu czynów. Co oskarżony ma na swoją obronę?

Pochwyciłem przejęte spojrzenie starszej pani siedzącej na wprost. Pochylała się do przodu z otwartymi ustami i wyraźnie widoczną w nich pasiastą miętówką.

- Bardzo mi przykro - zwróciłem się do miętówki. - Postąpiłem głupio, nieodpowiedzialnie i niewybaczalnie. Tak. Przepraszam. Bardzo.

Wówczas przewodniczący oświadczył, że pochodzę z dobrej rodziny; że chciałem bezinteresownie, choć niemądrze pomóc przyjaciółom; że sąd jest usatysfakcjonowany moimi wyrazami skruchy; że wstyd to zapewne wystarczająca kara - dlatego sąd okaże mi łagodność. Pochyliłem głowę, żeby ukryć uśmiezek.

- Dlatego też oskarżony zostaje skazany łącznie na dwadzieścia siedem miesięcy więzienia. - Sztuczna szczeka starszej pani zatrzasnęła się głośno, zamykając w czeluściach ust nieszczęsną miętówkę. - Albo też łączną grzywnę w wysokości czterystu pięćdziesięciu funtów. Woźny, proszę podsunąć oskarżonemu krzesło. Jest on także zobowiązany do dobrego sprawowania przez następne pięć lat za kaucją dodatkowych pięciuset funtów.

Zsunął okulary na czubek swojego wspaniałego nosa.

- Może pan tyle zapłacić? - zapytał już łagodniej.

Sam musiał wyłożyć pięćdziesiąt funtów mniej, ale nie doczekał się wzmianki o dobrym pochodzeniu, co musiało go zabołeć.

George dostał tyle samo co Sam, bo - jak dowodził przewodniczący - miał za sobą zaszczytną kartę wojenną. Już miał usiąść, gdy ten, wykazując się wyczuciem czasu, którego mógłby pozazdrościć Muhammad Ali, dowalił mu kolejne sto pięćdziesiąt funciaków za jazdę nieubezpieczonym samochodem.

Na zewnątrz, na Royal Square, Solly mi pogratulował.

- Świetnie się spisałeś. Byłem z ciebie dumny. I przewodniczący obszedł się z tobą bardzo łagodnie.

- Łagodnie?

- Boże, no pewnie. Powinieneś go słyszeć, jak beszta nas, prawników, kiedy popełnimy jakiś błąd. Człowiek się czuje jak poseł z ramienia laburzystów przyłapany na nagabywaniu facetów w publicznej toalecie. A skoro o tym mowa, co się robi z ropuchą?

- Ropuchą? - jęknąłem.

- A może żabą? Taka brązowa, pokryta brodawkami.

- To ropucha.

- No właśnie, przyszła dziś rano i moja sekretarka nie wie, czym ją karmić. Dała jej chleb z dżemem i tym podobne. Grymasna mała bestia.

- Jak to „przyszła”?

- Poczta, w pudełku po cygarach. Był tam też kawałek papieru toaletowego z wypisanym słowem „Mortdecai”. I... eee... ten papier był używany.

Byłem rad, że niewiele zjadłem na lunch. Pozbierałem się i odparłem:

- To brzydki kalambur. Gra słów z *crapaud*<sup>76</sup>, rozumiesz?

- Rozumiem - odpowiedział, ale spojrział na mnie dziwnie.

Sam i ja zjedliśmy wczesną kolację u George’a, a potem rozdzieliliśmy między siebie panie do ochrony i zaczęliśmy dzwonić do różnych osób. Byliśmy zupełnie nieprzygotowani na wrogość, z jaką spotkały się nasze propozycje; wyglądało na to, że staliśmy się społecznie trędowaci. Dwie pierwsze osoby, z którymi rozmawialiśmy, powiedziały - nie siląc się nawet, aby brzmiało to prawdopodobnie - że mają inne sprawy na głowie, trzecia znacząco odłożyła słuchawkę, gdy tylko się przedstawiliśmy; czwarta oświadczyła, że dziękuje bardzo, ale mąż jest w stanie odpowiednio się nią zaopiekować; piąta zagroziła, że jeśli jeszcze raz do niej zadzwonimy, powiadomi policję. Tylko ostatnia, nasączona ginem niewyżyta poetka, chętnie

---

<sup>76</sup> Po angielsku *crap* - gównno.

skorzystała z naszej oferty - a z jej głosu wynikało, że sama może dopuścić się gwałtu.

Spojrzelśmy na siebie w osłupieniu. Zadzwonił telefon.

- To do ciebie, Charlie. Johanna.

- Charlie - słodko odezwała się w słuchawce moja żona - może zainteresuje cię wiadomość, że nie będzie dziś u nas brydża. Lady Pickersgill zatelefonowała z wiadomością, że jest przeziębiona. Tak samo lady Cortances. I pani French-Partridge. Mam nadzieję, że jesteś z siebie dumny.

- Ojej, Johanno, nie potrafię wyrazić, jak mi przykro.

- Właśnie zadzwoniłam na lotnisko. Dowiedziałam się, że dziś wieczorem nie ma już lotów do Londynu. Do tego sprzątaczką mi powiedziała, że nie będzie do nas więcej przychodzić, musi zająć się starą matką. Na której pogrzeb zwołniona się w zeszłym roku. I jeszcze przy drodze pod naszym domem stoi wóz transmisyjny jakiejś telewizji. Poza tym widziałeś wieczorną gazetę? - Nie czekając na żadne „tak”, „nie”, „nie wiem”, odłożyła słuchawkę.

Wyszedłem w deszcz pod bramę i zabrałem gazety. (Wyzwolony jerseyjski dostawca zrobi dla ciebie wszystko, nie zada sobie tylko trudu, żeby włożyć gazety do skrzynki na listy, czy to nie dziwne?).

Uważnie spojrzeliśmy na pierwszą stronę. „Jersey Evening Post” był dla nas łaskawy, hm, nawet przychylny w relacji z procesem, ale zdjęcie, które zrobiono nam na chodniku przed budynkiem sądu, nie przemawiało na naszą korzyść, mówiąc łagodnie. Trzej nędzni winowajcy, staliśmy ściśnięci razem w poczuciu winy, otoczeni przez sprzedających krętały, diabłów „grymasów i wydrzeźniań”<sup>77</sup>. George spoglądał w obiektyw wzrokiem mordercy; Sam wyglądał jak wykasowane z nagranej w Watergate taśmy przekleństwo, podczas gdy ja zostałem przyłapany, jak drapię się po tyłku i oglądam z uśmiechem przez ramię. Wszystko to nie robiło dobrego wrażenia.

Popatrzyliśmy na siebie; czy raczej oni spojrzeli na mnie, gdy ja starannie unikałem ich wzroku.

- Wiem - powiedziałem rażno - upijmy się razem!

---

<sup>77</sup> William Szekspir, *Król Lear*, przeł. Leon Ulrich.

Przestali na mnie patrzeć i spojrzeli na siebie. Pojawiła się Sonia, obejrzała zdjęcie i dostała napadu chichotu. To bywa urocze w przypadku niektórych kobiet, ale Sonia nigdy nie nauczyła się tej sztuki: w jej wydaniu jest to zbyt głośne, a ona ma przy tym zwyczaj padania na kanapę, przez co pokazuje majtki. I tak samo było wtedy. George nie ukrywał dezaprobaty, więc wróciła do prawdziwej miłości swojego życia - czyli zmywarki, paskudnego i hałaśliwego urzędnika.

Sam i George znowu zaczęli odgrywać scenę „popatrzymy na Charliego z wyrzutem”, więc wstałem. Łatwo mnie zranić, rozumiecie.

- Idę do domu obejrzyć telewizję - powiedziałem sztywno.

- O nie, nie ma mowy - warknął George. - Idziesz do domu przebrać się w ciemne ciuchy, włożyć miękkie buty i wziąć broń, a za piętnaście minut stajesz tu do raportu z podobnie ubranym i wyekwipowanym Jockiem.

Cóż, czasami na potrzeby książki zgrywam tchórza, ale nie lubię takich tekstów - nawet od emerytowanych wojskowych. Zwłaszcza od emerytowanych wojskowych. Odwróciłem się więc do George'a i rzuciłem mu flegmatyczne niesubordynowane spojrzenie.

- To zajmie mi co najmniej dwadzieścia minut - odpowiedziałem w sposób niesubordynowany - bo biorąc pod uwagę sytuację w domu, sam będę musiał wyjąć sobie ubranie.

- Pospiesz się - odrzekł George wcale nie tak nieprzyjemnie.

W efekcie wróciłem po dwudziestu ośmiu minutach.

- Dobrze - rzucił George. - Oto plan. Ponieważ ci idioci nie pozwolą nam zacząć się u nich, będziemy patrolować okolice ich domów. Ja będę krążył między Hautes Croix a tym miejscem; Jock podrzuci Sama do La Sergenté, ten stamtąd pójdzie do Saint Magloires Manor, a potem, mijając Canberra House, wróci tutaj. Ponieważ zarówno Sonia, jak i Johanna są w domu same, bez ochrony, Jock będzie patrolował odcinek między Wutherings a Les Cherche-fuites. Ty, Charlie, obstawisz alejki stąd do zatoki Belle Etoile. Żaden z nas nie używa dróg tłuczniowych, rozumiano. Jakies pytania?

Nie było żadnych.

Tam gladiator, poblady dla twego zachwytu,  
Wciągnął oddechy gorzkie, wielką grozą tchnące,  
Na arenie kaźń wciąż uczepiona rekwizytu  
Członków zbyt pysznych, by były konające,  
Gdy przed Tobą narody czołem biły z trwogą,  
Gdy ogród Twój rozświetlała żagiew żywa,  
A świat był rumakiem pod Twoją ostrogą,  
O Najjaśniejsza Pani Bolesciwa.

*Dolores*

Powiem wam, że nabawiłem się od tego przeziębienia, to najgorsza pora roku na patrole straży obywatelskiej. Chyba już mówiłem, co sędzę o maju na Wyspach Brytyjskich. Tamtej majowej nocy, kiedy skierowałem się ponuro w stronę zatoki Belle Etoile, było zimno i ciemno jak w sercu uczennicy, a księżyc - już w ostatniej kwadrze i całkiem pozbawiony społecznikowskiego ducha - przypominał mi talar Marii Teresy, który widziałem kiedyś między pośladkami pewnej Somalijki, kobiety nieciężkich obyczajów. Ale więcej o tym nie powiem.

Doszedłem nad Belle Etoile. Morze dyszało chrapliwie, jak gwałciiciel, który wyszedł z formy. Zawróciłem, dysząc jak członek straży obywatelskiej w średnim wieku, który nie ma przy sobie ani piersiówki, ani pudełka z kanapkami, bo żona się do niego nie odzywa. Gdy znalazłem się na Chestnut Lane (La Rue des Châtaigniers) i zbliżałem do końca pierwszej rundki, *châtaignier*, czyli kasztanowiec, rozdzielił się na dwa *châtaignieres*, czyli kasztanowce, i jedna jego część ruszyła w moim kierunku. Często mnie pytają, jak w takiej sytuacji się zachować, i zawsze przedstawiam kilka wariantów, *videlicet*.

a. uderz w płacz,

b. rzuć się do ucieczki,

c. padnij na kolana i błagaj o litość.

Oczywiście jeśli należeliście jak ja do jakiejś absurdalnej jednostki specjalnej coś tam, coś tam - owszem, takiej z lat 1939-1945 - stać was na więcej. Ja padłem bezszelestnie na ziemię i przetoczyłem się kilka razy. Potem dobytełem broni i czekałem. Człowiek-drzewo zastygł w bezruchu. Po dłuższej chwili się odezwał.

- Nie widzę twojej twarzy - burknął - ale widzę wielkie dupsko. Za trzy sekundy wpakuję w nie kulkę z lugera, chyba że podasz mi dobry powód, to ci daruję.

Wstałem, próbując nakłonić płuca do dalszej współpracy.

- Jock - odparłem - przedstawię cię do odznaczenia za znajomość lasu. Twoje przebranie było bardzo przekonujące

- Dzińdobry, panie Charlie.

- Co masz na sobie oprócz pistoletu, którego, jak ci wielokrotnie mówiłem, nie powinieneś nosić?

- Pół butelki brązowego rumu.

- Fuj! - odparłem. - Aż tak spragniony nie jestem. Kiedy zrobisz rundę i wrócisz do Wutherings, bądź tak dobry i znajdź, a następnie napełnij moją piersiówkę. Wrócę nad zatokę Belle Etoile i spotkamy się tu za... powiedzmy... trzydzieści minut.

- Dobrze, panie Charlie. I pewno chciałby pan też pudełko z kanapkami, co nie?

- Jasne, Jock, skoro nalegasz. Myślę, że powinienem się posilić.

- Się robi, panie Charlie. - Zaczął rozplýwać się w ciemnościach.

- Jock!

- Taaa?

- W lodówce powinno być jeszcze trochę bażanta.

- Ano. Ja tam ich nie lubię.

- Nada się na kanapki, ale zapamiętaj sobie na zawsze: do kanapek z bażantem pasuje tylko ciemny chleb.

- W porządziu.

I całkiem rozplýnął się w ciemnościach, tak samo zresztą jak ja.

Rozplýnięcie się w ciemnościach między Chestnut Lane a

zatoką Belle Etoile obejmuje zgubienie się, utyłanie w błocie i przemoknięcie, nie mówiąc już o słuczeniu goleni w wyniku uderzenia o bezimienne kawałki maszynierii, zostawione celowo przez mieszkańców Jersey. Kiedy wreszcie dotarłem do zatoki, morze wydawało chrapliwe, ogłuszające dźwięki. „O Boziu - zdawało się jęczeć - jak długo jeszcze będę musiało bujać się tam i z powrotem, tam i z powrotem?”

- Sam nie mógłbym tego lepiej ująć - zapewniłem je.

Zawróciłem w stronę Chestnut Lane; w przeciwieństwie do morza mogłem liczyć na piersiówki i pudełka z kanapkami. To był mój błąd. Bogowie patrzą zazdrośnie na gości, którzy mają zbyt wielkie oczekiwania.

Wypadając radośnie z za żywopłotu, zobaczyłem przed sobą duży drzewopodobny kształt. Pomyślałem, że to Jock.

- Jock, to ty? - zapytałem.

Kształt zrobił w moim kierunku trzy drzewopodobne kroki i mocno zdzielił mnie w skroń. Upadłem na ziemię, wolniej, niż możecie sobie wyobrazić, lądując twarzą w błocie z taką wdzięcznością, jakby to była poduszka. Nie mogłem się ruszyć, ale nie byłem tak naprawdę nieprzytomny. Padł na mnie snop światła małej latarki; w odruchu obronnym zamknąłem oczy, ale przed samym nosem zdążyłem jeszcze zauważyć but. Był to porządny but, z rodzaju tych potężnych, beżowych do chodzenia, które kupowałem u Duckera w Oksfordzie w czasach, kiedy ojciec opłacał moje rachunki.

Światło zgasło. Poczułem, że czyjaś ręka fachowo obmacuje mi skroń; cholernie to bołało, ale nie towarzyszył temu żaden trzask - zaświtała mi nadzieja, że może ujdę z życiem. Dwie silne ręce dźwignęły mnie na kolana i otworzyłem oczy. Nade mną stał przerażający typ o twarzy, której nie chcieliby przyjąć nawet do piekła. Znajdował się na tyle blisko, że mogłem poczuć jego smród, naprawdę odrażający. Potem podniósł nogę i kopnął mnie w szczękę, czemu towarzyszyło ogłuszające i oslepiające lupnięcie.

Działy się ze mną rzeczy, które ledwie rejestrowałem; byłem obmacywany i grzmocony, podnoszony i szarpany. Przewornie postanowiłem zostać nieprzytomny i zostałem, dopóki

straszliwie nie zabolalo mnie prawe ucho. Drgnałem gwałtownie, ale ból się nasilił, więc zemdlałem, aby obudzić się natychmiast w jeszcze gorszej agonii. Przy moim uchu nastąpiła eksplozja - i zaowocowała kolejną falą bólu. Oprzytomniawszy, zachowałem tyle zdrowego rozsądku, żeby ani drgnąć, podczas gdy mój napastnik zaszeleścił, znikając w zaroślach. Kiedy było już pewne, że odszedł, delikatnie rozpatrzyłem się w sytuacji. Stwierdziłem, że stoję oparty o drzewo. Ręce i nogi miałem nieskrępowane. Próbowałem ruszyć głową - i wrzasnąłem przeraźliwie. Z wielką ostrożnością podniosłem dłonie do ucha, prosząc je, żeby powiedziały mojemu zmasakrowanemu mózgowi, o co tu chodzi. Kiedy to zrobiły, zemdlałem ponownie - wy też byście zemdleli - i zaraz się obudziłem, znowu krzycząc z bólu.

Bo, widzicie, moje ucho zostało przybite do drzewa.

Stałem nieruchomo chyba przez godzinę. Potem sięgnąłem za siebie i wydobyłem z kieszeni na biodrze podręczny pistolet bankiera. Zaczerpnąłem głęboko powietrza i otworzyłem usta, żeby zawołać o pomoc, ale poczułem w szczęce przeszywający ból, usłyszałem przerażający chrzęst i odkryłem za pomocą języka, że wszystkie moje zęby zmieniły miejsce.

Wycelowałem pistolet w powietrze i nacisnąłem spust, ale nie miałem siły, żeby odbezpieczyć broń.

W końcu obiema rękami odciągnąłem kurek i strzeliłem. Potem znowu. I znowu. Jock często pomagał mi na strzelnicy jako ładowacz i liczyłem, że rozpozna trzy- strzałowy sygnał oznaczający kłopoty.

Czekałem wieczność. Bałem się zmarnować więcej pocisków; potrzebowałem ich na wypadek, gdyby szaleniec wrócił. Dla zabicia czasu starałem się zachować przytomność - za każdym razem, gdy zasypiałem, ciężar mojego wiszącego na uchu ciała powodował straszliwy ból - i próbowałem sobie przypomnieć, czy to Lobengula<sup>78</sup>, czy Cetshwayo<sup>79</sup> przybijal pomniejszych

---

<sup>78</sup> Lobengula (ok. 1833-1894) - ostatni niezależny władca plemienia Ndebele.

<sup>79</sup> Cetshwayo kaMpande (1826-1884) - ostatni władca niepodległego państwa Zulusów.



przestępców do drzew. Musieli się sami oderwać, rozumiecie, zanim dobrały się do nich hieny.

Wreszcie usłyszałem wrzask Jocka, najmilszy wrzask w moim życiu. Zacharczałem w odpowiedzi. Wrzask się zbliżał. Kiedy Jock w końcu wyłonił się przede mną, wymierzyłem pistolet w jego brzuch. Jeszcze godzinę wcześniej powierzyłbym mu życie, ale tej nocy świat oszalał. W głowie tłukła mi się tylko jedna myśl: że nie pozwolę się więcej skrzywdzić. Wierny sługa zbliżył się do mnie. Zacząłem niuchać. Nie wyczułem jednak ohydnej woni czarownika.

- Nic panu nie jest, panie Charlie?

- Eka amana - wyjaśniłem z rozdrażnieniem, wskazując podbródek.

- A, złamana szczęka. O rany, fakt!

- Uo yite - dodałem, wskazując ucho.

Zaświecił zapalkę i aż syknął, gdy zobaczył, co mnie spotkało. Gwoździ, jak się okazało, został wbity aż po łebek; moje ucho spuchło wokół niego i bardzo krwawiło.

- Coś mi się zdaje, panie Charlie, że nie da rady wcisnąć pod niego pazurów młotka. Chyba będę musiał drania odciąć.

Nie chciałem wiedzieć, co zamierza zrobić: chciałem tylko, żeby już to zrobił, bo marzyłem o tym, żeby się położyć i zasnąć. Wykonałem kilka gwałtownych ruchów, pokazując ucho, i zamknąłem oczy.

Nie mogłem zgrzytać zębami, gdy Jock wycinał kanał od łebka gwoźdza do brzegu mojego ucha, bo zęby nie trafiały na siebie, pamiętam jednak, że obficie ronilem łzy. W pewnym momencie poprosił, żebym poruszył głowę. To nic nie dało; chrząstka pod łebkiem gwoźdza trzymała mocno. Nastąpiła dłuższa przerwa, po czym, ku swojemu przerażeniu, poczułem w kąciku oka czubek noża. Szarpnąłem się konwulsyjnie i wrzasnąłem, gdy ucho zostało oswobodzone.

- Sorki, panie Charlie - powiedział Jock, zbierając mnie z cudownie miękkiego błota.

Oprzytomniałem, gdy wyciągnął mnie z samochodu i włókł na pogotowie szpitala ogólnego w Saint Helier. Zostałem oparty o kontuar, za którym miła, ale surowa dama, patrząc na mnie, cmokała z troską. Dała Jockowi formularz do wypełnienia; chwyciłem go i nagryzmoiliłem na nim: „Sprawdź, czy z Johanną OK”. Jock pokiwał głową, położył mnie na podłodze i zniknął.

Jakiś czas potem obudziłem się pod mocnym białym światłem i współczującą czarną twarzą. Należała do lekarza Pakistańczyka, który wyszywał coś starannie na moim uchu. Uśmiechnął się do mnie szeroko.

- Barrzo pszykry incydent - powiedział. - Może pan pociękować gwiazdom, że jest pan wśród żywych.

Chciałem otworzyć usta, żeby rzucić jakąś dowcipną uwagę o Peterze Sellersie, ale stwierdziłem, że nie mogę. To znaczy otworzyć ust. Były jakby do czegoś podłączone i miałem wrażenie, że mój język zaplątał się w druty kolczaste.

- Proszę się nie ruszać - odezwał się miły lekarz - a w mgnieniu oka będzie pan jak nowy. W przeciwnym razie cała moja robota zda się psu na budę.

Znieruchomiałem.

- Siostro! - zawołał przez ramię. - Pacjent się wy- budza.

- Na razie wystarczy imię, nazwisko i najbliższy krewny - oznajmiła, nawet nie tak surowo.

Podniosłem wazący ze sto ton długopis i wypisałem co trzeba. Odeszła. Po chwili wróciła i szepnęła coś lekarzowi.

- Panie Mortdecai - ten zwrócił się do mnie - zdaje się, że właśnie przyjęliśmy panią o tym samym nazwisku. Jest z panem? Pani Johanna Mortdecai?

Próbowałem się podnieść; przytrzymali mnie. Zacząłem się z nimi szarpać. Ktoś wbił mi igłę w ramię i powiedział, że lekarz, który bada Johannę, zaraz do mnie przyjdzie. Niechętnie straciłem przytomność.

Gdy obudziłem się znowu, leżałem w ciepłym łóżku, pod mocno naciągniętą kołdrą, w cieplej, drapiącej koszuli nocnej, która była przesiąknięta potem. Czułem się jak w piekle, z

tysiącem kaców; pragnąłem umrzeć. Potem przypomniałem sobie o Johannie i ponownie usiłowałem wstać, ale chuda pielęgniarzka bez wysiłku przytrzymała mnie na miejscu takim ruchem ręki, jakby wygładzała pościel. Pojawiła się nowa twarz, potężnego bladego faceta.

- Pan Mortdecai? - zapytał. - Dzień dobry. Jestem tym lekarzem, który zajmuje się pańską żoną. Wyjdzie z tego, ale jest mocno poturbowana i straciła dużo krwi.

Zacząłem gorączkowo machać rękami, jakbym pisał, więc wręczył mi długopis i blok kartek.

„Zgwałcona?” - napisałem.

- Prawdę mówiąc, tego nie wiemy. Wygląda na to, że nie ma tam, na dole, żadnych obrażeń, choć widać poważne rany wszędzie indziej. Nie możemy jej spytać o tamto, bo jest w głębokim szoku. Obawiam się, że mocno ją poharatał.

Znowu wziąłem długopis.

„Ma bardzo zmasakrowane ucho?” - napisałem.

Przez dłuższą chwilę patrzył na to zdanie, jakby nie mógł go zrozumieć. Powoli spojrział mi w oczy z takim współczuciem, że się przeraziłem.

- Przykro mi, panie Mortdecai, myślałem, że pan wie. Jej obrażenia są zupełnie inne niż pańskie.

Pora wstać i się rozejść; ona wiedzieć nie będzie,  
Chodźmy śladem wicherów ku morzom, gdzie wszędzie  
Piasku tumany i piany; tutaj wcale to a wcale  
Pomocy nie masz, kształt spraw miej na względzie,  
A cały świat gorzki jest jak żale,  
I choć się trudzisz, by nie tkwiła w błędzie,  
Ona nadal wiedzieć o niczym nie będzie.

*Rozstanie*

Przez cały następny miesiąc było kiepsko. Z zadru-  
waną szczęką, sami rozumiecie, nie można myć zębów, a jeśli do tego  
się przeziębicie, jak ja, cała sytuacja staje się zupełnie  
beznadziejna. Poza tym do nosa i gardła wsadzili mi plastikową  
rurkę, za pomocą której karmili mnie nijaką, choć zapewne  
odżywczą papką. Co gorsza, każda książka, po którą sięgnąłem,  
zdawała się - już na trzeciej czy czwartej stronie - zawierać  
cudownie sugestywne opisy tłustych zup, ostryg, pieczonych  
kuropatw oraz mięsa i cynaderek w cieście. Kiedy zaczynało  
mną telepać z ochoty na prawdziwe jedzenie, niska, drobna  
pielęgniarka przypinała do mojej rurki butelkę i napełniała mi  
nieszczęśny żołądek papką przeciwko zaparciom, jednocześnie  
próbując wetknąć mi pod tyłek lodowaty basen. Oczywiście z tą  
ostatnią obrazą wszelkiej godności nigdy się nie pogodziłem.  
Udawałem się - czy raczej włókłem - do ubikacji, żeby wysikać  
się samodzielnie. Otoczony wianuszkami protestujących pielę-  
gniarek i z kleikiem ciekącym z rurki w nosie, musiałem  
przedstawiać śmieszny widok.

Kiedy trochę wróciły mi siły, odkryłem, gdzie leży Johanna, i  
odwiedzałem ją ukradkiem. Była blada i wyraźnie się  
postarzała. Ja nie mogłem mówić, a ona nie miała na to chęci.  
Siedziałem więc na brzegu jej łóżka i poklepywałem ją po rękę.

Ona poklepywała mnie i niemrawo puszczałam do siebie oko. To pomogło. Załatwiłem przez Jocka, żeby co jakiś czas przysyłano jej kwiaty, owoce i tym podobne, a ona załatwiła, też przez Jocka, żebym dostawał cygara od Sullivana i tym podobne. Pielęgniarka z nocnej zmiany, gruba i śmiała, zorganizowała słomkę, którą wkładała mi do ust przez szparę po wybitym zębie za lewym głównym kłębem; dzięki temu co wieczór wypijałem pół butelki burgunda, co znacznie złagodziło moją niedolę.

Lekarze byli zadowoleni z mojego stanu, mówili, że szczęka się zrasta. Ucho się jednak nie goiło i musieli amputować jego kawałek, a potem całe. Dlatego właśnie Johanna została wypisana ze szpitala znacznie wcześniej niż ja.

Mój powrót do domu nie wyglądał radośnie; Johanna wiedziała o uchu, ale była trochę zdetonowana, gdy zobaczyła mnie bez niego (wypisałem się ze szpitala, kiedy tylko zdjęli mi bandaż), i wybuchnęła płaczem - czego nigdy wcześniej u niej nie widziałem. Rzuciłem kilka żartów, że i tak nigdy nie kochała mnie dla urody i ta asymetria może jej się nawet spodoba, ale była niepokieszona. Nigdy nie zrozumieję kobiet. Jeśli sądzisz, że kiedyś ci się to uda, jesteś w błędzie. One są zupełnie inne niż my.

W końcu zaprowadziłem ją do łóżka. Leżeliśmy w ciemnościach, trzymając się za ręce, żeby ona mogła się wypłakać, a ja nie musiał patrzeć na jej zapuchnięte oczy, i słuchaliśmy *Wesela Figara*, co okazało się pomyłką; człowiek zapomina, że nie jest to wcale taki lekki kawałek dla tych, którzy znają włoski. Jak Johanna. Kiedy zaczęło się *Dove sono*, naprawdę się załamała i chciała opowiedzieć mi o wszystkim, co wydarzyło się tamtej okropnej nocy. Tego było dla mnie za wiele, nie byłem jeszcze gotowy; zbiegłem po schodach, przyniosłem tacę z drinkami i oboje trochę się znieczuliliśmy, a później było już lepiej, znacznie lepiej. Choć oboje wiedzieliśmy, że ją zawiodłem. Znowu. Cóż, to cena, jaką płacisz za tchórzostwo. Chciałbym tylko wiedzieć, jak wysokie są raty i kiedy należy je spłacić. Tchórz, rozumiecie, to ktoś, kto przeczytał tekst drobnym drukiem na odwrocie świadectwa

urodzenia i zwrócił uwagę na klauzulę, która głosi: „I tak nie wygrasz”. Wtedy wie, że najmądrzej jest zwiewać od wszystkiego, i tak robi. Choć niekoniecznie z przyjemnością.

- Jock - powiedziałem nazajutrz. - Pani Mortdecaiowa nie zjedzie na śniadanie.

Spojrzałem na niego spokojnie. Zrozumiał. Zmrużył zdrowe prawe oko, żeby do mnie mrugnąć, przez co lewe - wetknięte byle jak - łypnęło na sufit. Jakby czytał mi w myślach, jajka na bekonie, które wkrótce przybyły, znajdowały się na cudownie przypieczonej grzance, w towarzystwie podsmażanych ziemniaków - wszystko to wbrew wyraźnym „dyspozycjom dotyczącym talii pana Mortdecaia”, wydanym przez Joannę. Ale, do cholery, dlaczego miałbym prześladować swoją talię? Nie wyrządziła mi przecież żadnej krzywdy. Przynajmniej dotąd.

Ostatni podsmażony ziemniak, noszący ślady ostatniej strużki żółtka, już zmierzał dobieć do talii pana Mortdecaia, kiedy pojawili się George i Sam. Byli poważni i przyjaźnie nastawieni, bo jako kolejny poszkodowany zostałem przyjęty do klubu - ale spojrzeli krzywym okiem na grubo posmarowaną masłem grzankę z marmoladą, którą w tej chwili przyniósł Jock. Sam nie jadał śniadań, a George był zdania, że dżentelmeni spożywają ten posiłek kwadrans po wschodzie słońca, a nie o wpół do pierwszej.

Wskazałem im krzesła i zaproponowałem grubo posmarowaną masłem grzankę z marmoladą. Spojrzeli na nią ze źle maskowanym apetytem, ale odmówili; mieli silną wolę, naprawdę silną.

Znałem już większość nowin; tymczasem zdarzyły się tylko dwa gwałty i jeden z nich wyglądał trochę podejrzanie. Jego ofiarą była młoda dziewczyna z Jersey, już odrobinę w ciąży za sprawą narzeczonego, który przez przypadek wsiadł na statek płynący do Australii. Drugi incydent nosił wszelkie znamiona jednego z „naszych”, ale poszkodowana okazała się beznadziejnym świadkiem, nawet jak na kobietę, i nie była w stanie nic dodać do naszego dossier.

George i Sam kontynuowali patrole, już zniechęceni, nie

wkładając w to serca, ale bez rezultatów, oprócz tego, że Sam, jak twierdził, przez milę ścigał podejrzanego w płaszczu przeciwdeszczowym, gubiąc go jednak między zabudowaniami dzierżawcy gruntów ornych George'a. Poszukiwania nie przyniosły niczego z wyjątkiem znalezionej w opuszczonej oborze pary klipsów do spinania nogawek podczas jazdy na rowerze.

Sonia całkiem doszła do siebie. Z Violet było znacznie gorzej; wpadła w katatonię i trzeba było przy niej czuwać dzień i noc.

George był osowiały i posepny. Sam znajdował się w stanie tłumionej hysterii, co mnie zaniepokoiło: pograżał się w długim milczeniu, które przerywał, rzucając od czasu do czasu niby dowcipne gorzkie uwagi na niskim poziomie. To nie był ten Sam, którego znałem i kochałem.

Omówiwszy wieści, popatrzyliśmy na siebie z przygnębieniem.

- Po drinku? - zapytałem przygnębnym tonem.

George spojrział na zegarek, Sam otworzył usta i zaraz je zamknął. Przyrządziłem dla wszystkich drinki. Wypiliśmy po trzy na twarz, chociaż było przed lunchem. Dołączyła do nas Johanna. W bezlitosnym południowym świetle wyglądała dziesięć lat starzej, ale nie straciła ducha.

- To co, macie, chłopcy, jakiś plan? - zapytała, patrząc na mnie, biedactwo.

Wszyscy trzej skrzywiliśmy się, skruszeni. Sam próbował przywołać na twarz uśmiech, ale dał sobie spokój. George chrząknął. Spojrzeliśmy na niego ze znużeniem.

- Wybierzmy się na ryby - zaproponował. - Moja łódź na okonie została odmalowana i polakierowana. Jutro spuszcza ją na wodę. Mały rejs dobrze nam wszystkim zrobi. Może uda się złowić trochę makreli, co?

Sam i ja milcząco wyraziliśmy całkowitą dezaprobatę. George na lądzie jest tylko brygadierem; na morzu chce chyba dowieść, że kapitan Bligh<sup>80</sup> był zwykłym mięczakiem.

- O tak, Charlie, płyn! - zawołała Johanna. - Mały rejs naprawdę dobrze ci zrobi, a ja uwielbiam świeże makrele.

---

<sup>80</sup> William Bligh (1754-1817) - oficer marynarki brytyjskiej, dowódca okrętu HMS „Bounty”, gubernator Nowej Południowej Walii.

Zacząłem smętnie wiercić się na krześle.

- Albo rdzawce - dodała. - Okonie albo dorady. Proszę, Charlie...

- No dobrze - zgodziłem się niechętnie. - Jeśli Sam też popłynie.

- Oczywiście - odparł Sam z goryczą. - Oczywiście, oczywiście.

- Cudownie! - zawołała Johanna.

- A więc o dziewiątej? - zapytał George.

- O tej porze będzie już ciemno - zauważyłem.

- A ja jestem zaproszony na kolację o ósmej - dodał Sam.

- Miałem na myśli dziewiątą rano - wyjaśnił George.

Popatrzyliśmy na niego z wytrzeszczonymi oczami.

W końcu zgodził się na „zaraz po lunchu”, a jeszcze później uległ naszej sugestii, że należy to rozumieć jako wpół do trzeciej.

Z nadmiaru gorliwości znalazłem się nad zatoką Ouaisne trzy minuty przed czasem. Pozostało mi więc tylko wstąpić do pubu na wybrzeżu i łyknąć kropelkę czegoś na wzmocnienie. Sam już tam był i wzmacniał się sumiennie.

Przywitaliśmy się mrukliwie, po czym siedzieliśmy jakiś czas w milczeniu, przerywanym jedynie odgłosami siorbania, które wydawały dwa szczury lądowe mające wejść na pokład łodzi długości szesnastu stóp, dowodzonej przez innego szczura lądowego z kompleksem Nelsona. Wreszcie do baru wkroczył George i spojrzał na nas ciężkim wzrokiem.

- Hej, żeglarzu! - zawołaliśmy unisono.

Nie spodziewaliśmy się, że się uśmiechnie, więc nie spotkał nas zawód.

- Czekam na was od pięciu minut - powiedział. - Nie możecie oderwać się od baru? Macie jakiś bagaż?

Bagaż Sama składał się z cienkiego tomiku wierszy owiniętego w plastikową folię, żeby nie przemókł podczas sztormu, a mój - kapelusza rybackiego i sztormiaka (bo meteorolodzy przewidywali pogodne, słoneczne popołudnie), po butelce gorącej zupy, gorącej kawy i tańszej szkockiej, pudełka z



kanapkami oraz garnka zimnego curry z ziemniakami na wypadek katastrofy morskiej albo jakiegoś innego dopustu bożego. George niósł na ramieniu wysłużony rasowy worek żeglarski, bez wątplenia zawierający same potrzebne i sensowne rzeczy.

Łódź, muszę przyznać, prezentowała się wspaniale z nową farbą i lakierem, jak przystało na początek sezonu, i miała wielki, nowy silnik przyczepny. Wszechobecny hydraulik George'a, pełniący także funkcję wilka morskiego, pomógł nam odbić od brzegu; silnik zaskoczył bez problemu i przecięliśmy tańczące błękitne małe fale, które poruszyły nawet moje czarne serce. Była lekka mgła, która prawdopodobnie dalej gęstniała, ponieważ La Corbière (Gniazdo Kruków - nasza kochana latarnia morska) co trzy minuty wydawała przeciągłe ponure stęknięcie, jak grubas próbujący usiąść. Nie przejęliśmy się tym. Szybko przepłynęliśmy milę i George kazał nam zarzucić sieci na makrele. Zarzucaliśmy sieci, jeśli poprawnie się wyrażam, przez pół godziny, ale bez skutku.

Nad nami przelatywały maskonury, kormorany i bielec, maskonurząc, kormoraniąc i robiąc to, co mają w zwyczaju robić bielaczki, ale wyraźnie nie były zainteresowane tym akwenem. Co więcej, nie było mew, a brak mew oznacza brak czegokolwiek do smażenia, brak smażenia zaś oznacza brak makreli.

- Nie ma tu ryb, George - zauważyłem - a poza tym jak na makrele płyniemy za szybko. Lepiej by było zredukować prędkość do dwóch, trzech węzłów.

- Bzdury - odparł.

Ugniotłem kawałek kanapki z jajkiem i kawałek kanapki z serem w kulkę, a następnie nadziałem ją na solidniejszy haczyk, dodałem większy obciążnik do sieci i niemal od razu złowiłem pięknego dużego rdzawca. George się rozpromienił. Kopsnąłem Samowi trochę mojej cudownej mieszanki i on też wkrótce złapał ładnego przedstawiciela tego gatunku.

- Tak trzymaj, George - powiedziałem - to doskonała prędkość do połowu rdzawców.

- Makreli najwyraźniej jeszcze nie ma - mruknął. -

Wypłyniemy dalej, znajdziemy obszar spokojnych wód i spróbujemy złowić okonia.

La Corbière wciąż jęczała, zagłuszając głębsze jęki Sama i moje. Oczywiście uwielbiamy spokojne wody, ale wolelibyśmy stawić im czoło z zawodowym żeglarzem u steru. Płynęliśmy jednak dalej i w końcu znaleźliśmy miejsce, które wydawało się spełniać nasze wymagania, ale było usytuowane nieprzyjemnie blisko ostrego jak brzytwa, miniaturowego klifu na brzegu. Jednak najgorsze dopiero nas czekało.

- Podniosę maszt - odezwał się George. - Popłyniemy jeszcze kawałek dalej, a potem wyłączymy silnik.

Żaden ze mnie żeglarz, ale ten pomysł mi się nie spodobał. Spojrzałem na Sama. On spojrzał na mnie.

- George - zaczął łagodnie - jesteś pewny, że to mądre? To chyba brzeg zawietrzny czy coś takiego, prawda?

- Nonsens - odparł George. - To brzeg zawietrzny, jeśli w jego kierunku wieje wiatr. W tej chwili nie ma wiatru, a o tej porze dnia przy tak ciepłej pogodzie możemy nawet liczyć na lekkie prądy powietrzne od lądu. Poza tym muszę ci przypomnieć, Sam, że na łodzi jest tylko jeden kapitan. Kwestionowanie rozkazu może doprowadzić załogę do śmierci.

- Dobrze, już dobrze - odparł Sam zdziwionym, nie-subordynowanym tonem.

Uświadomiłem sobie, że od kilku minut nie słyszę La Corbière, i zacząłem się zastanawiać, czy nie zerwał się wiatr, który rozwał mgłę, ale było już za późno. George, mocując się z niesfornym żaglem, podniósł maszt do połowy, kiedy uderzył w nas pierwszy powiew z południowego wschodu.

Łódź się przechyliła, silnik zawył, gdy śruba wynurzyła się z wody, a George zawisł na maszcie, po czym znikł za burtą wśród resztek płótna i olinowania z rozbitego statku. Płynęliśmy w stronę zabójczej skały, aż przerażający trask powiedział nam, że straciliśmy maszt, i poczuliśmy, że łódź na coś trafiła - nie towarzyszył temu zgrzyt, ale paskudny odgłos tarcia. Z miejsca, gdzie musiał być George, dobyły się bąbelki. Chwyciłem wiosło i próbowałem zepchnąć nas na głębinę; Sam złapał nóż do ryb i zaczął nim wymachiwać, żeby uwolnić łódź z

butwiejących resztek zatopionej jednostki. Na chwilę George się wynurzył, twarzą do góry, młóćąc rękami wodę, ale potem najwyraźniej trafił na prąd podpowierzchniowy, bo znowu zniknął pod łodzią. Pojawił się ponownie po minucie, ze dwadzieścia stóp dalej w stronę otwartego morza, wciąż machając ręką. Znowu zaczęliśmy uderzać w skały. Wciąż usiłowałem odepchnąć nas wiosłem. Silnik zacharczał i zgasł. Wybraliśmy się w rejs jak głupcy, żaden z nas nie miał na sobie kamizelki ratunkowej, nie widzieliśmy, gdzie jest lina, którą moglibyśmy rzucić George'owi. Gdy ja walczyłem wiosłem, Sam podczołgał się do małego forpiku i zaczął go gorączkowo przetrząsać w poszukiwaniu czegokolwiek, co mogłoby się przydać. Wreszcie wyciągnął worek marynarski George'a. Wtedy ukląkł i zamarł w bezruchu, patrząc na to, co z niego wydobył. Był to ciasno zwinięty materiał, okręcony sznurem. Sam podniósł go do nosa i powąchał, a potem skrzywił się pogardliwie.

- Co robisz, do cholery?! - zawołałem, starając się przekrzyknąć coraz głośniejszy szum wiatru i wody.

Nie odpowiedział. Rozwiązał zawiniątko; zawierało płaszcz przeciwdeszczowy, kajdanki i nabitą ćwiekami kurtkę. Wreszcie wyjął okropną gumową maskę. Nie spojrzał na mnie; wytarł palce o ławkę i skierował wzrok ku miejscu, gdzie George młócił rękę wodę, niemal tuż przy burcie. Wziął drugie wiosło i powoli, jakby wykonywał jakiś rytualny gest, podniósł je wysoko nad głowę, piórem do góry.

George sprawną ręką chwycił się nadburcia. Z jego głowy zwisał wielki płat skóry, a drugą rękę miał pogruchotaną i zakrwawioną. Spojrzał na Sama. Puścił nadburcie i jego twarz zniknęła pod wodą. Sam cisnął wiosło na łódź, a potem rzucił się ku rufie w stronę silnika. Ja cały czas walczyłem o nasze życie; łódź nie wytrzymałaby więcej ciosów granitowymi sztyletami. Silnik ożył; Sam zwiększał jego obroty, aż nagle z rykiem znaleźliśmy się na otwartej przestrzeni. Zabrałem się do wybierania wody. W pewnej chwili, oglądając się przez ramię, odniosłem wrażenie, że widzę w odległości furlonga coś jak uniesione ramię, ale pewnie był to tylko kormoran.

Dopóki nie ukazała się przed nami zatoka Ouaisne, żaden z nas się nie odezwał.

- Chyba już utonął, prawda? - zapytał Sam.

Nie odpowiedziałem; to zresztą tak naprawdę nie było pytanie. I wciąż główkowałem.

- Sonia nie została zgwałcona - odezwałem się bezbarwnym tonem.

- Nie. Byliście kochankami... to odpowiednie słowo... od wielu miesięcy. Pierwszy raz to był przypadek, oboje upiliśmy się na przyjęciu. Potem zmuszała mnie do tego; groziła, że powie George'owi, jeśli będę się opierał. Pierwszego dnia całej tej historii, kiedy ty i George niespodziewanie wróciliście do domu, myślałem, że zostaliście przyłapani, i kazałem Soni krzyżeć, że została zgwałcona, a sam uciekłem przez okno. Sonia czytała te wszystkie bzdury o Bestii z Jersey i to podsunęło jej myśl o satanistycznych rekwizytach.

- Ale George was przejrzał. To, co zrobił Violet, było po prostu aktem zemsty, tak?

- Tak. Może w ten sposób chciał nam powiedzieć, że wie. Powinienem być się domyślić. Ale chyba byłem na to zbyt przybity.

- Rozumiem. A potem musiał w tym zasmakować. Może obudziło się w nim szaleństwo?

- Oficer i dżentelmen - skwitował Sam. Zabrzmiało to jak puenta jakiegoś okropnego żartu.

Skończyłem wybierać wodę, przywiązałem straszne akcesoria George'a do zapasowej kotwicy i wyrzuciłem za burtę. Nie obchodziło mnie, że ktoś może je wyłowić, chciałem tylko usunąć je z pola widzenia.

Na brzegu wyszedł po nas hydraulik George'a i pomógł nam przycumować.

- A gdzie pan Breakspear?

- Wypadł za burtę. Prawie się rozbiliśmy. Powiadom straż przybrzeżną.

- Mój Boże... - zaczął hydraulik. A potem dodał: - W pubie jest telefon do pana Davenanta, z Anglii, pilny. Proszę zapytać o centralę rozmów prywatnych.

Sam ruszył w stronę pubu, przyspieszając po drodze kroku.

- Więc to od początku była robota pana Breakspea- ra - rzucił hydraulik.

Nie odpowiedziałem. Zastanawiałem się, ile osób musiało wiedzieć o tym przez cały czas. Może powinienem był spytać swojego ogrodnika. Może nawet by mi powiedział.

Sam wyszedł z pubu ze zmartwiałą twarzą.

- Violet odebrała sobie życie - powiedział z wolna. - Jedźmy do domu. Jest wiele spraw do załatwienia.

- Najpierw musimy pojechać na policję - odparłem. - Żeby zawiadomić o zaginięciu George'a.

- Tak, oczywiście. Zapomniałem o tym. - Mówił już łagodnym głosem.

- Nie chcą panowie złowionych ryb?! - zawołał za nami hydraulik.

- Nie, dziękujemy - odrzekłem. - Wiemy, gdzie były.

Było już ciemno, kiedy wyszliśmy z komisariatu i ruszyliśmy Grandę Route de Saint Jean do domu.

- Chcesz się przejść? - zapytałem nieśmiało Sama, gdy dotarliśmy na miejsce.

- Vi została na chwilę sama... pielęgniarka poszła do ubikacji... a wtedy wstała z łóżka i rzuciła się z okna. Trudno winić pielęgniarkę, Vi od wielu dni nie dawała znaku życia. Ostrzegali mnie, oczywiście. Katatonikom się wydaje, że mogą latać, rozumiesz. Jak anioły.

- Sam... - zacząłem.

- Proszę, nic nie mów, Charlie.

Spróbowałem ponownie, pod jego domem.

- Posłuchaj - zacząłem - nie chciałbyś przemocować dziś u nas?

- Dobranoc, Charlie - odparł i zatrzasnął za sobą drzwi.

Po powrocie do domu opowiedziałem Johannie całą historię tak krótko, jak się tylko dało, a potem oznajmiłem, że chcę napisać listy. Poszedłem na górę do garderoby i po ciemku stanąłem w otwartym oknie. Po drugiej stronie pola w domu Sama paliły się światła, a potem jedno po drugim zaczęły gasnąć. Chwyciłem się parapetu. Było bardzo zimno i na moją

twarz padała mżawka.

Kiedy rozległ się strzał, nie ruszyłem się z miejsca.

Do pokoju przyszedł Jock.

- Huk strzału od strony Les Cherche-fuites - powiedział.

- Wiem - odrzekłem.

- Sądząc po dźwięku, pistolet dużego kalibru.

- Zgadza się.

- Idziemy tam?

-Nie.

- Ale zadzwoni pan tam, panie Charlie?

- Idź już sobie, Jock.

Pięć minut później do pokoju wślizgnęła się Johanna, ujęła moją rękę w obie dłonie i przycisnęła do swojej biednej piersi.

- Charlie, kochanie, dlaczego tak stoisz w ciemnościach i drzysz. I jeszcze płaczesz? No dobrze, przepraszam, przepraszam, oczywiście, że nie płaczesz, przecież widzę, że nie.

Jednak zamknęła okno, zaciągnęła zasłony i zaprowadziła mnie do łóżka, a potem nakłoniła, żebym się do niego położył, i nakryła kocem.

- Dobranoc, Charlie. Proszę, śpij już.

- Dobrze.

Ale chciałem jej o wszystkim powiedzieć.

- Johanno - odezwałem się, kiedy otworzyła drzwi.

- Tak, Charlie?

- Zapomniałem zapytać... jak się ma kanarek.

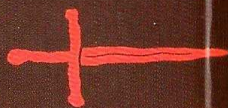
Nie odpowiedziała.

- Nie żyje, prawda?

Bardzo delikatnie zamknęła za sobą drzwi.

„Nie można wejść pod kołdrę z czymś bardziej  
nieprzyzwoitym i zabawniejszym”.

*Stephen Fry*



*W powietrzu już tak wyraźnie było czuć wiosnę, że następnego dnia wreszcie obudziłem się z dobrym samopoczuciem i potrzebą udania się na długi spacer po wiejskiej okolicy.*

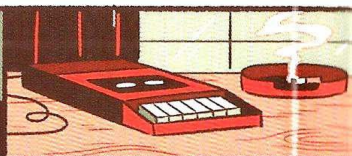
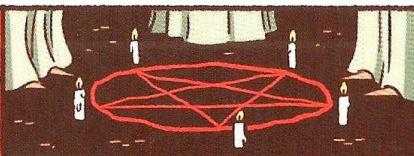
Charlie Mortdecai – pomniejszy arystokrata i marszand, który musiał zniknąć z Londynu z powodu przekrętów związanych, no cóż, ze sztuką – udaje się ze swoją żoną Johanną i oddanym służącym Jockiem na wyspę Jersey, licząc, że przyczai się tam, wśród oszustów podatkowych i prymitywnych tubylców, i przeczeka. Gdy jednak zostaje zaatakowana żona przyjaciela, musi wejść w rolę detektywa i wytropić napastnika. Tymczasem ataki się nasilają, w dodatku mają coraz bardziej satanistyczny charakter, i Charlie desperacko stara się rozwiązać ich zagadkę, zanim naprawdę rozpęta się piekło...

„Arcydzieło komizmu...

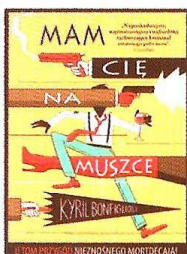
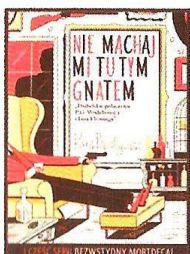
Powrót Bonfigliolego z pewnością spotka się z wielkim uznaniem, bo od lat nie było lepszego od niego pisarza”.


*Spectator*

*Kyril Bonfiglioli* (1928–1985) – angielski ekscentryk, aktor, marszand dzieł sztuki, wydawca magazynu „Science Fantasy”, ojciec piątki dzieci i wreszcie pisarz. Zmarł w 1985 na marskość wątroby. Jego powieści o przygodach bezwstydnego Mortdecaia zyskały miano kultowych.



FOR DNE CZOS RI



Dostępna także jako 

Wydawnictwo

**CZARNA  
OWCA**

www.czarnaowca.pl

ISBN 978-83-8015-084-3



9 788380 150843 >

lesiojot

Cena: 29,99 zł